

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 5/548

1993



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

Zb. P. ZAGÓRSKI: **UPADEK IMPERIUM**

K. WOLICKI: **KONIEC ETAPU**

A. MICEWSKI:

CHRZEŚCIJAŃSTWO CYWILIZOWANE

Wł. ODOJEWSKI:

CUDZOZIEMCY — NIWYGODNI GOŚCIE ?

SPIS RZECZY

Zbigniew P. Zagórski:	<i>Upadek Imperium a stan jego nauki i techniki</i>	3
Zbigniew Florczak (PELIKAN):	<i>Seans spirytystyczny z Catem</i>	14
KRAJ		
Józef Piłsudski:	<i>Strzeżcie się agentów...</i>	27
Leon Winiawski:	<i>Końcowy głos uczestnika Konferencji Aktywu MBP w 1954 r.</i>	29
Stanisław Polaczek:	<i>Polityka pieniężna państwa w latach 1989-1992</i>	35
Krzysztof Wolicki:	<i>Koniec etapu</i>	44
Jan Winczakiewicz:	<i>Jeszcze o ustroju</i>	51
SPRAWY I TROSKI		
Włodzimierz Odojewski:	<i>Cudzoziemcy — niewygodni goście?</i> ...	58
Smecz:	<i>Z ukosa</i>	63
O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA		
Andrzej Micewski:	<i>Chrześcijaństwo cywilizowane</i>	72
Antoni Pospieszalski:	<i>Casus Drewemanna z daleka</i>	80
B.O.:	<i>95-lecie Patriarchy Mstysława</i>	85
SĄSIEDZI		
Bohdan Osadczyk:	<i>Ukraina po Vancouverze</i>	87
Wilnianka z Zarzeczca:	<i>Uniwersytet Polski w Wilnie</i>	90
Adam Kruczek:	<i>Notatki rosyjskie</i>	94
Andrzej Stach:	<i>Kronika niemiecka</i>	100
Bogusław Bakula:	<i>Z prasy ukraińskiej</i>	106
KRONIKA KULTURALNA		
Jacek Bierezin:	<i>Nowa Fala powraca do morza</i>	111
—	<i>Konkursy „Brulionu”</i>	115
JÓZEF CZAPSKI		
A.P. Teper i Z.J. Teper:	<i>Józef Czapski o Oldze Boznańskiej</i> ...	117
Józef Czapski:	<i>List do Stanisława Mackiewicza</i>	122
CI, CO ODESZLI		
Zofia Hertz:	<i>Maria Wasung (1905-1993)</i>	126
KSIĄŻKI		
Andrzej Dobosz:	<i>Droga Romana Zimanda</i>	128
Marcin Niemojewski:	<i>Tydzień Książki Litewskiej w Warszawie</i>	133
—	<i>Nadstane nowości wydawnicze</i>	136
POLEMIKI		
Alina Grabowska:	<i>Jeszcze o Fundacji</i>	138
O.J. Różycki, A. Pospieszalski:	<i>Dyskusja o katechizmie</i>	142
Redakcja „Kultury”:	<i>Mecenas kultury polskiej i „Kultury” paryskiej</i>	145

Dalszy ciąg spisu rzeczy na str. 160

Varsovie W006

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Maj/Mai 1993

INSTYTUT



LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Oldrich i Alicja Cerny, Genewa — dla uczczenia pamięci Marii Wasung F. szw. 200,00	F.	740,00
Danuta J. Cisek, Yorktown Heights, N.Y. (USA) — dol. 50,00	F.	270,00
Dla uczczenia pamięci Przyjaciół: Romana Palestra, Karola Wagnera-Pieńkowskiego i Feliksa Konarskiego REF-RENA — Jacek i Weronika Machniewiczowie, Paryż	F.	300,00
Dla uczczenia pamięci Stefana Strelcyna — w 12-tą rocznicę Jego śmierci — Żona i Syn z rodziną (Manchester, Londyn)	F.	250,00
Kazimierz Karwowski, Islington ON (Kanada)	F.	70,00
Aleksander Kotlicki, Effretikon (Szwajcaria) — w zbliżającą się piątą rocznicę śmierci żony Alicji Kotlickiej — dla uczczenia Jej pamięci	F.	300,00
Karol J. Krótki, Edmonton, Alberta (Kanada) — po raz 15-ty	F.	380,00
Monika i Wiktor Markowiczowie, Englewood, NJ (USA) — zamiast kwiatów na grób Lidii Solskiej (żony Wiktora), zmarłej 9 kwietnia 1993 w Nowym Jorku — dol. 100,00	F.	540,00
Michas Sienko, South River, N.J. (USA) — po raz 17-ty — dol. 10,00	F.	54,00
Cezary i Stanisława Szulczewscy, Merano (Włochy) — dla uczczenia 90-tej rocznicy urodzin Władysława Żeleńskiego, oskarżyciela w procesie o zabójstwo min. B. Pierackiego, bojownika o wyjaśnienie zabójstwa lwowskich Profesorów oraz zasłużonego działacza społecznego we Francji — dol. 25,00	F.	135,00
W dwunastą rocznicę śmierci Stefana Strelcyna — Syn, Synowa i wnuczka z Paryża	F.	150,00
Zamiast kwiatów na grób Józefa Czapskiego od Reni, Ity i śp. Alby Romerówien, St Eustache, Que, (Kanada)	F.	425,00
Zamiast kwiatów na grób śp. Marii Wasung, zmarłej w Genewie 25 marca 1993 roku — Rodzina i Przyjaciele w Londynie £ 80,00	F.	664,00
Janusz Zembrzusi, Anglet (Francja) — po raz 57-my	F.	355,00

DZIĘKUJEMY

WPLATY NA POMOC POLAKOM W ROSJI

W rocznicę śmierci nieodżałowanego Męża i Ojca, Janisława Kamieńskiego — Żona i Dzieci, Toronto, ON, (Kanada) — dol. can. 100,00	F.	420,00
Jan Zalewski, Chester (W. Brytania) — £ 20,00	F.	166,00

Upadek Imperium a stan jego nauki i techniki

Mało jest do tej pory analiz rozpadu imperium sowieckiego. Wszyscy znaczniejsi historycy i politolodzy stwierdzają, niezależnie od wieku, że nie spodziewali się tego dożyć. Niektórzy dodają, że byli przekonani o nieuchronnym rozpadzie, nie wiedzieli jednak kiedy on nastąpi.

Historycy nie lubią doszukiwać się przyczyn takiego, a nie innego przebiegu zdarzeń w technice, wolą dyskutować o decyzjach politycznych. Tymczasem decyzja polityczna podjęta wbrew stanowi techniki jest najkrótszą drogą do klęski.

W ogromnej liczbie publikacji sowietologicznych nieliczne tylko pomogłyby odpowiedzieć na pytanie, jakie cechy nauki i techniki sowieckiej legły u podstaw upadku ZSSR. Do szerzej cytowanych należy dzieło Kendalla E. Bailesa „Technology and Society under Lenin and Stalin”, 1978, i monografia Bruce Parrotta „Politics and Technology in the Soviet Union”, 1986. Wiele wyjaśnia monografia Aleksandra Wucznicza o Akademii Nauk ZSSR, „Empire of Knowledge”, 1984. Ze zbiorowych dzieł pokonferencyjnych wymienilibym wydaną przez NATO „The Status of Soviet Civil Science”, 1987. Dalej mamy tomy dzieł myślących Rosjan i nierosyjskich mieszkańców Imperium. Na pierwszym miejscu fenomen — Sołżenicyn, piszący, i to jak, inżynier. Inni, już nie z takim piórem, ale ważniejsi naukowo. Sacharow, tak zasłużony w sprowadzaniu Rosjan na drogę rozsądku, zawodzi jednak, gdy chodzi o ujawnianie mechanizmów zachowań naukowców ścisłych i inżynierów. Jako współtwórca bomby wodorowej mógłby powiedzieć więcej o kulisach tej kuchni; niestety nie dożył możliwości ujawnienia szczegółów, na

które czekaliśmy. Inni dysydenci z nauk ścisłych to bracia Miedwiediewowie; zwłaszcza urzeka książka o skażeniu radioaktywnym dużych połaci koło Kysztymia (Zores A. Miedwiediew, „Nuclear Disaster in the Urals”, 1979). Jest to pracowicie rekonstruowane z jawnych publikacji zdarzenie, skrzętnie zatajone przez władze sowieckie. Majstersztyk białego wywiadu, czyli analizy jawnych naukowych publikacji sowieckich o skutkach wylania się w r. 1957 izotopów promieniotwórczych w ilościach wielokrotnie przekraczających ilości czarnobylskie, niemal trzydzieści lat później.

Widok z drugiej strony laboratorium naukowego, to znaczy spojrzenie władców, dla których naukowiec był takim samym niewolnikiem jak reszta społeczeństwa, jest też godny uwagi. Mam na myśli pamiętniki Chruszczowa. Należy też polegać na źródłach bezpośrednich, do których należą wspomnienia naukowców enerdownskich, lojalnych do końca, jeszcze dzisiaj, jak Manfred von Ardenne (osobne wydanie książki na teren demoludów i osobne na niemieckojęzyczny pozostały świat!). Dużo daje „Das rote Atom” Barwicha (strasznie „poprawiony” przez wdowę po nim), twórcy urządzeń do wzbogacania uranu 235 w Rosji.

Nieocenionym wreszcie źródłem są własne obserwacje.

Tu mała, ale ważna dla moich rozważań końcowych dygresja osobista. W wojennej Warszawie pomagałem w tłumaczeniu różnych niemieckich materiałów technicznych, np. instrukcji obsługi Panzerfaustów, aparatury radiowej itp. Korzystałem też obficie z kupowanej za grosze, a znakomity niemieckiej literatury chemicznej, która również przekonywała, jak trudnym do pokonania przeciwnikiem byli Niemcy. Łatwo wyobrazić sobie rozgoryczenie tak przygotowanego technicznie młodego człowieka, którego wysłano pierwszego sierpnia 1944 z dwoma domowymi granatami do ataku na Schutzpolizei i Gestapo w Alei Szucha. Akcja ta, jak przytłaczająca większość ataków pierwszego dnia powstania, była całkowicie sknocona jeszcze w przygotowaniach, skazana na niepowodzenie, rażąco zła w porównaniu ze znakomitymi akcjami elitarnych ugrupowań AK w czasie okupacji. Piszę to, by przypomnieć, że Powstanie Warszawskie zostało rozpoczęte w momencie, gdy miesięczna wojenna produkcja Niemiec osiągnęła maksimum całego okresu wojny.

Starając się spopularyzować naukowe i techniczne aspekty upadku komunizmu, zaznaczam z góry, że nie będę mógł tego zrobić tak precyzyjnie, jak to zostało zrobione w przypadku Niemiec i Japonii. Analiza stanu technicznego państw

Osi zajęła dziesięciolecia, bo stale coś było utajniane z tych czy innych powodów. Najlepiej spopularyzowane są dziedziny, które wzbudzały szczególne zainteresowanie i wobec których historycy nie mogli pozostać obojętni: broń jądrowa, łamanie szyfrów, pociski raketowe. W dwóch pierwszych dziedzinach wyższość Anglosasów miała wyraźny wpływ na zwycięstwo, w trzeciej zdecydowanie górowali Niemcy. Zaniedbana i zapomniana przez historyków pozostała elektronika (termin ten zresztą wtedy jeszcze nie istniał). Późno, dopiero kilkadziesiąt lat po wojnie, ukazała się książka „Most Secret War” R.V. Jonesa, traktująca o wyścigu techniki elektronicznej pomiędzy Niemcami a zachodnimi Aliantami. To był wyścig łeb w łeb.

O ile potencjał elektroniki niemieckiej był wyższy lub porównywalny z potencjałem reszty świata, to w wyjściowym momencie zimnej wojny stan Sowietów był żałośnie niższy od Zachodu. Jakkolwiek szereg urządzeń kompletnie nieznanymi w ZSSR zjawilo się tam wraz z uzbrojeniem dostarczonym w *lend-lease*ie, to jeszcze więcej było na Zachodzie już wdrożonych osiągnięć, których istnienia Rosjanie nawet nie przeczuwali. Na przykład trzeba było w darach ujawnić systemy nawigacyjne amerykańskiej firmy Bendix i piloci sowieccy jeszcze latami latali „na bendiksach” (od firmy Bendix w South Bend, IN), ale nie musiano ujawniać technik magnetycznego zapisu informacji. Zdziwiająco, ale nawet służby wywiadowcze Sowietów nie miały do nagrywania dźwięków pierwociny magnetofonu czyli stylu, którymi dysponowało przecież nawet Polskie Radio przed II wojną światową!

Stalin zdawał sobie doskonale sprawę z mnóstwa braków swojego gospodarstwa. Mimo sukcesów Jały przewidywał, że Zachód natychmiast cofnie imperium sowieckie na Wschód, do miejsca, które sam określi. Tym się tłumaczy gorączkowe ogołacanie Niemiec i w pewnej mierze Polski z wszystkiego, co dało się załadować na wagony. Stalin sądził po sobie — „będąc Zachodem” na pewno by tak postąpił. Inaczej nie można sobie wyobrazić tego samobójstwa technologicznego, jakie spowodował demontując nowoczesne fabryki, które w głębi Rosji mogły pójść tylko na złom. Zrozumiałe, że wywiózł, zresztą z radosnym przyzwoleniem Manfreda von Ardenne, jego prywatny instytut z dobrodziejstwem inwentarza, bo nie mógł on dać takich korzyści w okupowanych Niemczech, jakie dał nad Morzem Czarnym. Ale czy należało wywozić zakłady przemysłowe, które później z trudem odbu-

dowywano w NRD? Nie udało się tego zrobić dobrze właściwie nigdy. Najlepszy dowód to upadek przemysłu fototechnicznego. Niemieckie aparaty fotograficzne, a przede wszystkim filmy, to był przed wojną przedmiot zazdrości reszty świata. Czterdzieści lat później zakłady dawnej Agfy, przemianowanej na ORWO, nie potrafiły produkować systematycznie barwnych filmów o czułości wyższej niż 100 ASA.

W początkach chaotycznej okupacji Niemiec wielu fachowców uciekło na Zachód, niekiedy z własnymi wytwórniami i instytucjami, pozostało jednak ogromne zaplecze badawcze. Dało ono, mimo ukrytej pomocy RFN, zadziwiająco niske efekty. Także fachowcy niemieccy, mniej lub bardziej dobrowolnie wywiezieni do Rosji, nie odegrali, jak dowodzą po-zjednoczeniowe publikacje, takiej roli jak niemieccy naukowcy w USA, choć pracowali ochoczo.

Drugim powodem było ściśle odseparowanie nauki jawnej i tajnej. Na początku wyglądało to niewinnie: niezły profesor zniknął nagle, nie zabierając najczęściej nawet najlepszych ze swych współpracowników. Organy Berii, które kompletowały załogi laboratoriów, na przykład do produkcji materiałów rozszczepialnych i bomb, bały się grup ludzi znających się od dawna. Młodych pracowników rekrutowano wśród wyróżniających się absolwentów, a kadra rekomendująca na uczelniach była sprawdzona i ideologicznie pewna. Wśród absolwentów uczelni sowieckich popularne było pytanie: idziesz do pracy czy w *jaszczik*? *Jaszczik* to numer skrzynki pocztowej, bo miejsce pracy nie miało jawnego adresu. Ta skrzynka pocztowa, odpowiednik numeru poczty polowej, była jedyną łącznością, oczywiście ściśle cenzurowaną, ze światem.

Urojony strach przed interwencją wolnego świata, a jednocześnie chęć zapanowania nad nim, dały osobliwy twór nie mający odpowiednika na świecie. Nauką jawną kierowały miernoty. Tajemnica owinięta w strach paraliżowała ją jeszcze bardziej niż tajną, w której badacz, a zarazem więzień, z natury swej sytuacji nie mógł mieć kontaktów ze „szpiegami”, a więc nie musiał się już tak bać. W pozornie wolnym pionie jawnym pułapek a i nadzoru było więcej. Nie sądzmy, że nauka jawna w Sowietach pracowała (pracuje?) tak jak nauka w normalnym państwie. Jej produktem są publikacje najlepiej w dobrych, recenzowanych czasopismach o zasięgu światowym. Nie odbywało się to jednak tak, że po akceptacji kierownika placówki rosyjski autor wysyłał pracę do redakcji. Nawet tu potrafiiono wymyśleć coś sowieckiego: manuskrypt wysyłało do centralnej instytucji, która go dopie-

ro kierowała do redakcji. Oburzonym naukowcom tłumaczono, że to dla ich dobra, że państwo w ten sposób czuwa nad ich interesami! Nie potrzeba zapewniać, że w pionie tajnym normalnego publikowania nie było w ogóle. Rezultaty badań spoczywają do dziś w biuletynach wewnętrznych. Zresztą, gdyby nawet próbowano je odkurzyć i opublikować, byłyby już zdezaktualizowane.

Wąską furtkę otwarto przez powołanie czasopism z założenia tajnych, np. *Zawodskiej Laboratorii* (Laboratorium Fabryczne, tematyka była w rzeczywistości szersza). Publikacja tajna jest sama w sobie dziwołogiem logicznym. Osobliwość *ZŁ* polegała na tym, że wszyscy wiedzieli, że takie czasopismo istnieje, ale nie można go było dostać do ręki. Nawet najbardziej zaufani kapitanowie przemysłu w Polsce nie mieli do niego dostępu. Udało się to jednak niektórym sowietologom na Zachodzie. W końcu pismo zaczęło wychodzić jawnie, ale roczniki tajne pozostały niedostępne. Dopiero historycy techniki będą robili doktoraty o tym co umknęło nauce sowieckiej. Jak pracowali — a może wciąż pracują — wiemy z „Pierwszego kręgu” Sołżenicyna. Z całą pewnością wydajność i jakość były — są? — mniejsze niż w warunkach normalnych. Pracownik zamknięty w klatce, choćby teoretycznie był wolny, niewiele różni się od więźnia. Naukowcy zachodni również mieli problemy z wydajnością pracy w tajnych laboratoriach, jednak chodziło o względnie krótki czas wojny totalnej, która uruchamia dodatkowe siły psychiczne. Zakończenie programów wojskowych powitali z ulgą jako powrót do normalności. Naukowcy sowieccy zostali w klatkach do końca życia. Zresztą obserwowane czasem wcześniejsze ich otwarcie uwalniało ludzi tak wykoślawionych, że wątpię, czy potrafili normalnie pracować.

Można by zestawili listę odkryć naukowo-technicznych, których początki opracowano w Rosji, ale wykastrowanie nauki i przeniesienie najlepszych ludzi do zadań, które nazywały się „specjalnymi”, uniemożliwiło doprowadzenie ich do końca. Należą do nich lasery i półprzewodniki, komputery, techniki mikrofalowe, polimery, inżynieria genetyczna i cały szereg innych rzeczy, które później trzeba było kupować na licencję albo podkraść Zachodowi. Można z całą pewnością powiedzieć, że demokratyczna ewolucja od caratu do państwa demokratycznego nie tylko uratowałaby dziesiątki milionów ludzi od przedwczesnej śmierci, ale stworzyłaby kraj stojący technologicznie może nie na poziomie USA, ale np. Kanady.

Słabość nauki jawnej ujawniła się w tragicomiczny spo-

sób w pewnych, nielicznych zresztą, okresach szczytowych osiągnięć pionu tajnego: wcześniej skonstruowanej bomby atomowej i termonuklearnej oraz pierwszego sztucznego satelity, a wreszcie wyprawy kosmicznej Łajki i Gagarina. Zachód, myślący swoimi logicznymi kategoriami, doszedł do wniosku, że reszta nauki sowieckiej, czyli część jawna, musi być równie interesująca. Tymczasem okazało się, że król jest zupełnie nagi. Dziwaczne idee i oczywiste braki w medycynie i rolnictwie wzbudziły podejrzenia. Podchwycenie przez Zachód z pozoru genialnych odkryć, jak spolimeryzowana woda, doprowadziło do kompromitacji również niektórych renomowanych uczelni brytyjskich.

Stosunek nauki zachodniej do sowieckiej był zawsze bardzo zróżnicowany. Obiektywną ocenę wypaczały lewackie sympatie różnych *fellow travellers*. Odchylenia oceny w drugą stronę — poniżania osiągnięć sowieckich — były niekiedy spowodowane niechęcią i pogardą dla słowiańszczyzny. Jeżeli można pogłębić niepowodzenia, to dziennikarz zachodni robi to bez wahania, zwłaszcza gdy może podwyższyć temperaturę sensacji. Jeszcze mam w oczach nagłówki gazet amerykańskich po wypadku w Czarnobylu, mówiące o 2000 trupów zgarnianych buldożerami do rowów. To dziennikarze — ale naukowcy też nie są bez winy. Na pewnej konferencji w USA w roku 1992 paru młodszych naukowców zaczęło przedrzeźniać akcent jednego z Rosjan, chociaż nie jestem pewien czy nie byli dopiero pierwszym amerykańskim pokoleniem po jakimś imigrancie. Incydent zrobił na mnie przykre wrażenie i przypomniał długą historię *Polish jokes*. Sprzyjają tej pogardzie nieświadomie sami Rosjanie, przesadzając w opisach bałaganu, zagrożeń ekologicznych, przygnębiaenia społeczeństwa. Kto będzie chciał współpracować z takim krajem? Niewątpliwie wiele takich ocen jest słusznych, ale czy trzeba je reklamować?

Przedstawiciele jawnego pionu nauki rosyjskiej, szturmujący dziś uczelnie i instytuty Zachodu, spotykają się z nieufnością. „Bez przerwy palą papierosy, machają rękami i nie można się z nimi porozumieć”, pisze amerykańska *Science* o podchodach Rosjan. Trochę lepiej dzieje się Ukraincom w Kanadzie, gdzie padają jak na żyzną swojską glebę. A ci z pionu tajnego? Nie widziałem na ten temat raportów, ale podejrzewam, że siedzą gdzieś w krajach arabskich i poddają się z konieczności czemuś w rodzaju odwykówki.

Jeżeli odcięcie nauki jawnej od świata przyniosło opłakane skutki, to jak potraktować naukę i technikę tajną, kar-

mioną tylko ukradzionymi na Zachodzie, często zupełnie przypadkowymi materiałami? Domyśleć się można, że łupy wywiadów gospodarczych były często zręcznymi fałszywkami. Nie wyjaśniono do końca katastrofy Tu 144, kopii (zapewne niezbyt wiernej) Concorde, pod Paryżem. Mówiono, że skrzynię dokumentacji tego samolotu sprzedano za ciężkie pieniądze Rosjanom.

Nie będę więcej mówił o naukowcach strefy tajnej, bo niewiele o nich wiem. Moi przyjaciele Moskale nawet gdyby chcieli, to niewiele mogliby powiedzieć, chociaż pewne kontakty pomiędzy pionem jawnym a tajnym zdarzały się, gdy wojskowi nie widzieli wyjścia z jakiejś technicznej trudności. W ciągu dziesięcioleci wyrosło w pionie jawnym trochę zdolnych ludzi. Zwracano się wówczas do konsultanta z uczelni. Konsultant był tak obstawiony, wystraszony i kontrolowany, że nie było obaw o zdradę tego, czego się dowiedział.

Cokolwiek można by myśleć o wadach systemu nauki zamkniętej, była ona na pewno bardziej szczelna od otwartej nauki zachodniej. Tu nawet w dziedzinach obłożonych tajemnicą tajność łatwo naruszano. Klaus Fuchs w Los Alamos mógł w czasie prac nad bombą atomową odbierać pytania Sowietów i szybko udzielać na nie odpowiedzi. A ufano mu i jemu podobnym, bo taki szpieg nie brał pieniędzy, działał z pobudek ideowych. Zdarzały się, owszem, wypadki przy pracy. Niekiedy — rzadko — padały głowy — np. Rosenbergow. Wiadomo dziś z całą pewnością, że Rosenbergowie przekazywali informacje, które i dziś byłyby ciekawe dla amatorów konstruktorów bomby atomowej. Ale ogólnie biorąc Zachód był dla Sowietów terenem bezpiecznych łowów, co pozwoliło wygrywać bitwy, ale nie zapewniało wygranej w wojnie o świat.

Nie można w tym miejscu nie poruszyć pewnej odmiany nauki co prawda jawnej, ale zdegenerowanej politycznie. Miała ona pomóc przeskoczyć odstęp dzielący naukę sowiecką od Zachodu, ale jednocześnie pokazać, że nauka burżuazyjna niewiele jest warta, bo tylko badania natchnione marksizmem, leninizmem i stalinizmem stwarzają nowe wartości. Najszerzej znanym przykładem jest oczywiście sprawa Trofima D. Łysenki (1898-1976) z jego nonsensami rozwiniętymi w system. Nieszkodliwy w gruncie rzeczy bełkot nawiedzonego, który mógł zdarzyć się wszędzie, został w ZSSR podniesiony do rangi dogmatu, cofnął genetykę rosyjską o dziesięciolecia i kosztował zdrowie i życie tych, którzy po prostu bronili prawdy. Przykładem akademik N.I. Wawilow (1887-1943)

uwięziony za kosmopolityzm, sabotowanie sowieckiego rolnictwa, skazany na śmierć, zmarły w więzieniu w Saratowie. Przy okazji łysenkizm zniszczył kilka dziedzin pomocniczych, że nie wspomnę o ośmieszeniu nauki sowieckiej. Chruszczow bronił i popierał Łysenkę jeszcze w okresie powrotu do względnej normalności.

W przeciwieństwie do łysenkowskiej biologii, inne dziedziny były mniej efektywne i nie miały takiego zaplecza jak rolnictwo i ogrodnictwo. Tamte dziedziny dobijano powoli, latami. Nie wszystko można było niszczyć równie rewolucyjnie jak biologię: zastosowanie łysenkizmu w chemii zamieniłoby fabryki w pochodnie.

Wyciąganie na piedestał miernot jak Łysenko niszczyło całe zastępy zdolnych młodych ludzi. Śmiech ogarniał, gdy lewacy zachodni wychwalali pod niebiosą sowiecki system szkolny, mieszając z błotem własny. Któż oszacuje ile w byłym ZSSR zaprzepaszczono młodych talentów? To też ciągnęło i do dziś dnia ciągnie naukę sowiecką w dół.

Czy maniacy jak Łysenko nie mogą pojawić się na Zachodzie? Oczywiście, że mogą. Dowodów dostarczają nawet ostatnie lata: zimna synteza panów Ponsa i Fleischmana (USA, UK), woda, która „pamięta” kształt i obecność cząsteczek, które były w niej rozpuszczone (Francja)... Ludzie ci nie zdołali nawrócić na swoją wiarę reszty, ale też nikt ich nie tępił. Nawiedzeni nie tracą nadziei. Co gorsza znajdują wyznawców — jeden taki badacz zimnej fuzji zginął na miejscu z głową rozbitą przy wybuchu (zwyczajnym, nie nuklearnym) wodoru w jednym z lepszych uniwersytetów amerykańskich. Nie ulega wątpliwości, że z jednej strony każdy system totalny wyrывa bez litości wszystko co w nauce nie pasuje do ideologii i zamiarów politycznych, ale z drugiej strony demokratyczna tolerancja nonsensów nie może trwać w nieskończoność. Po przekroczeniu pewnej dolnej granicy oceny naukowca trzeba finansowanie jego prac skończyć.

Co dalej z nauką rosyjską? Przez dziesięciolecia stawiano przed nią obowiązek działania w kierunku praktycznych zastosowań. W ówczesnym systemie ekonomicznym miało to taki sam sens, jak żądanie od pasażerów dylżansu na kwadratowych kołach, aby wznosili okrzyki, to pojazd się potoczy. Brak wyników nie wynikał z braku pomysłów i technologii produkowanych przez naukowców. W systemie gospodarczym, w którym fabrykę buduje się tylko raz, na podstawie zagranicznej licencji, a później nie unowocześnia, nau-

kowcy byli bezradni. Teraz system polityczny się zmienił, ale nie ma nowej infrastruktury postępu przemysłowego. Ciągłe działa rozpędzona maszyna, polegająca w naukach praktycznych na całkowitym zapoznaniu ekonomicznej strony zagadnienia. Nawet w nowatorskich pomysłach obejmujących najnowszą naukę i technikę trzeba liczyć wszystko, łącznie z energią i obsługą kapitału, normalnie, jak w gospodarce rynkowej. Moi rosyjscy koledzy nie bardzo to na razie mogą zrozumieć. Nasi naukowcy już prawie. Dowód, że Rosjanie nie mogą zrozumieć, to próby zaimponowania światu pomysłami z minionej ery — jak oświetlanie w zimie kilkuminutowym strumyczkiem niby księżycowego światła obszarów długiej syberyjskiej nocy. Jest to odgrzany teraz projekt NASA z lat sześćdziesiątych, wtedy skrytykowany i zarzucony.

Naukowcy rosyjscy nie ustają w wysiłkach składania ofert swoich usług, opartych na osiągnięciach i talentach. Najnowszy numer *Scientific American* (polskie wydanie w kwietniu) opisuje to szczegółowo. Niewątpliwie coś z tego zaowocuje we współpracy z Rosją, a nie spowoduje wzmożonej emigracji naukowców rosyjskich. Dobre badania na pewno zostaną sprzedane. Nie jest to jednak duży procent i takie oferty nie są nowością. Od wielu lat organy sowieckie składają podobne oferty, starannie analizowane, szczególnie w USA. Z publikowanych tam wrażeń wynika, że zakupiono około 30% ofert. Ze stu ofert komentator wymienił jedną, która miała znaczenie militarne, prawdopodobnie nie zrozumiane przez Rosjan. Jedną licencję zakupiono po to, aby uchronić wielką korporację amerykańską przed ustawą anty-trustową (na podstawie patentu sowieckiego założono fikcyjną fabrykę), wreszcie jedna oferta dała najnormalniejszą w świecie produkcję.

Nonsensowne przykłady przedsięwzięć naukowych à la Łysenko nasuwają refleksje, czy akurat te z nich, które nie były realizowane, nie miały jednak szczypty sensu, choć potępiane są na równi z pomysłami Łysenki. Śmierć Morza Aralskiego (którą można oglądać na własne oczy na trasie Taszkient — Moskwa) ze wszystkimi konsekwencjami tej klęski każe zastanowić się, czy odwrócenie biegu rzek na południe nie miało jednak sensu? Lecąc z Tokio do Europy nad pokrytą prawie zawsze śniegiem północną częścią bezkresnej Rosji myślę sobie, czy jednak nie należało tego realizować? To nie moja dziedzina nauki, ale chciałbym, by właśnie teraz, po upadku ZSSR, ktoś to *sine ira et studio* zanalizował.

Do tego miejsca Czytelnik może odnieść wrażenie, że jawna nauka i technika w ZSSR były zupełnie do niczego, jak tandeta, która przyszła we wrześniu 1939 do Lwowa i stała się obiektem dowcipów i lekceważenia. Dziś widzę, że okazywaliśmy niemal amerykańską, a może i francuską arogancję w tym względzie. Głęboka pogarda, z jaką patrzyliśmy wtedy na wszelkie przejawy sowytyzmu w nauce, nie była w pełni uzasadniona. Moje doświadczenia wykazują, że były w pionie jawnym osiągnięcia rzetelne. Przez całe czterdziestolecie reprezentowałem pogląd, że z przymusowej zależności od Rosjan trzeba wyciągnąć maksimum korzyści. Wzmagająca się akcja Zachodu przeciw eksportowi nowych technologii i urządzeń za żelazną kurtynę kazała zastanawiać się, czy nie można by wydostać czegoś z ZSSR. Żeby mówić konkretnie: w roku 1965 wróciłem rozczarowany z Paryża, gdzie badałem możliwości zakupu akceleratora elektronów, niezbędnego do rozwoju badań w dziedzinie chemii radiacyjnej i zapoczątkowania produkcji sprzętu jednorazowego dla medycyny oraz wytwarzania polimerów z pamięcią kształtu. Francuzi z CSF w Orsay zaproponowali dostawę dobrego sprzętu, który nazwali *Projet Varsovie*, za ogromną na ówczesne możliwości sumę pół miliona dolarów. Do tego dochodziło drugie tyle za części zużywające się, głównie olbrzymie lampy radiowe — kilistrony, znajdujące się na liście embarga. Zakup zapasu na 20 lat miał pozwolić obejść zakaz eksportu (nawiasem, też piękny kwiatek z dziejów zimnej wojny).

Ponieważ milion dolarów był sumą abstrakcyjną, zacząłem rozglądać się za możliwościami Rosjan i znalazłem duży instytut im. Jefremowa na skraju Leningradu. Zespół znany w świecie fizyków, nie miał jednak pojęcia o konstrukcji akceleratora interesującego nas typu. Udało się zainteresować ambitnych elektroników z tego zespołu i wspólnie z nimi zrobić projekt wstępny. Ukrytym kluczem powodzenia był nieznan, a światły decydent sowiecki, który zezwolił wyprodukować cywilną wersję kilistronu. Element ten w oryginalnej wersji był sercem dalekosiężnych radarów wojskowych — stąd embargo na zachodnie wersje. Nie wiem, czy i ile było przypadków drożności pomiędzy zastrzeżonej technologii a jawnej. Przypuszczam, że nie było to zjawisko masowe, bo gdyby przepływy takie były, to nauka rosyjska nie upadłaby tak nisko. Dodam, że akcelerator zbudowany dla nas w Leningradzie pracuje do dziś. Powielone w Rosji kopie pracują w wielu krajach. Ale sukces technologiczny z

lat siedemdziesiątych nie może trwać wieki. Odwiedzający nas kierownik zespołu z Petersburga oświadczył, że stoi w obliczu likwidacji, ponieważ firmy reszty świata są o dwadzieścia lat postępu lepsze.

Nie wszystkim tak się nie poszczęściło. Brytyjska firma Amersham produkująca preparaty promieniotwórcze, m.in. dla medycyny, zawarła szereg umów z rosyjskimi zakładami i sprzedaje ich produkty pod własną nazwą. Można ogólnie powiedzieć, że dobra nauka i technika z obszaru imperium przetrwała, chociaż było jej bardzo mało. Historia zdmuchnęła już wiele z pseudonauki, np. lansowanej przez partie komunistyczne konserwacji cebuli promieniowaniem. Duży zakład do tego celu w b. NRD zamknięto w ciągu jednego dnia. Projekt należał do grupy pseudonauki rolniczej; komuniści chcieli w ten sposób pokazać, że mimo generalnej klęski rolnictwa w ich krajach robią coś „naukowego”, by sytuację ratować. Nie uratowali i ciężko do tych prób dopłacili. Komuniści polscy, szczególnie silnie zaangażowani w projekty agrotechniczne, nie zdołali, na szczęście, zbudować zakładu napromieniowującego cebulę. Upadło też wiele innych urzędniczo-partyjnych projektów agrotechnicznych, które miały pokazać wyższość rolniczej gospodarki planowej nad indywidualną. Niestety, walący się gmach pseudonauki, nie biorącej pod uwagę realiów naukowych i rynkowych, doprowadził do upadku szeregu Bogu ducha winnych instytutów i przemysłów, które zawierzyły zamówieniom resortu rolnictwa. Na szczęście nasz upadek nie jest tak dotkliwy jak w b. ZSSR.

Dokończenie nastąpi

Zbigniew P. ZAGÓRSKI

Seans spirytystyczny z Catem

Lotnisko pod Wilnem zwało się Porubanek. Za czasów rosyjskich Porubanek był pierwszą stacją na drodze kolejowej przez Jaszuny, Bieniakonie, Lidę — w stronę Niemna. Dobrze pamiętam to lotnisko, byłem tam ze dwa razy z ojcem, jako chłopiec. Raz ojciec rozmawiał z tęgim panem w pumphach i kraciastych pończochach, przy którym kręciły się dwie dziewczynki, mniej więcej moje równieśnice. Pan ów miał wichrowatą czuprynę i krótką twarz o rozszerzających się policzkach, wystającą od dołu ku przodowi. Ani miła, ani ładna, utkwiała mi ta twarz w pamięci. Zapamiętałem ją nie gorzej niż kształty dwupłatowych aeroplanów, do których można było podejść i nawet dotknąć. Ojciec kazał mi przywitać się z dziewczynkami, a potem powiedział, że to był redaktor *Słowa* z córkami, Basią i Olenką. Wiedziałem co to *Słowo*. Świeżutki numer gazety leżał codziennie w jadalnym, przy ojcowskim nakryciu do śniadania, obok szklanki wściekle gorącej herbaty barwy jodiny. Takie jest najdalej sięgające zaczepienie mojej pamięci o osobę, której dotyczą te nieważkie wspominki. Chodzi o Cata.

W czerwcu 1974, to znaczy w kilkanaście miesięcy po pogrzebie Stanisława Mackiewicza, ułożyłem długi list do mego przyjaciela w Gdańsku, starego pana Janusza Ostrowskiego. Też postać nietuzinkowa i żałuję, że nie mogę tu rozwieść się szerzej o Janusza Ostrowskim. Więc parę słów. Swego czasu zagorzały peowiak, organizował na Litwie pobór do Legionów i nawet udało mu się wysłać stamtąd kilku chłopców do Królestwa, tylko że było już bodaj za późno. Należał do zespołu redakcyjnego monumentalnego wydawnictwa „Wilno i Ziemia Wileńska”, obok Tadeusza Łopalewskiego, Wiktora Piotrowicza, Ferdynanda Ruszczyca, Jana

Bułhaka, Czesława Jankowskiego i paru innych. Umieścił tam solidnie udokumentowany artykuł o „Litwinach na Ziemi Wileńskiej”, z mapą obszaru w skali 1:50.000, z zaznaczeniem sieci szkół, gdzie uczono po polsku. W Uchwale Sejmu Wileńskiego z 1922 o nierozdzielności tego kraju z Rzeczpospolitą Polską podpis jego widnieje obok podpisów Ludwika Chomińskiego, Zygmunta Fedorowicza, Ludwika Abramowicza i około setki innych nieczytelnych podpisów. Piłsudczyk całą duszą, dowodził, że Marszałek popełnił błąd nie wcielając Litwy do Polski. Podczas ostatniej wojny należał do zespołu BIP-u w Warszawie, siedział na Pawiaku. Figura nie do opisania: profil Chopina z portretu Delacroix, dystrakt i skończony oryginał, w ruchach coś ze sławnego komika Tati, opowiadacz o niewysłowionej sile humoru... Cat swoim zwyczajem, to znaczy w nocy, wydzwaniał do Gdańska, przekazując Januszowi najzłośliwsze polityczne dowcipy.

Pisałem tamten list do Janusza przez kalkę, zostawiając szeroki margines, w nadziei że adresat wpisze swoje uwagi i uzupełnienia. Liczyłem na potęgę gawędziarską tego człowieka. Nic z tego nie wyszło, na mojej kopii nie ma żadnych notatek Janusza. Ale w tych reminiscencjach jego postać nieodzownie musi się jeszcze wyłonić — z tym wspaniałym nosem, wąską i długą twarzą, melodyjnym i doniosłym głosem. W jednym z listów do Michała K. Pawlikowskiego, nieocenionego autora „Dzieciństwa i młodości Tadeusza Irteńskiego”, Cat pisał: Powiedziałaś mi kiedyś, że wiesz, iż z Okuliczem dzieliła mnie kobieta. Myślałem że wiedziałeś, iż chodziło o Janeczkę O., która między innymi swoimi grzeskami miała także Okulicza na sumieniu, ale która kochała mnie naprawdę i doprawdy sądzę, że mnie jednego. — Przytacza ten list J. Jaruzelski w swojej książce o Mackiewiczu, nie wiedząc, jak się zdaje, o kogo chodziło. To żona Janusza, zwana w domu Abą, znana mi od niepamiętnych czasów, bo z jej synem a moim druhem zeszliliśmy się jeszcze w gimnazjum im. Zygmunta Augusta w Wilnie. O urodzie Janiny Ostrowskiej najwymowniej opowiada portret pędzla Ludomira Ślodzińskiego z jego najlepszej florenckiej maniery, finezyjny i żywy. Mam ten obraz w oczach, wisiał w bibliotece ich mieszkania przy krętej ulicy Skopówka, na wileńskiej starówce. Czy Janusz wiedział o tych *liaisons galantes*? Zdaje się, że puszczono to w niepamięć. Z Mackiewiczem i Okuliczem przyjaźń nigdy nie została zerwana, zresztą ten drugi nie wrócił z Londynu. Cat, póki mógł krę-

cić kierownicą, stale odwiedzał Gdańsk. Kazimierza Okulicza, długoletniego redaktora *Kuriera wileńskiego*, Janusz zwał „ostatnim żyjącym świadkiem wyprawy Żeligowskiego”. Emocjonalne związki między trzema panami miały różne zabarwienie. Opowiadał mi Mackiewicz o swoich pojedynkach: raz z wileńskim adwokatem Świdą, drugi raz — z Okuliczem.

W epoce listu Janusza chodziła mi po głowie nieco dłuższa rzecz o Cacie, całkiem osobista. Ekstraordynaryjny Cat odbity, dajmy na to na kliszy przedstawiciela zupełnie innego pokolenia, ale tak samo wilnianina, który do końca pozostanie we władaniu dotkliwego sentymentu do tej ziemi — kierując się, prócz tego, przekonaniem, że to praktycznie bezużyteczne uczucie należy w sobie rozwijać. Dlaczego i w jakim celu? Pisząc do Janusza nie miałem gotowej odpowiedzi. To jest pewnie w ogóle szersze zagadnienie: na co człowiekowi zbędne, ale prawdziwe emocje o charakterze nostalgicznym? Przypuszczam, że powinienem być o to spytać Cata. Coś w tym sensie: A pana, by tak rzec, obecny stosunek do Wilna — na czym polega? Kto wie, czy nie rozwinęłaby się bogata wszechstronna rozmowa. Mogę tylko domyślać się jego odpowiedzi. Był jednym z nas, noszących w sobie Polskę znacznie większą, niż jest w rzeczywistości fizycznej i prawnej — i jednym z tych, którzy kpili sobie z tzw. „realistów”, uważających to za brak poczucia epoki i okoliczności.

Gdy Cat wrócił do kraju, chciałem się z nim rozmówić i szukałem okazji. W *Nowej Kulturze* z maja 1965 napisałem, że w osobie Mackiewicza „emigracja spojrzała w lustro i przerażona się śmieszności”. Było to dęte a głupie, nie wyrażało w istocie mego własnego zdania, odezwało się na zasadzie obowiązującego wtedy echa. W tamtych czasach prawie wszyscy byliśmy, jak w opowiadaniu Twaina, kolekcjonerami ech. Jakież było moje zdumienie (nie bez poczucia wstydu), gdy Cat oświadczył, że każda krytyka go interesuje, nawet najmniej inteligentna, bo świadczy o zainteresowaniu. Ale najpierw był telefon: upewnił się, że nie chodzi mi o jakiś wywiad do gazety, po czym zaproponował: No to zapraszam pana do „Dziennikarzy”, o trzeciej. Zjemy obiad. W tzw. Domu Dziennikarza na końcu ślepej uliczki Foksal była restauracja z ogródkiem i małą fontanną. Ten uprzywilejowany stolik przy fontannie musiał zamówić telefonicznie, bo w lokalu było rojno i gwarno. Pyta kelnera, czy są raki?

Chytry lokaj szepce: Tylko dla pana premiera...! Cat szybko pozbył się zwykłej opryskliwości, był ożywiony. Ach, przecież to pan pisał niedawno o muzyce! Ja — o muzyce? Ojciec mi tłumaczył, że słoń stapał po moim uchu. A jednak Mackiewicz miał rację. Parę miesięcy wcześniej (głośna wtedy była sprawa uprowadzenia syna Piaseckiego) opublikowałem felieton o amerykańskiej operze ludowej „Porgy and Bess” Gershwina, której występy w sali „Roma” na Nowogródzkiej budziły sensację. O samej muzyce nic w felietonie nie było, raczej o imponującej sprawności, o kondycji tanecznej tego murzyńskiego zespołu i o związanych z tym wrażeniach. Był to czas, gdy nie wzbraniano cieszyć się, a nawet epatować amerykańską kulturą, cenzura po Październiku poluzowała, więc się korzystało, ile było można. Dlaczego Mackiewicz, który znał mnie z londyńskich *Wiadomości* i z *Kultury*, upierał się przy tym artykule?

Cat subtelnie perorował. Słuchałem. Wtedy należało to notować w pamięci, ale okazałem się mało przewidujący. Za dużo było dobrego trunku i raków. Dwa razy zamawiał karafkę jarzębiaku. I monologował. Czułem się jak w niebie. Jakbym się znalazł u znachora leczącego z kompleksów i przywracającego pamięć. W kraju nie było dotąd szans na tego rodzaju rozmowę, gdy nareszcie można było nazwać rzeczy po imieniu — i o najważniejszej mówić wprost, ludzkim językiem. Wreszcie wyraz Polska odzyskiwał całą swoją semantykę i jednoznaczność. Może nawet samo słowo w ogóle nie padało, wystarczająco słyszalne, namacalne w szumie innych słów pospolitych. A jeżeli Cat je wymawiał, to bez emfazy, fachowo, ze znanstwem i rutyną specjalisty od Polski, obcującego z tym przedmiotem na co dzień. Przy biesiadnym stoliku, w ustach tego zmysłowca i smakosza Polska jakby fermentowała musując skojarzeniami. Finezyjny, dowcipny, aforystycznie ozdabiając swoją rozmowę, przy jedzeniu i piciu Cat bynajmniej nie był wytworny, mlaskał i wałał płachtę serwety na brzuchu. W kącikach ust występowały przezroczyste banieczki śliny.

Zjadłszy co było na półmisku, kiwnął na kelnera: Nie ma pan jeszcze raków? Znalazły się, a jakże, choć kelner znowu szeptał, że to ostatki. Wszystkie raki pochłonęliśmy z Catem tego pogodnego dnia jesiennego, w restauracji dziennikarzy PRL-u, w tym *cul-de-sac* na Foksal. Niezmiernie anegdotyczne wspomnienie, ma wszelkie cechy sytuacji zmyślonej. *Plus vrai que nature!* Gdybym tę scenę z rakami umiał inteligentnie przepleść odtworzonym syntetycznie monolo-

giem Cata, na kształt bloku: o WIELOPOLSKIM-DOSTOJEWSKIM-ŚMIERCI PROF. KŁOSA PO ODKRYCIU GROBÓW KRÓLEWSKICH W WILEŃSKIEJ KATEDRZE-MANII GENERAŁA ŻELIGOWSKIEGO-O SŁOWIKACH POD WERKAMI-HONORZE WALEREGO SŁAWKA-KAROLU DE GAULLE (BRŃ BOŻE NIE CHARLES DE GAULLE!)-O MARSZAŁKU-ARRASACH W QUEBEKU-O NĘDZY SOCJALIZMU I MĄDROŚCI PETAINA — to oddałbym może w przybliżeniu ruchliwość i przestrzenność tej rozmowy. Wszystko się tu sklejało w spoistą jedność, a historia niczym się nie różniła od dnia dzisiejszego i jutrzejszego. Niestety, magnetofonu nie miałem pod stołem. Gdy przyszło do płacenia, Cat bez ceremonii przyjął do wiadomości, że cały rachunek z odpowiednim napiwkem (te raki!) reguluje zaproszony przez niego słuchacz i odbiorca jego elokwencji.

Czasem fantazjuję sobie — myśląc o tych oryginałach z kresów, tak szczególnie uzdolnionych w wydobywaniu rzeczy najciekawszych, zupełnie niepodobnych do pospolitych gadułów od trzy-po-trzy. Ci panowie z Wielkiego Xięstwa (koniecznie przez X), jak Cat, jak Czesław Jankowski, autor „Powiatu Oszmiańskiego”, jak Władysław Studnicki urodzony w Inflantach, jak Wańkowicz, jak Pawlikowski, jak mój przyjaciel Janusz Ostrowski — głębię pamięci, impet obrazowania łączyli z niesłabnącym ani przez chwilę poczuciem komizmu i paradoksu. Ich konkretna litewska umysłowość doskonale rozróżniała, co w życiu podłe, a co wielkie. Raz w Jelitkowie opowiadał mi Janusz, jak to Stowarzyszenie Służących wileńskich udało się do Belwederu.

W zapamiętanej przeze mnie (z pewnymi lukami) relacji Janusza wyglądało to następująco. W 1925 Waclaw Studnicki, który wtedy założył partię o nazwie (o ile dobrze pamiętam) Związek Woli Przyłączenia Litwy do Polski, zorganizował wyjazd do Warszawy licznej delegacji wileńskiego Stowarzyszenia Służących pod zawołaniem św. Zyty. Studnicki poznał Janusza na wiecu w sali ratuszowej, gdzie Ostrowski miał płomienne przemówienie, które rozentuzjamało pięć tysięcy osób, bo aż tyle mogło się w tej sali pomieścić. Przekorny Studnicki wdrapał się na trybunę i powiedział swoje. W sali były bojówki narodowej demokracji, które dobrały się do Studnickiego i z opresji ocalił go wysoki Janusz, zasłaniając filigranowego Studnickiego wyciągniętymi ramionami. Taki był początek ich znajomości. Nazajutrz w endeckim miejscowym dzienniku ukazała się karykatura: Janusz Ostrowski,

któremu kapie krew z nosa i mały Studnicki pod jego skrzydłami.

Studnicki zwrócił się do Janusza, jako do wypróbowanego mówcy, gdy doszło do organizowania owej wycieczki do Warszawy. W moich notatkach nie ma wyjaśnienia, dlaczego przedstawicielkami Wilna miały być akurat służące ze Stowarzyszenia św. Zyty? Studnicki zdobył dwa wagony specjalne. Na dworcu w Warszawie powitał ich prezydent stolicy. Ale pojawił się tam również brat Waclawa, słynny Władysław Studnicki. Przemówienie Janusza wywołuje ogólne wzruszenie, służące wycierają nosy, po czym pochód udaje się Alejami Jerozolimskimi i Ujazdowskimi pod Belweder. Do trójki delegatów, obu Studnickich i Janusza, wychodzi Marszałek, Waclaw Studnicki kłania się po staroświecku i wypowiada uroczyste słowa, a Marszałek się uśmiecha rozbawiony. Dlaczego Piłsudski się uśmiechał, przecież ta demonstracja była mu wtedy na rękę? Nie brakło mu także poczucia humoru.

W pewnym momencie wchodzi Witos i wtedy następuje znamienna wymiana zdań między chłopskim premierem a Władysławem Studnickim: Janusz użył określenia „pyszna wymiana zdań”. Studnicki miał mały wzrost, ale hardą duszę. Przemawiając do Marszałka zaznaczył, że celem tej wizyty jest spowodowanie przyłączenia Litwy Środkowej do Polski. Wtedy zabrał głos Witos: Proszę pana, Polska jest i tak za duża! — Na to Studnicki: To nie Polska jest za duża, tylko pan, panie premierze, jest za mały, żeby nią rządzić!

Cat pisał kiedyś, że znał tylko dwóch polityków całkowicie bezinteresownych, Sławka i Władysława Studnickiego. „Czyn jest czymś większym od koncepcji, dlatego uznaję wyższość Piłsudskiego nad sobą — powiedział Studnicki na jednym ze swoich procesów sądowych, w 1938 roku. Sala zatrzęsa się od śmiechu: myśl, że ten drobny staruszek z rozczochraną głową mógł się porównać z samym Piłsudskim wydawała się jej godna śmiechu”. Cytuję to z Mackiewiczowskiej „Historii Polski”, a to mi coś przypomina.

W jakiś czas po epizodzie z rakami biorę taksówkę na postoj w pobliżu Pałacu Staszica i pomnika Kopernika. Czuję, że ktoś się pakuje siłą do środka, wraz ze mną, zadając nieco spóźnione pytanie: Czy nie jedzie pan czasem w stronę Starówki? — Cat! Oczywiście z radością podwoziłem go na ulicę Jezuicką. Jednego nie mogę teraz, retrospektywnie, zrozumieć: jakim cudem na tej krótkiej trasie między

Krakowskim Przedmieściem a Starówką znowu zawiązała się między nami rozmowa (czytaj: monolog) o wielu najgłośniejszych sprawach, o Polsce-Litwie i zatraconej idei *restitutio in integrum*, i jeszcze paru rzeczach, o jakich nikt normalnie w ciasnej warszawskiej taksówce nigdy nie mówi. Cat miał dar — gdy czuł dobrego słuchacza — naprowadzania każdego fragmentu rozmowy na ślad historii, ściślej mówiąc: snucia jej ciągu dalszego. — No to ja panu ofiaruję moją „Historię Polski”! — palnął wtedy ni z tego ni z owego. Gdybym wówczas wszedł z nim po schodach do mieszkania przy Jezuickiej 6, to pewnie bym tę książkę z jego dedykacją teraz posiadał.

Wśród tych wspominek, z ich śrutowym rozrzutem (bo kontakty były rzadkie, różnej wagi i jakby poutykane w różnych kątach naszej znajomości) najokazalsze było spotkanie na wernisażu jedynej po wojnie wielkiej retrospektywy Ruszczyca, którą prof. Lorentz urządził w swoim Muzeum Narodowym. Wszyscy wiedzieliśmy dobrze, że to coś więcej, niż jeszcze jedna kolejna wystawa. Zgromadził się tłum — tzw. cała Warszawa. Raptem wszystkie głowy, jakby je ktoś pociągnął za sznurek, zwracają się ku schodom: wchodzi Cat. Co tam wchodzi — to słowo jest w ogóle niestosowne: *pojawia się* Cat, jakaś współczesna inkarnacja króla Leara. *Entrée!* Dokoła cisza, a on sunie środkiem, z trudem stawiając stopy, z jednej strony wsparty na niziutkiej sekretarce, w drugim ręku posługując się laską. Postać okropna — wokół głowy rozwichrzone białe i długie włosy, poplamiona ceglasta twarz z obwisłą wargą, małe świecące oczka — przed nim brzuch niby kolosalny nowotwór. Ale nikt o tej ruinie fizycznej nie myśli, nikt jej nie zauważa. W powietrzu stoi podziw. Niezrozumiała, formalnie biorąc, dysproporcja ustala się od razu między tą wernisażową, elitarną publicznością a makabryczną figurą Cata. Ściąga ku sobie oczy jak epicentrum.

Coś mamrocząc, czego nie uchwyciłem, mija monumentalną „Ziemię” i spotykamy się dopiero przy „Nec mergitur”, z tym korabiem z czerwonymi latarenkami, w nocy, na rozszalałym oceanie. Symbolika obrazu aż zbyt łatwa. Jednak w owym gomułkowskim zagadkowym okresie symbolika „Nec mergitur” jeszcze raz pulsuje kardynalnymi znaczeniami. I znowu — rozmowa, jak w tej taksówce, omijając zwykłą w takich razach banalność, przybiera niezwykle rozmiary. Nie wiadomo dlaczego mówimy o Jasienicy i o jego „Polsce Piastów”. Przy okazji powtarzam usłyszaną od Jasie-

nicy opinię, że największym królem Polski był Kazimierz Wielki. Reakcja Cata jest straszna. Sinieje na twarzy, cały jakby się kurczy, przez chwilę bezsilnie poruszają się wargi i oto wśród tyłu chciwie nastawionych par uszu rozlega się raptem piskliwy krzyk, bo głos ma Cat nieładny, do całej osoby całkiem niestosowny:

— Kazimierz?!?! Kazimierz jako królewicz uciekł z pola bitwy, proszę pana!

Wydarzenie dla Mackiewicza — niemal współczesne.

Zaprosił mnie do siebie telefonicznie. Zdaje się, że już wtedy stale siedział w fotelu i nie podnosił się do gości, nawet, gdy przychodziły panie. Wręczył mi egzemplarz „Polityki Becka” wydanej w Paryżu, z prośbą o krytyczne uwagi. Przedtem czytał to Janusz Ostrowski, który o mały włos książki nie zgubił (zostawił na dworcu, na ławce), co było do Janusza bardzo podobne. Spytałem Cata, jakim sposobem udaje mu się publikować w emigracyjnym wydawnictwie i pytanie wywołało wyraźne zadowolenie gospodarza. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że ogłasza w *Kulturze* korespondencje pod francuskim pseudonimem Gaston de Cerizay. Proponowałem najpierw w PAX-ie, powiedział Cat, ale się wykręcili pod pozorem braku papieru. „Politykę Becka” czytałem z ołówkiem w ręku, żeby w miarę możliwości sprostać zadaniu: ale Beck jako polityk znacznie mniej mnie obchodził w tej książce niż jej autor. Analizowałem jego bardzo swoisty język, elastyczny, oparty na krótkim zdaniu prosto idącym do celu. Nie pozbawiony błędów, które mi nie wadziły. Oryginalną aksjomatykę — ze wszystkimi skłonnościami i stronniczością. Ten jego, na przykład, sentyment do wieku XVIII z całą jego rokokową elegancją i racjonalizmem, co tworzyło niewiarygodną mieszaninę — z charakterystycznym dla Cata kultem wileńskości, tamtejszego „rozmokłego” (wyrażenie Skargi) tempa i całego stylu życia. Smakował mi jego egocentryzm, bystrość i pewien rodzaj naiwności, wiara niezachwiana w skuteczność anegdoty. Był zaskoczony i zbudowany sumiennością tej recenzji, zerkał na moje kartki pokryte notatkami. Powinienem być wtedy skorzystać z nastroju i upomnieć się o obiecaną „Historię Polski”, z dedykacją.

Ostatni raz byłem u niego 14 października 1965. Datę dobrze pamiętam, bo dedykował mi świeżo wydaną „Europę in flagranti”. Tytuł został mu podsunęty przez Wańkowicza: „Kiedy sensualizm Mackiewicza łączył się z informacją dawało to rezultat, który można by ochrzcić jako klasykę tytułu.

Napisawszy książkę demaskującą Europę przedwojenną wdającą się w przestępne flirty, głowił się nad tytułem. Byłem u niego, kiedy ktoś przyniósł dowcip pyskatego ludku warszawskiego, wysłuchany w kolejce po cytryny: — To ten facet przychodzi do domu, znajduje żonę pod flagrantem i krzyczy: — Ty tu czas tracisz, a w supersamie cytryny pokazali się! Mackiewicz odśmiał się i nagle krzyknął: Mam tytuł! Tak oto ukazała się „Europa in flagranti”.

Ci dwaj starzy panowie z kresów krążyli po analogicznych, choć nie stykających się orbitach, wzajemnie się obserwując. Ciekawa rzecz. Mam kilka dedykacji Wańkowicza z okresu, gdy narzekał na miążdżycę twierdząc, że po raz ostatni podpisuje własnoręcznie. Otóż ich charakterystyka tego okresu drżenia rąk są uderzająco podobne, prawie identyczne: w istocie było to jedyne między nimi podobieństwo, bo przecież się nie kochali, chyba właśnie ze względu na wspomniane analogie. Mimo wszystko pan Melo pisał o tragicznym losie Mackiewicza pozbawionego ożywczego tła krytyki, i dodawał: Tęskno mi do wielkich pasjonatów (...) Gdzie Stonimski (owszem jest, ale go nie ma). I gdzie Mackiewicz, monarchista, hipersanator, wsadzony przez tę sanację do Berezyna? Zamieścił o mnie w ciągu wielu lat jedenaście artykułów. W interwałach chodziliśmy na wódkę. Umarł w nostalgii za brakiem polemiki.

Gdy podpisywał mi „Europę in flagranti”, było na Jezuickiej kilka osób, jakieś panie o świetnych nazwiskach, których nie zapamiętałem. Cat siedział przygnębiony. Mówił, że o tym jego ostatnim dziele nikt nie wspomni, choć jedna z pań o doskonałym nazwisku zaręczała, że już o tym pisze Dominik Horodyński. Cat mruknął coś opryskliwie. Powiedziałem, że okładka „Europy” jest fatalna, bez blasku — na co od razu się zgodził. Wszystko już widział w złym świetle. A przecież to dobra książka, posługująca się giętkim jak łoża językiem. Jako filozof historii, jako erudyta Cat raz po raz traci amatorszczyznę. Ale cóż z tego! Zachwyca niezmiennie integralnością swoją i samowystarczalnością, tym co Wańkowicz nazywał: *pasją*. Z tego też idzie rytm jego stylistyki, utkanej umyślnym czy nieumyślnym, jak sam to nazywał „nieugramatycznieniem”, które uważał za środek przykucia uwagi czytelnika. Strach pomyśleć, co by się stało z jego pisaniem, gdyby (jak powiada w „Domu Radziwiłłów”) przystępując do książki zmuszał się za każdym razem do wertowania 250 metrów archiwalnej przestrzeni. W umyśle Cata impulsy rodzą się i komunikują błyskawicznie, jak na polu

bitwy, i domagają się natychmiastowego wcielenia literackiego. Cat nie ma nerwów na medytację. Dlatego spod jego pióra tyle wyskoczyło sądów nieoględnych i głupstw. Ale te same wady i grzechy powodują, że Cat to pisarz w całym znaczeniu słowa prawdziwy. Że wszystko co pisze, bierze się tak na serio.

Powodem zewnętrznym napisania tej impresji o Stanisławie Mackiewiczu stało się obejrzenie ciekawego filmu telewizyjnego Ludomira Motylskiego. Film ma głębokie plany, powołuje ważnych świadków, łącznie z architekturą (plenery robiono w Wilnie i w Petersburgu). Prawdziwym, wewnętrznym bodźcem do tego szkicu była zamarkowana już poprzednio kwestia, do której niebawem przywiązuje wagę. Co my — ludzie STAMTAŃ — mamy robić ze swoją miłością do Ziemi Wileńskiej, by nie powiedzieć do końca: ze swoim przywiązaniem do tradycji Wielkiego Xięstwa Litewskiego? Mamy to nosić przy sobie, jak korporancki znaczek w klapie — i tyle?

W samej rzeczy są tu aż dwa pytania, jedno prowokuje drugie, zacznę od tego drugiego, o bezpośrednim charakterze politycznym. Mój przyjaciel Janusz lekcewał litewskich nacjonalistów, przezywał ich „litwomaniami”. To było zupełnie w innej epoce. A teraz? Niedawno opowiadał mi Tadeusz Konwicki, że od czasu podpisania przez niego pewnej zbiorowej deklaracji o nienaruszalności granic litewskich otrzymuje stopy listów z wymysłami i pogrozkami. Na lekomyślność nie ma rady! Trzeba się do tego przyzwyczaić, jak do kalectwa. Co do Mackiewicza, nie mam najmniejszych wątpliwości, że w tej kwestii zająłby dziś stanowisko, które podzielają w Polsce wszyscy ludzie przytomni. Zwłaszcza ci, którzy w swym uczuciu, w swojej wyobraźni — z Ziemią Wileńską ani na chwilę się nie rozstali.

Czym mocniej pojmujemy swój związek z tą ziemią, tym bardziej stanowczo podkreślamy nieodwracalność dzielącej nas od niej granicy. Ten syllogizm może się rozmaitym zadufkom wydać dziwny, dla mnie jest to jedyne syllogizm: ponieważ serio traktujemy swoje zrosnięcie z Wileńszczyzną, więc równie poważnie, jako rzecz postanowioną i obiektywną, traktujemy przynależność tej Ziemi do Litwy. Opoziem teraz o rozmowie z Cate, której nigdy między nami nie było, choć miała wszelkie szanse, żeby się odbyć. Pytam Cata: Polski minister występując w litewskiej Radzie Najwyższej nazwał Wilno „niezapomnianym miastem”. Co pan sądzi o tej dyplomacji?

Odpowiedział z przekąsem: „Miasto niezapomniane”! Czy pan Skubiszewski rozumie cokolwiek ze znaczenia tego epitetu? Jak przystało na człowieka dobrze wychowanego wybąkał pod adresem gospodarzy odpowiednią formułkę. Dla nas to miasto jest naprawdę nie do zapomnienia. To nie wchodzi w rachubę. Mówi to panu człowiek, który w ciągu kilku lat redagował w Londynie pismo *Lwów i Wilno*. Czy z tego powodu zadnę teraz w surmy bojowe? Bom Litwin — wedle zatraconej dziś etymologii tego wyrazu? Nie zadnę. Właśnie dlatego, jak pan sam powiedział. My, związani z Kresami nerwami i całą siłą pamięci, mamy za zadanie ocalić esencję, w Arystotelesowskim rozumieniu słowa. Marszałek chciał oddać Wilno w zamian za federację. Plan nie miał szans. Nie tylko dlatego, że go nie chcieli Litwini. Także dlatego, że pod wpływem Dmowskiego wyparli się go koroniarze, zarażeni jego prymitywną ideą państwa etnicznego. To już historia, jak się zwykło mówić. Tylko że w moim mniemaniu historia nigdy nie kończy się bez reszty. Zawsze ma ciąg dalszy. W nowych wzajemnych stosunkach polskoliteńskich, kiedy już wyeliminowaliśmy spór o Wileńszczyznę, musi zająć coś istotnego.

Powiedziałem: Na przeszkodzie temu stoi fobia Litwinów. Ich fobia wobec polskości — absolutna, jak się mówi o absolutnym słuchu muzycznym, czy o braku tego słuchu.

Cat: Toteż postulaty, które mamy na myśli, trzeba kierować nie do Litwinów, tylko do Polaków. Do nas należy rozbrajanie tej fobii. Bez zastrzeżeń uznaliśmy partnerskie stosunki między dwoma państwami. Taka jest umowa. Ale nikt nam nie zabroni zastrzec dla siebie szczególnych obowiązków wobec Litwinów! Pamiętajmy, że mimo wszystko (wbrew tej małości, którą symbolizują listy do Konwickiego) można i trzeba sobie wyobrazić politykę mającą na celu mądrość, politykę na tym poziomie pojęcia *philosophia*. Najprościej mówiąc, powinniśmy wobec Litwinów wskrzesić stosunek pokrewieństwa, w niczym nie naruszający odrębności politycznej. Mam na myśli reaktywowanie nerwu historii. Między nami a Litwinami jest pod tym względem niefortunna symetria. Oni znajdują w historii źródła swojej fobii. My — analogicznie — winniśmy właśnie z historii czerpać powody do traktowania litewskich sąsiadów jako bliskich krewnych. Nie znoszę podkreślenia przepaści dzielącej rzekomo przeszłość od przyszłości. Historia jest formą ludzkiej świadomości. Historia jest równie niejasna jak przyszłość, dlatego więc nie traktować obydwu selektywnie i tak samo profetycznie.

Tylko inteligencja rozświetla historię: ten sam instrument nadaje się doskonale w stosunku do przyszłości. Wiem, że to niejasne...

Powiedziałem: To metafora, którą doskonale rozumiem.

Cat: Historia należy do sztuk pięknych. Profesor Pigoń doliczył się wszystkich guzików w ostatnich spodniach Mickiewicza i co komu z tego. Historia, jak poezja, bez metafory nie może się obejść: ale to nie jest jej słabość czy niewieścią, tylko przejaw męstwa.

Ach, gdyby się udało te Mackiewiczowskie wspominki w pewien sposób przewartościować: tak aby się stały próbą refleksji — o sensowności zachowania w sobie idei i obrazu Rzeczypospolitej wielonarodowościowej, w tym obrazu Wileńszczyzny, choć na jawie już tam nie wrócimy. Więc sen. Ale uwaga: choć bywają sny-zmory, nikt nie zaprzeczy, że niektóre sny mogą być życiodajne.

Poniewczasie sobie wyrzucam, że nie wykorzystałem wszystkich okazji, jakie nasuwała ta znajomość z ostatnim pasjonatem. Jego ekscentryczność wyostrzała moje nerwy. Moje spóźnione pragnienie samorealizacji jako syna tamtej Ziemi. Wilnianin nie musi tu, na emigracji warszawskiej, czuć się intelektualnym pasierbem. Nie jest bezdomny, dom swój nosi ze sobą jak żółw i ta jego samowystarczalność — choć stanowi dlań problem — mieści się w pewnym wysublimowanym porządku rzeczy. Nie jest dla mnie ani rujną chimerą, ani rodzajem tchórzliwego alibi wobec życia, które idzie swoim trybem. Odwrotnie. Stanowi dodatkowy wątek wzbogacający moje przeżywanie polskości. Po prostu, nie dopuszczam absurdalnej idei, że z tej jagiellońskiej idei mogłyby zostać tylko wióry i kompleksy. Posłużę się cytatem z dzieła wybitnego historyka: „Zjednoczenie to pociągnęło za sobą zasadnicze zmiany w statystyce i dynamice państwa polskiego. Jakżeż odmienne od piastowskich są teraz warunki przestrzenne i etniczne Polski Jagiellonów, jakżeż różna ilość i jakość ziemi, a w ślad za tym ilość i jakość ludzi! Państwo, rozłożone dotychczas niemal wyłącznie w basenie rzeczonym Wisły, w drobnej części Odry, rozszerzone zostało na systemy Dniestru, Prutu, Bohu, Dniepru, Niemna i Dźwiny. Do jednolitego niemal dotychczas narodu Polski piastowskiej wchodzi obecnie narodów kilka: Polacy, Litwini, Rusini, Białorusini, obok pomniejszych grup Niemców, Tatarów, Ormian, Wołochów, Cyganów, Żydów. Wzajemne ich na siebie oddziaływanie w rytmie życiowym wspólnej państwowości

wytwarza nieznanym przedtem typ obywatela tej nowej Rzeczypospolitej, efektowny niezmiernie pod względem politycznym i kulturalnym końcowy produkt jagiellońskiego okresu". Tak pisał przed wojną Ludwik Kolankowski w książce, która dopiero w tym roku mogła być wznowiona.

W tym sensie (jestem pewien) potoczyłaby się dyskusja z Catem, gdybym mu był zadał wtedy zasadniczą kwestię: Drogi panie, co robić w tym brzemieniu, jakim jest nostalgia za Wilnem? — Jakbym słyszał jego odpowiedź, zapewne szybką i mrukliwą, a może precyzyjnie wyważoną: Co z tym robić? Tu nie ma dwóch zdań. Gromadzić to i pielęgnować jako odrębny gatunek energii, dotyczący tego co najważniejsze w naszym życiu osobistym. Czy myśli pan, że napisałbym cokolwiek, choćby tę książkę o nie cierpiącym Polaków Dostojewskim, gdybym nie słyszał w sobie odgłosów stamtąd, jakiegoś szelestu sitowia nad Naroczą, bicia dzwonów u św. Piotra i Pawła na Antokołu, gwizdka dyżurnego kolejarza na stacji Nowowilejka?

Dopowiadam sobie: Co by robił ze swoim warsztatem pisarskim Konwicki, gdyby był głuchy na tego rodzaju echa? Wileńskość (jaka to niezgrabna nazwa na ów intensywny stan umysłu) jest i moją energią, której nie umiałem dotąd spożytkować, ale jeszcze żyję i nic mnie z tego stanu nie wytrąci do końca. U Cata wszystko — jego impulsywność i stronniczość, dziwacznie ożenione z poczuciem realizmu, cały jego stosunek do Polski — szło kanałem wileńskim. Miał wileńską drożność. „Od dawna już czuję (notował w „Pamiętniku” Brzozowski), że cała moja robota życiowa będzie w znacznej mierze stracona, jeżeli nie uda mi się głębiej wniknąć w organizm naszej przeszłości i dowieść nie argumentami, lecz konkretnym przedstawieniem jej, że ma ona inne znaczenie niż to, które się w niej z innych punktów dostrzega. Jest dla mnie prawdą filozoficzną, że nie tylko wybieramy sobie swoją historię, lecz tworzymy ją, ilekroć dzięki naszym myślom stają się czymś innym te, lub inne wątki...”. To przykonywający, z typową dla Brzozowskiego namiętnością wypowiedziany pogląd, że historia jest przedmiotem intymnych operacji — na co zachną się różne uniwersyteckie głowy. Bóg z nimi. Historia to mój własny, z trudem uciulany kapitał, którym mam prawo na własną korzyść obracać.

Zbigniew FLORCZAK (PELIKAN)

Kraj

Strzeżcie się agentów...

PRZEMÓWIENIE NA ZJEŹDZIE LEGIONISTÓW
W KALISZU 7 SIERPNI 1927 R.

(...)

Proszę Panów, agentury obce, to jest zjawisko stałe i codzienne, towarzyszące nam rok za rokiem, dzień za dniem, jest to część naszego życia tak wielka i tak starannie w stosunku do nas ułożona, iż nasza praca — że tak powiem — jest współbieżna z pracą agentur obcych.

(...)

Proszę państwa, w 1918 r. — zgodnie z piosenką legionową — „ni z tego, ni z owego była Polska na pierwszego”. Żywo pamiętam ten czas. Od tego czasu liczę swoje przeżycie największe i najcięższe. Od tego bowiem czasu zacząłem pracować na Państwo Polskie, stojąc na jego czele. Proszę państwa, ten dziki chaos, w który wpadłem po powrocie z Magdeburga, dziki chaos sądów, zdań, myśli, dziki chaos ugrupowań, dziki chaos, niemożliwy do ułożenia w jakiegokolwiek łamigłowie. Te dzikie rozbieżności były tak wielkie, tak olbrzymie, że uważam to za jeden z cudów talentu, że mogłem z tego chaosu wyprowadzić Państwo na jakąś ścieżkę, gdyż wydawało się to wprost niemożliwością.

Skarżymy się teraz na wielką ilość stronnictw. Cóż dopiero mówić o owych czasach, gdy stronnictwa składały się z czterech lub pięciu ludzi, zebranych w jakiejś knajpce. Mianowali oni siebie stronnictwem, odsądzaali wszystkich innych nie tylko od wszelkiej cnoty i wartości, ale robili z nich ludzi potwornych zbrodni i zapowiadali, że za żadną cenę, za żaden skarb, za żadne pieniądze i za żadne rzeczy na świecie nie

pójdą nigdy z nikim — prócz ze sobą, w pięciu — razem jedną ścieżką. Chaos słów był tak wielki, że gdyby nie moja mocna głowa, to bym doprawdy zwariował od wystuchiwania jednego dnia pięćdziesięciu ludzi. Wszyscy bezsilni, nie poczuwający się do żadnej siły, a żądający usłuchania ich recept zbawienia Polski, których sami nie byli pewni, ustępujący łatwo od każdego słowa, a za to tym zażarciej zwalczający obok mieszkającego sąsiada.

(...)

Mogę panom powiedzieć, że system moich kalkulacji zawsze rozbijał się nie o co innego, jak o tę siłę agentur obcych, płatnych przez obcych dla szkodenia Polsce, aby nie była ona zbyt silna, aby nie miała tej siły, jaką mogłaby mieć w tej czy innej chwili. Nieraz myślałem sobie, moi panowie, że tak wstrętnej prawdy żadne państwo nigdy w swoim życiu nie miało i gdy szukałem porównań historycznych, znajdowałem zawsze momenty upadku Polski, gdy, proszę panów, ludzie dzielili się pomiędzy sobą tylko tym, od kogo pensję brali, czy od protektorki Polski — imperatorowej Katarzyny II, czy od przyjaciela Polski — Fryderyka Wielkiego, czy od trzeciej konkurentki — Marii Teresy.

(...)

Polskę, być może, czekają i ciężkie przeżycia. Podczas kryzysów — powtarzam — strzeżcie się agentur. Idźcie swoją drogą, służąc jedynie Polsce, miłując tylko Polskę i nienawidząc tych, co służą obcym.

Józef PIŁSUDSKI

Końcowy głos uczestnika Konferencji Aktywu MBP w 1954 r.*

Leon Winiawski — urodzony w 1914 r., przedwojenny komunista, długoletni więzień polityczny, uczestnik II wojny światowej, inwalida wojenny. Posiada najwyższe odznaczenia państwowe i wojenne: Złoty i Srebrne Krzyże Zasługi, Krzyż Walecznych, Krzyż Polonia Restituta, Sztandar Pracy i in. Do 1958 r. wyższy oficer wywiadu. W 1968 r. wystąpił z PZPR. Pozbawiony renty i obywatelstwa PRL — wyjechał z Kraju z „dokumentem podróży”. Od 1968 r. zamieszkuje w Izraelu.

Po zapoznaniu się z odgłosami czytelników i komentarzami prasowymi, jako jeden z uczestników konferencji, z której pochodzi protokół — chcę zwrócić uwagę na dwa aspekty tej sprawy:

1. Korespondencja i dyskusja na temat opublikowanego protokołu;
2. Agentura i lustracja.

ad 1. Kiedy przed 22 laty protokół trafił do moich rąk, wydawało mi się, że narada, w której uczestniczyłem, odbyła się z końcem października, a nie w listopadzie, jak napisano w nagłówku protokołu. Niestety, daty nie pamiętam i nie przywiązywałem do tego większej wagi. Forma graficzna protokołu, brak dokładnej daty, nazwisk osób zasiadających w prezydium i porządku obrad — potwierdzały wyjaśnienia przekaziciela, że powstał on z różnych notatek i nagrań, mimo zarządzenia ministra odnośnie zakazu protokołowania.

Jak wyżej wspominałem, zwróciłem uwagę na nieścisłość daty, ale dokładnej nie pamiętałem. Teraz jestem już pewien, że konferencja ta odbyła się 24-25 października 1954 r. Nie-dokładność ta nie ma — moim zdaniem — większego znaczenia. Czytając pierwsze strony i treść mojego przemówienia, nie miałem już żadnych wątpliwości, że są to autentycz-

* Kultura 11/1992.

ne wypowiedzi zabierających głos, niektóre — być może — z małymi skrótami. Po przeczytaniu całości zwróciłem uwagę na brak wypowiedzi kilku osób obecnych na tej naradzie, m.in.: dyrektora Dep. Kadr płk. Mikołaja Orechwy, szefa Inform. W.P. płk. Bąkowskiego i kpt. Ciastonia (obecnie generała).

Oświadczam autorytatywnie, że nie ma żadnego oficjalnego protokołu z tej konferencji. Gdyby dotarcie do niego było takie proste, byłby już dawno wykorzystany i komentowany przez wielu zainteresowanych.

W ub. roku po 38-miu latach od tamtych dni, kiedy tak głośno było w Polsce o lustracji teczek agenturalnych, chciałem kogoś zapoznać z atmosferą tej narady, a przede wszystkim z krytyką rozdmuchanej sieci agenturalnej, której system budowy przetrwał do 1989 r. Materiały, jakie były w moim posiadaniu, wysłałem do naczelnego redaktora *Kultury* p. Jerzego Giedroycia. Przekazując protokół, nie proponowałem w zamian żadnego honorarium i nie wysuwałem propozycji publikacji — zostawiając decyzję redakcji *Kultury*. Kierowałem się głównie tym, by materiały te pozostały w archiwach Instytutu Literackiego i by pomogły badaczom epoki stalinowskiej w Polsce obiektywnie ocenić procesy społeczno-polityczne, jakie miały miejsce w tym okresie. Protokół ujawnia pierwsze pęknięcia w elitarnych ogniwach władzy, które były ostoją panującej partii. Nie miało to miejsca w żadnym innym kraju demokracji ludowej.

Wszystkie szczegóły związane z historią protokołu są znane p. red. Jerzemu Giedroyciowi.

Wspomniane powyżej nieścisłości, jak data konferencji czy brak wypowiedzi niektórych uczestników, zostały przez złośliwych komentatorów podchwyczone w próbach podważenia wiarygodności opublikowanego protokołu. Przykładem niech będzie artykuł p. Ryszarda Reiffa („Trzy listy z jedną tezą” — *Słowo Powszechne*, 20. I. 93), który twierdzi, że zdobył protokół — jak pisze — z narady partyjno-służbowej z 11 i 13 listopada 1954 r. — a więc z przerwą jednego dnia. Konferencja, z której pochodzi przesłany przeze mnie protokół, odbyła się dzień za dniem, jak się okazało po sprawdzeniu, 24-25 października 1954 r.

„Odkrycie”, jakiego dokonał p. Reiff, jest zupełnie innym protokołem. Świadczy o tym zamieszczona przez niego wypowiedź płk Brystygier. Porusza ona głównie sprawę Świątły i Różańskiego. Krytykuje również metody pracy aparatu

tu bezpieczeństwa jako sprzeczne z linią partii. Jakże by mogła do tego aktywu mówić taką „drętwą mową” i do tego po wystąpieniach przedmówców. Z całą pewnością zostałaaby wygwizdana. Styl taki nadawał się jedynie na zebranie partyjno-zawodowe, z jakiego właśnie pochodzi to przemówienie. Narada partyjno-służbowa, z której protokół zdobył p. Reiff, była zebraniem Komitetu Zakładowego oraz aktywu podstawowych organizacji partyjnych, jakie znajdowały się we wszystkich departamentach i samodzielnych jednostkach MBP. Takie protokoły były przekazywane do KC PZPR, do specjalnego wydziału. Prawdopodobnie protokół ten został przekazany do archiwum przez żonę Mieczysława Moczara.

P. Ryszard Reiff wie dokładnie, że protokół ten pochodzi z innego zebrania, że mówcy — oprócz płk Brystygier — to zupełnie inne osoby. Ja na tym zebraniu nie byłem i oczywiście nie będzie tam mojego wystąpienia. Z protokołu konferencji, na której zabierałem głos — można zauważyć, że dopiero po moim wystąpieniu zaczęła się burzliwa dyskusja, która wstrząsnęła Ministerstwem Bezpieczeństwa.

Przekazany przeze mnie protokół pochodzi z konferencji wyższych oficerów wszystkich służb MBP, o czym dokładnie informuję w komentarzu wstępnym. Takie protokoły, jeśli w ogóle istniały (z tej narady, jeszcze raz podkreślam, *nie ma oficjalnego protokołu*) były opatrzone klauzulą „Ścisłe tajne!” — przechowywać na prawach szyfru, egz. Nr.:... — i nie mogły być udostępnione osobom spoza aparatu bezpieczeństwa bez zezwolenia ministra lub wiceministra resortowego. Takie protokoły do dnia dzisiejszego stanowią tajemnicę państwową ze względu na ich operacyjno-agenturalny charakter.

P. Ryszard Reiff nazwał opublikowany w *Kulturze* protokół „kupioną fałszywką”. Kto oprócz gen. Radkiewicza i jeszcze kilku osób wiedział o skazaniu gen. Korczyńskiego na 15 lat więzienia i kto kiedyś — przed konferencją — o tym mówił? Kto, do chwili zwołania konferencji, wiedział o próbach samobójstwa płk. Wolańskiego? Jedynie płk Czaplicki i b. wąskie grono. Na jakim zebraniu, przed i po konferencji, mówiono o chęci werbunku Renaty Bogdańskiej? Jak te fakty mogły dotrzeć do rzekomego „fałszerza”? Który „fałszerz” mógł wiedzieć, że płk Brystygier spotkała się z Jerzym Englischem, szefem II Oddziału Szt. Gen. i od niego otrzymała informację o niewinności przywódców KPP?

A teraz o sprawie Piaseckiego. Poruszona przez płk Brystygier wzmianka o Bolesławie Piaseckim była marginesowa i

nikt na nią nie zwrócił specjalnie uwagi, bo odbiegała od problemów, jakie dominowały na tym zebraniu. Dla p. Reiffa wzmianka ta urosła do aktu zemsty na Bolesławie Piaseckim (!) i stała się tematem pięcio- i pół łamowej polemiki. Płk Brystygier nie mówi, kiedy zapoznała Bolesława Piaseckiego, mówi tylko w jakich okolicznościach, co potwierdza Stefan Staszewski w wywiadzie Teresy Torañskiej („Oni” — str. 125). W przypadku Bolesława Piaseckiego tylko fakt, że był związany agenturalnie z wywiadem sowieckim (co potwierdza w swym wystąpieniu płk Brystygier) zdecydował, że nie został zwerbowany przez polskie organa bezpieczeństwa. Doboszyński miał mniejsze przewinienia niż Piasecki, a jednak został skazany na karę śmierci. Wyrok wykonano.

Zrozumiałe są wysiłki p. Reiffa zmierzające do wybielenia osoby Bolesława Piaseckiego, pozostały jednak fakty, które stawiają go w nienajlepszym świetle. Kiedy w 1968 roku Episkopat Polski stanął zdecydowanie w obronie Żydów w czasie antysemickiej kampanii PZPR — Bolesław Piasecki i jego doradcy domagali się wznowienia śledztwa przeciwko działaczom TSKŻ (Towarzystwo Społeczno-Kulturalne Żydów) jako zamieszanych w sprawę morderstwa syna przywódcy PAX-u. Przesłuchano kilka razy członków TSKŻ: D. Sfarda, L. Domba, H. Smolara, Ch. Cieszyńskiego, Kormana i innych.

Drugim przykładem jest list p. Magdy Lei, wyjątkowo złośliwy i pełen insynuacji. To nie polemika, której proponowała nadać tytuł: „Jeszcze jedna ubecka zasadzka” — a pomawianie i czepianie się nieistotnych marginesowych wzmianek. List świadczy o nietolerancji i obłudzie jego autorki. Skandalem muszę nazwać fakt, że p. Magda Leja posłużyła się zdobytym w podstępny sposób protokołem twierdząc, że otrzymała go ode mnie. („Słowo Luny” — *Spotkania* 3-9 grudnia 1992 r.) Tylko pseudo-dziennikarka może posłużyć się kłamstwem i wykorzystać nieuczciwie zdobyty materiał. Nie znam p. Magdy Lei ani ona mnie. Przebywam od 24 lat w Izraelu, nie mam kontaktu z żadnymi służbami specjalnymi ani systemem, z którym zerwałem 35 lat temu. Kto i przeciwko komu ma organizować tę „jeszcze jedną ubecką zasadzkę”? Ciekawe, co kryje się za tym pojęciem? Ten list jest przykładem pustosłowia, bezsensu i zarozumiałstwa jego autorki.

Pozostała korespondencja jest w większości rzeczowa i obiektywna. Nikt jednak nie poruszył głębokich, tragicznych

problemów niedawnych czasów, które rzutują na teraźniejszość. Problemów związanych z agenturą.

Ad 2. Panowało powszechne przekonanie, lansowane przez masowe środki przekazu, przez wszystkie rodzaje propagandy partyjnej (w zależności od potrzeb i sytuacji), przez specjalne komórki dezinformacyjne, że za wszystkie nieszczęścia jakie spadały na Polskę byli odpowiedzialni Żydzi i bezpieka. Była to bardzo wygodna teza nie tylko dla byłego Biura Politycznego i centralnych władz państwowych, ale dla różnych środowisk intelektualistów partyjnych od pisarzy i dziennikarzy po krytyków literackich, historyków itd.

Polityką represyjną w skali „blokowej” kierował centralny ośrodek dyspozycyjny KGB w Moskwie, zostawiając pewną swobodę manewru poszczególnym krajom, w zależności od miejscowych warunków i sytuacji. Biuro Polityczne, Rząd i Sejm nadawały tym zaleceniom teoretyczną i prawną moc — zalecając bezpiece realizację uchwał. Nie było żadnych przypadków samowoli ze strony organów bezpieczeństwa. Były one całkowicie podporządkowane najwyższym władzom partyjnym.

Nie zabieram głosu w sprawie „rozliczeń” starych struktur politycznych, bo obie zamieszane strony pochodzą z tych samych mafijnych grup, które mają na uwadze — przede wszystkim — własny interes i zdobycie władzy.

Lustracja teczek agenturalnych to zupełnie inny problem, który ma wyjątkowy, tragiczny aspekt społeczny.

Ogólna wiedza społeczeństwa o agenturze zamyka się pojęciem agenta jako „donosiciela”, konfidenta policji lub prowokatora, którego tajna policja „nasadza” w organizacji podziemnej lub partii. System agenturalny w/g teorii sowieckiej, przyjęty przez wszystkie kraje demokracji ludowej, był tak skonstruowany, że nawet wtajemniczonym trudno było się w nim rozeznąć. Dam przykład:

W latach 1949-1955 panowało przekonanie, że wszystkie awarie w przemyśle są dziełem dywersji ośrodków zachodnich lub sabotażu podziemia krajowego. Doradcy sowieccy forsowali teorię, że za każdą awarię powinien odpowiadać ten, któremu pośrednio lub bezpośrednio podlega dany obiekt lub agregat.

W Związku sowieckim, który forsował tę teorię, nie było trudności w skazaniu „winnego” na kilka lat więzienia. Organem prawomocnym były tzw. „trójki” (trzyosobowe ko-

misje nadzwyczajne), które mogły wydawać wyroki do 10 lat (bez żadnych dowodów), jedynie na podstawie „aktu oskarżenia” sporządzonego przez pracownika NKWD. Tak skazano setki tysięcy osób.

W Polsce sądy nie były do tego stopnia zswietyzowane, by wydawały wyroki bez dowodów rzeczowych. Znalezione rozwiązanie. Powołano komisje rzeczoznawców sądowych, w skład których wchodził: profesorowie, prawnicy i inżynierowie różnych specjalności. Sama myśl powołania takich komisji ekspertów była bardzo słuszną, ale okazała się fikcją propagandową, za którą szła tajna instrukcja, aby po skompletowaniu komisji werbować jej przewodniczącego jako agenta. Jego zadanie miało polegać na sugerowaniu pozostałym członkom komisji, by podpisali tak sformułowane orzeczenia, by mogło ono posłużyć sądowi jako dowód rzeczowy. Utworzone komisje nie zdały egzaminu. Werbowani agenci pozostali jednak w kartotekach. Pytanie do lustratorów: jak zakwalifikować takich „agentów”? — a było ich setki.

Drugi przykład. W tym samym okresie werbowano tysiące ludzi do walki ze stonką ziemniaczaną. Wszystkie środki przekazu oskarżały Zachód o masowe zrzuty stonki ziemniaczanej, by pozbawić naród podstawowego produktu żywnościowego, jakim są kartofle. Werbowani nie mieli nic wspólnego ani ze służbą informacyjną, ani z donosicielstwem, a werbunek traktowali jako obowiązek patriotyczny, by uchronić naród przed głodem. Ich zadaniem była obserwacja lecących samolotów podejrzanych o zrzuty szkodników, jak również obserwacja osób przechodzących w pobliżu pól ziemniaczanych, czy przypadkiem nie rozrzucają chrząszczy stonki. Wszyscy figurują w aktach jako agenci. Jak ich dziś zakwalifikować?

Mógłbym przytoczyć dziesiątki podobnych przykładów. Te dwa, wyżej podane, wystarczająco charakteryzują ówczesną maszynę agenturalną i tragedie milionów ludzi.

Leon WINIAWSKI

Polityka pieniężna państwa w latach 1989-1992

PRÓBA OCENY

Analizując politykę pieniężną lat 1989-1992, trzeba ją rozpatrywać na tle ogólnej strategii gospodarczej, przyjętej przez kolejne rządy w celu przebudowy systemu gospodarowania. W tej strategii polityka pieniężna stanowiła ważny, albo raczej nawet decydujący element, który w fazie tworzenia koncepcji czynił ją niezwykle atrakcyjną, natomiast całkowicie zawiódł w toku realizacji. Jako główne cele polityki gospodarczej w omawianym okresie — w tym pieniężnej — przyjmuje się zwykle stabilizację, umocnienie złotego i prywatyzację. Są to cele w pełni racjonalne, niezależnie od tego, czy zakłada się, że są wdrażane z tą samą intensywnością od samego początku, czy też, że naprzód główny wysiłek kieruje się na sprawy stabilizacji i pieniądza. Problem prywatyzacji, czy ma ona postępować szybko, czy wolno, można pozostawić poza dyskusją, gdyż w krótkim horyzoncie czasu tempo prywatyzacji nie wpłynie na wyniki strategii.

Przed przystąpieniem do oceny polityki gospodarczej i pieniężnej warto przyjąć pewną hipotezę roboczą odnośnie do jej dotychczasowych wyników. Chodzi o określenie, czy to jest sukces, czy niepowodzenie, a co za tym idzie, czy mamy poszukiwać przede wszystkim źródeł sukcesu, czy przyczyn klęski. Jest to tym bardziej wskazane, że w literaturze spotyka się poglądy krańcowo rozbieżne.

Tak np. zdaniem Leszka Balcerowicza¹: „Jedynym krajem, który rozpoczął swoją drogę do gospodarki rynkowej w sytuacji makroekonomicznej katastrofy i pomyślnie przeszedł do drugiej fazy (umacniania zdobyczy fazy pierwszej — przyp. S.P.), jest Polska”. W tym czasie Adam Glapiński² oświadcza w Katowicach, że: „Oni przez trzy i pół roku zniszczyli swoimi rządami Polskę”. Nawet uwzględniając różnice retoryki stosowanej w wykładzie na francuskim uniwersytecie z okazji otrzymania doktoratu *honoris causa* (L. Bal-

1. *Gazeta Wyborcza* z 30.1.1993.

2. *Gazeta Wyborcza* z 4.2.1993.

cerowicz) i na politycznym wiecu (A. Glapiński), nie da się zaprzeczyć całkowitej rozbieżności poglądów. Rozbieżności tym bardziej zadziwiającej, że dotyczy poglądów wyrażanych przez ekonomistów, będących nauczycielami akademickimi tej samej uczelni, a niedawno ministrami w tym samym rządzie.

Przy ocenie reform trzeba uwolnić się od jakichkolwiek przesłanek ubocznych, które mogą zniekształcić tę ocenę. Nie można więc powstrzymywać się od słusznej krytyki w obawie, aby w ten sposób nie zniechęcić zagranicznych inwestorów do inwestowania w Polsce, tak samo, jak nie można uprawiać apologetyki dla „pokrzepienia serc”. Podobnie z dużą rezerwą należy traktować nieoczekiwany i niespotykany w naszej historii chór pochwał dla polskich reform i gospodarki, jaki od pewnego czasu rozbrzmiewa w zachodniej prasie. Tamte oceny też mogą być kształtowane pod wpływem pewnych przesłanek ubocznych, które nie zawsze, albo nie od razu, dają się rozszyfrować.

W obliczu dużej ilości rozbieżnych opinii dojście do obiektywnej, rozsądnej i znajdującej szerszą akceptację oceny ma niezwykle duże znaczenie, gdyż brak takiej oceny w sposób *oczywisty* opóźnia podjęcie niezbędnych decyzji korygujących procesy reform i transformacji.

Dlatego wydaje mi się celowe i użyteczne wyraźne stwierdzenie, że jakiegokolwiek oceny tego typu, że wyniki reform w naszym kraju są bardzo dobre albo że są lepsze, niż w innych krajach Europy Wschodniej i Środkowej, z wielu powodów nie odpowiadają rzeczywistości.

Po pierwsze — we wszystkich krajach postkomunistycznych wyniki reform są złe i już przez to samo duży aplauz dla najlepszego wśród złych nie daje podstaw do dumy.

Po drugie — eksponuje się wyniki w zakresie produkcji przemysłowej, gdzie odnotowuje się rzeczywiście na ogół kilkoprocentowe różnice na naszą korzyść, natomiast pomija fakt, że ceny konsumpcyjne wzrosły w latach 1985-1991 w Polsce dziesięciokrotnie, na Węgrzech dwukrotnie, a w Czechosłowacji tylko o 12%. Kto jest świadomy niszczącego oddziaływania inflacji na gospodarkę i stosunki społeczne, nie powinien na te fakty zamykać oczu.

Po trzecie — przemilcza się fakt, że w Polsce w ostatniej dekadzie miał miejsce dwukrotny spadek płac realnych (w 1982 i 1990 r.) po 25% w każdym roku, co w krajach europejskich może pretendować do rekordu XX wieku.

Już tych kilka przytoczonych powyżej faktów skłania do poszukiwania przyczyn, które sprawiły, że wyniki polityki

gospodarczej (a w tym pieniężnej) są tak niekorzystne. Przy czym, jakkolwiek trudno jest rozdzielić konsekwencje polityki pieniężnej od ogólnych konsekwencji polityki gospodarczej, będę starał się wykazać, że właśnie polityka pieniężna w ogromnym, albo i decydującym stopniu zaważyła ujemnie na wynikach działań gospodarczych. Uznając zaś, że ogólna koncepcja reformy i transformacji gospodarki była trafna, przyczyn jej niepowodzenia trzeba upatrywać w sposobach realizacji przyjętej koncepcji.

Główne błędy realizacji reformy

Sukcesywne, wysokie dewaluacje złotego w 1989 r., które miały stanowić otwarcie operacji stabilizacyjnej, w rzeczywistości przyczyniły się do długotrwałej destabilizacji gospodarki. Jest rzeczą zadziwiającą, że gdy serię dewaluacji rozpoczął rząd Rakowskiego, uwieńczając ją w przededniu swego ustąpienia zabiegiem urynkowania gospodarki żywnościowej, to wyznający zupełnie inną orientację polityczną i gospodarczą następny rząd Mazowieckiego tę politykę dewaluacji nie tylko kontynuował, ale wyraźnie zintensyfikował. Gdy przeciętny kurs dolara w styczniu 1989 r. wynosił 506 zł/dol., to we wrześniu 1989 r. (a więc w miesiącu, w którym nastąpiła zmiana rządu) wzrósł do 1.332 zł/dol., a w styczniu 1991 r. osiągnął poziom 9.500 zł/dol. W ciągu 1989 r. kurs dolara wzrósł 19-krotnie, gdy ceny detaliczne tylko 12,5-krotnie. Jest jasne, że to dewaluacje pchały w zawrotnym tempie w górę ceny, a nie wzrost cen zmuszał do dewaluacji. W tym świetle nie jest przekonywująca oficjalna teza, że reforma Balcerowicza pozwoliła przezwyciężyć hiperinflację. Trafniejsza jest inna interpretacja ówczesnych wydarzeń: reforma Balcerowicza w pierwszej fazie wywołała hiperinflację, a dopiero potem ją zdusiła przy pomocy rygorów polityki dochodowej i cenowej. Do 1993 r. nie zdołano jednak doprowadzić do jednocyfrowej inflacji, a co więcej nawet nie rozważa się, kiedy i w jaki sposób można by dojść do tego celu w przyszłości.

Natomiast wysoka od sześciu lat stopa inflacji (1988 r. — 60%, 1989 r. — 25%, 1990 r. — 86%, 1991 r. — 70%, 1992 r. — 44%, 1993 r. — 40%) dowodzą, że wywołane przez dewaluacje 1989 r. pchnięcie inflacyjne tak dalece rozregulowało gospodarkę, że wciąż nie można opanować utrzymującej się nieprzerwanie presji inflacyjnej.

Skutki inflacji są głębokie i różnorodne. Skutek najbardziej szkodliwy to niebywały wzrost stopy procentowej. W styczniu 1990 r. obowiązywała stopa 40% miesięcznie. Dziś jeszcze wiarygodny kredytobiorca musi płacić 55-60% odsetek rocznie, co drastycznie ogranicza popyt na kredyty, a praktycznie likwiduje popyt na kredyty inwestycyjne. Oczywiście skutki wynikającego stąd spadku nakładów inwestycyjnych będą odczuwalne przez długie lata, a może i dziesięciolecia.

Inflacja wywołuje szereg innych jeszcze negatywnych konsekwencji: otwiera szerokie możliwości działań spekulacyjnych, niszczy nawyki oszczędnego gospodarowania, zubaża posiadaczy drobnych oszczędności, zniekształca rachunek ekonomiczny przedsiębiorcy. Są one dobrze znane. Nie wymagają zatem szerszego omówienia, ale może warto uświadomić sobie, że znaczną część tych negatywnych konsekwencji trzeba przypisać określonym, przyjętym i realizowanym decyzjom polityczno-gospodarczym.

Gwałtowna kompresja popytu była wynikiem silnego wzrostu cen konsumpcyjnych, odroczonej, ale bardzo wysokich podwyżek paliw, energii i czynszów, stosowania silnie obniżonych współczynników indeksacji, wysokich kosztów kredytu itp. W ten sposób zdjęto z rynku nie tylko tzw. pusty pieniądz, ale w znacznym stopniu też pieniądz, który mógł znaleźć pokrycie w towarach, natomiast wycofany z obiegu powodował spadek produkcji (m.in. rolniczej, która nie mogła znaleźć odbiorców), zatory płatnicze itd. Ograniczenie siły nabywczej społeczeństwa było istotną przyczyną spadku produkcji, ale nie jedyną.

Szerokie otwarcie rynku dla importu z zagranicy (legalnego i nielegalnego) i w rezultacie pojawienie się na rynku ogromnej masy towarów konkurencyjnych stanowiło cios dla produkcji krajowej zadany z innej strony, od strony podaży. Operacja, która w założeniu miała pobudzić przemysł do lepszej i nowocześniejszej produkcji, w rzeczywistości nie tylko hamowała rozwój produkcji nowych wyrobów, ale często prowadziła do zachwiania egzystencji starych, o dużych tradycjach, zakładów przemysłowych, a często też gospodarstw rolnych. Import papierosów spowodował załamanie się produkcji tytoniu. Import wódek i spirytusu hamował produkcję gorzelnianą i obniżał sprzedaż ziemniaków. Import odzieży ograniczał produkcję przemysłu włókienniczego itd.

Pojawiła się też całkiem nowa konkurencja ze wschodu. Przyjeżdżający masowo „turyści-handlowcy” z krajów b.

ZSSR konkurują skutecznie z wyrobami przemysłu krajowego przede wszystkim cenami, oferując zbliżone jakościowo wyroby po cenach dwu albo trzykrotnie niższych od krajowych. Te różnice cen nie wynikają z niższych kosztów produkcji, a jedynie z różnic cen powstających w przeliczeniach dolarowych. Takie różnice będą utrzymywać się tak długo, jak długo — w rezultacie specyfiki stosowanych w Polsce i w krajach b. ZSSR kursów walut — średnie płace będą wynosić (tak jak obecnie) w przeliczeniu na dolary ok. 200 dol. miesięcznie w Polsce i ok. 10 dol. miesięcznie u naszych wschodnich sąsiadów (przy średniej płacy w RFN ok. 1.500 do 2.000 dol.). Tworzy się w ten sposób szczególny handel w trójkącie: kraje b. ZSSR-Polska-kraje zachodnie. Może on być źródłem dużych korzyści dla krajów wolnodelowizyjnych (zwłaszcza Stanów Zjednoczonych) i dużych strat dla krajów pozostałych. Dlatego również nieprędko absurdalność tego handlu może zostać „dostrzeżona” przez urzędników Międzynarodowego Funduszu Monetarnego. Tym bardziej natomiast sprawa ta powinna stać się przedmiotem dyskusji i negocjacji, obejmujących zagadnienia regulacji ruchu osób, towarów i płatności, z naszymi wschodnimi sąsiadami.

Wymienialność wewnętrzna złotego jest niemal zawsze ukazywana jako jedno z podstawowych osiągnięć polskiej reformy. Przy tych pochwałach mało uwagi przywiązuje się do faktu, że jest to tylko wymienialność wewnętrzna. Nie wyjaśnia się, dlaczego w latach pięćdziesiątych państwa zachodnie musiały osiem lat przygotowywać się do ogłoszenia wymienialności swoich walut, a my potrafiliśmy to uczynić właściwie bez specjalnych przygotowań 1.1.1990 r. Był to jednak sukces pozorny, bo w obu przypadkach chodziło o inną wymienialność. Państwo zachodnie, dążąc do wymienialności zewnętrznej (a więc dla rezydentów innych krajów), przygotowywało się do niej przez umocnienie swej gospodarki, zapewnienie tej gospodarce konkurencyjności na rynkach zagranicznych i stworzenie w ten sposób warunków dla uzyskania długofalowej równowagi w obrotach z zagranicą. Polska, wprowadzając wymienialność wewnętrzną (dla rezydentów kraju) postawiła sobie znacznie łatwiejsze zadanie — gwałtowne podrożenie walut obcych i zrównoważenie w ten sposób krajowego popytu i podaży walut obcych. Tą drogą osiągnięto niemałe nawet efekty (widoczne dla każdego pełne półki sklepowe i zanik czarnego rynku walutowego). Ale za efekty te zapłacono cenę ogromną w postaci inflacji, recesji i bezrobocia, bo na wymienialność, będącą ważnym elementem

reformy, spada niemała część odpowiedzialności za jej ujemne skutki. To nie zmienia faktu, że w reformie i transformacji gospodarki wymiennalność waluty musi być stawiana jako jedno z naczelných zadań. Ale jaka wymiennalność, kiedy i w jaki sposób realizowana, to są pytania na które dotychczas w gospodarkach postkomunistycznych zadowalającej odpowiedzi nie znaleziono, a którą znaleźć się musi.

Odpowiedź ta musi być dostosowana do aktualnych warunków gospodarki. Dlatego nie może ona opierać się tylko na doświadczeniach gospodarki rynkowej. Co więcej, wydaje się, że warunki dzisiejsze wymagają dziś w czwartym roku wdrażania reformy innych metod wprowadzania wymiennalności złotego od tych, które były najbardziej właściwe w momencie startu reformy w 1989 r. Odmiennie warunki wyjściowe dyktują zwykle różne sekwencje działań reformatorów.

Prywatyzacja przedsiębiorstw

Obok działań zmierzających do stabilizacji gospodarki i umocnienia pieniądza, prywatyzacja przedsiębiorstw stanowi trzecią, kluczową, dziedzinę reformy i transformacji gospodarki. Tu jednak występuje zupełnie inna sytuacja. W sferze stabilizacji i pieniądza — można powiedzieć — wszystko zostało już zrobione. To co zostało zrobione można różnie oceniać, ale przyjęte koncepcje zostały w zasadzie zrealizowane i nie kryją w sobie żadnych nowych niespodzianek. W dziedzinie prywatyzacji z natury rzeczy procesy transformacji przebiegają wolniej, zaawansowanie ich jest stosunkowo nieznaczne, utrzymują się pewne wahania co do pożądanych sposobów prywatyzacji — a zatem tu wszystko jeszcze może się zdarzyć.

Przedmiotem rozważań są w zasadzie trzy metody prywatyzacji przedsiębiorstw: rozdanie udziałów w przedsiębiorstwach wszystkim obywatelom nieodpłatnie (wychodząc z założenia, że przedsiębiorstwa państwowe stanowią majątek narodowy, będący własnością ogółu), sprzedaż udziałów względnie akcji wszystkim chętnym spośród obywateli polskich i wreszcie sprzedaż zagranicznym nabywcom. Każda z tych metod wiąże się ze sferą polityki pieniężnej i w każdej z nich kryje się poważne ryzyko. Największe występuje przy sprzedaży przedsiębiorstw, czy udziałów, cudzoziemcom, gdyż wówczas popełnienie omyłki, czy ewentualne nadużycia,

grożą utratą majątku narodowego na rzecz zagranicy. W przypadku transakcji dokonywanych w ramach kraju pomyłki czy nadużycia prowadzą do strat i zysków kompensujących się wzajemnie w gospodarce narodowej i nie powodują wypływu majątku za granicę.

Polska potrzebuje zagranicznych kapitałów, ale w określonych dziedzinach (w których np. wnosi on nowe technologie lub sprzyja poprawie bilansu płatniczego przez wzrost produkcji eksportowej), w określonych ilościach (nie uzależniających nadmiernie gospodarki od ośrodków zagranicznych) i na określonych warunkach (nie grożących rabunkową eksploatacją rodzimych surowców i pracy). Świadomość rozlicznych błędów, które mogą być popełnione w negocjowaniu inwestycji kapitału zagranicznego w Polsce, powinna skłaniać do szczególnie starannych analiz dostępnych informacji na ten temat.

W rzeczywistości brakuje nie tylko analiz, ale nawet informacji. Jeżeli bowiem przykładowo przedstawiciel rządowej agencji do spraw inwestycji zagranicznych podaje wartość inwestycji zagranicznych w Polsce, sumując wartość kapitałów dotychczas zainwestowanych z kapitałami przyrzeczonymi, które mają wpłynąć w bliżej nieokreślonej przyszłości i formie, to nie jest to informacja, a raczej dezinformacja. Ponieważ ani z enuncjacji resortu przekształceń własnościowych, ani z publikowanych danych o bilansie płatniczym Polski konkretnie nie można się dowiedzieć o bezpośrednich inwestycjach kapitału zagranicznego w Polsce, można tu mówić o luce informacyjnej, przy której często pojawiające się apele, aby „nie bać się” kapitału zagranicznego, stają się mało przekonujące.

Wprost przeciwnie — dopóki nie będzie rzetelnej i fachowej informacji o ruchu kapitałów w obrotach Polski z zagranicą, tak długo trzeba bać się kapitału zagranicznego, chociażby z dwóch niżej podanych przykładowo powodów.

Istnieje ogromna niejasność przepisów w odniesieniu do aktywów trwałych, kto, co, za ile i na jakich warunkach może sprzedać zagranicznemu kontrahentowi (jak dowiodła chociażby sprawa zwolnienia z podatków fabryki Wedla po nabyciu jej akcji przez korporację Pepsi-Cola). Mnogość decydentów może prowadzić do przykrych niespodzianek w postaci błędnych decyzji sprzedaży, które bez informacji stają się trudno wykrywalne.

Innego rodzaju obawy budzi przyjmowana — jak się wydaje dość często — specyficzna metoda rozliczeń z zagra-

nicznym nabywcą polskiego przedsiębiorstwa. Polega ona na kompensowaniu wartości przedsiębiorstwa z jego zadłużeniem, które przejmuje nabywca. Tak więc za przedsiębiorstwo warte np. 26 mln dol. i zadłużone na równowartość 20 mln dol. nabywca płaci efektywnie 6 mln dol. W ten sposób za niewielką sumę staje się właścicielem dużej fabryki, a prawdopodobna inflacja pozwoli w znacznym stopniu obniżyć w przyszłości ciężar przejętego zadłużenia.

Generalnie trzeba przypomnieć, że głęboka do niedawna, a właściwie dalej trwająca (uwzględniając niski poziom wykorzystania zdolności produkcyjnych w przemyśle) recesja stwarza niekorzystne warunki dla oferujących na sprzedaż przedsiębiorstwa, identycznie jak to się dzieje w każdej dziedzinie handlu. Nie znaczy to, że w recesji mamy zaniechać prywatyzacji, ale trzeba rozważyć, czy w konkretnych przypadkach nie warto zaczekać, gdy powstaje domniemanie, że zagraniczny kontrahent nadmiernie próbuje wykorzystywać w istniejącej sytuacji koniunkturalnej swoją pozycję strony mocniejszej.

Uwarunkowania zewnętrzne polityki pieniężnej

Polityka pieniężna kraju pozostaje pod znacznym wpływem kształtowania się rezerw walutowych, których poziom z kolei zależy w dużym stopniu od tego, co się dzieje na świecie w zakresie polityki walutowej, polityki handlowej i celnej, *terms of trade*, stosunków kredytowych i kryzysu zadłużeniowego.

Wszystkie te sfery działalności gospodarczej są przedmiotem bacznej obserwacji ze strony międzynarodowych instytucji finansowych, przede wszystkim Międzynarodowego Funduszu Walutowego i Banku Światowego. W miarę nasilania się zjawisk kryzysowych i powiększania dystansu dzielącego poziom życia w krajach uprzemysłowionych Zachodu z jednej strony i w krajach rozwijających się oraz postkomunistycznych z drugiej, instytucje te coraz bardziej starają się kontrolować politykę pieniężną krajów członkowskich i integrować w procesy gospodarcze zachodzące w krajach, zwłaszcza rozwijających się i postkomunistycznych. Dlatego rozważając uwarunkowania zewnętrzne polityki pieniężnej, można przedstawić je — upraszczając problem — na tle stosunków z M.F.W. i B.Ś.

Obie te instytucje zalecają krajom popadającym w trudność

ci płatnicze klasyczne recepty dewaluacji waluty i otwarcia rynków krajowych dla importu. Recepty te od dawna były przedmiotem kontrowersji między ekonomistami krajów rozwiniętych i krajów rozwijających się. Słynny dr Raul Prebisch zawsze dowodził, że dewaluacja w krajach rozwijających się wywiera niekorzystny wpływ na relacje cen i w efekcie prowadzi do pogorszenia *terms of trade* kraju dewaluującego swoją walutę. Ale i inni ekonomiści, nie wywodzący się z krajów rozwijających się jak S. Dell i N. Kaldor, dostrzegali wiele ujemnych skutków dewaluacji, również podejmowanych w krajach rozwiniętych.

Przyjęta w Polsce koncepcja „terapii szokowej”, łączącej wysoką dewaluację z ostrym obniżeniem wynagrodzeń realnych i szerokim otwarciem rynku dla importu, spotkała się z pełnym poparciem M.F.W. Była ona zresztą bliska koncepcjom propagowanym przez Fundusz w niektórych krajach rozwijających się. Dlaczego nie wyklucza się, że koncepcja terapii szokowej była zasugerowana, albo w jakiejś mierze nawet narzucona, autorom polskich reform. Jakkolwiek by było, nikt nie może negować dużej roli M.F.W. w powstaniu koncepcji i realizacji polskiej reformy. To zaś oznacza, że na M.F.W. (a w jakiejś mierze też na B.Ś.) — w zależności od ostatecznej oceny — spada duża część zasługi z tytułu sukcesu reformy, albo też alternatywnie duża część winy za jej niepowodzenie.

Wstrzymując się od ostatecznego werdyktu, zauważyć trzeba, że zalecenia Funduszu spotykają się z krytyką zarówno ze strony przesłanek teoretycznych, jak i ich konsekwencji praktycznych.

A. Sławiński, analizując zalecane przez Fundusz metody przywracania równowagi bilansu płatniczego, zarzuca im eklektyczność. Wyróżnia on dwie metody przywracania bilansu płatniczego. Metoda absorbcyjna polega na połączeniu dewaluacji z kompensującą jej skutki polityką stabilizacyjną. Z kolei metoda monetarna opiera się na regulowaniu podaży pieniądza przy szerokim otwarciu i integracji rynków. Otóż zdaniem A. Sławińskiego, M.F.W. w programach dostosowawczych zaleca jednocześnie stosowanie elementów obu metod, tj. absorbcyjnej i monetarnej, co w wielu krajach prowadziło do przedłużających się recesji, a tym samym do bardzo wysokich kosztów realizacji dostosowawczych.

Z innego punktu widzenia krytykę podejścia Funduszu Monetarnego do reform gospodarczych w krajach postkomunistycznych przeprowadza profesor uniwersytetu w Ottawie, Michel Chossudovsky, w nawiązaniu do dylematów przed którymi stoi gospodarka Rosji⁴. Stawia on ciekawe i dotąd niespotykane pytanie, czy w dobie kryzysu i zamykania fabryk w Europie i Stanach Zjednoczonych jest miejsce dla kapitalizmu rosyjskiego w ramach międzynarodowego podziału pracy? W odpowiedzi kreśli pesymistyczny obraz wyników reform inspirowanych przez M.F.W.: promowanie eksportu surowców i ułatwianie importu drogich artykułów konsumpcyjnych dla nowych elit; przemysł narodowy pozbawiony ochrony przed konkurencją i kredytów inwestycyjnych, narażony na rosnące ceny półfabrykatów (dereglamentacja), chyli się do upadku; w jednym roku produkcja wielu dóbr konsumpcyjnych obniżyła się na skutek jednoczesnego kurczenia się popytu i podaży o ok. 20-30 %.

Ten obraz gospodarki wielkiego kraju za naszymi wschodnimi granicami, skreślony przez zachodniego ekonomistę, warto mieć w pamięci, jako że sygnalizuje on dwojakiego rodzaju problemy, przed którymi stanąć może nasza gospodarka: wzmożony napływ towarów i ludzi z nekanej stagnacją Rosji oraz zawodność sponsorowanych przez M.F.W. metod w reformowaniu gospodarki.

Stanisław POLACZEK

Koniec etapu

1. Socjolog Andrzej Rychard, dyrektor Instytutu Socjologii i Filozofii PAN, w rozmowie zamieszczonej w liberalnym *Przeglądzie politycznym* (numer specjalny 1993) pt. „Świat wypadł z nawiasów” wypowiada kilka znamienych stwierdzeń o sytuacji w Polsce: „Jeszcze nie doszliśmy do momentu, kiedy można by powiedzieć, że zmierzamy w jedną albo drugą stronę (tj. kapitalizmu latynoskiego bądź

4. „Bogactwo i bieda wielkiego rosyjskiego «bazaru»”, *Le Monde Diplomatique*, styczeń 1993 r.

europejskiego — K.W.)... Jesteśmy dopiero na końcu wstępnego etapu, etapu zamykającego komunizm. Realna transformacja dopiero się rozpoczęła, zachodzi ona właściwie w pozapolitycznych strukturach. Gdy z nich wyłonią się nowe siły polityczne i zaczną kształtować ład instytucjonalny, wówczas dokona się kolejny etap przekształceń, ale to potrwa lata. Uważam, iż jest to pewien cykl: najpierw odrzucenie komunizmu i pasywna, polityczna «tolerancja dla»... Potem wycofanie z polityki i dość długie «dojrzwianie» i z niego wyniknie nowa polityka. Jej pojawienie się będzie oznaczać przejście do zasadniczego etapu transformacji społecznej, gdy nowa polityka wyniknie z nowej struktury społecznej”.

Opinie w rodzaju zacytowanej nie są wśród obserwatorów polskiego życia publicznego odosobnione. Coraz częściej spotyka się pogląd, że osławione „reformy” są właściwie sprawą całego pokolenia, jeśli nie dwóch, i że wobec tego nieuprawniony jest sam termin: nie chodzi o żadne „reformy”, fakt jednorazowy, choćby najbardziej doniosły, ale o proces. Wobec tego jednak trzeba pytać, czy będzie to proces niejako naturalny, spontaniczny, wynikający z samej materii społecznej, czy też wymagać będzie konsekwentnego politycznego sterowania. Nawet liberałowie, skłonni dotychczas mniemać, że po stworzeniu faktów dokonanych na starcie (Balcerowicz plus masowa, szybka prywatyzacja) rzeczy potoczą się same, stracili dzisiaj wiele ze swego zaufania do niewidzialnej ręki rynku jako demiurga historii. Jeśli jednak potrzebne jest konsekwentne sterowanie polityczne, to jeszcze pytanie, czy potrafimy się na nie zdobyć. Doc. Rychard, jak widać, sądzi raczej, że nowe siły polityczne dostosowane do nowych wymagań polskiej historii dopiero się narodzą i że to, czym dzisiaj jest zabudowana scena polityczna, nie na wiele się przyda. Trudno nie zauważyć, że sporo przemawia za takim pesymizmem. Niezmiennie kompromitująco niskie notowania prezydenta i parlamentu w opinii publicznej nie są skutkiem szczególnej złośliwości Polaków ani też ich rzekomego populizmu: wynikają z poczucia czczości. Czy jednak nie ma szans, by pesymiści nie do końca mieli słuszność i by aktualny układ polityczny, mimo że zrodzony w kończącym się etapie i niezakorzeniony w istniejących dopiero w zarodku nowych strukturach społecznych, zdobył się chociaż na jeszcze jeden skuteczny wysiłek, nim odda sterowanie wnukom? Tak jak sprawy wyglądały z warszawskiej perspektywy, w połowie kwietnia,

odpowiedź była negatywna. Lista nierozstrzygnięć i niedokonań rządzącego układu wydłuża się niepokojąco. Nie tylko na konstytucję przyjdzie chyba Polakom zaczekać do przyszłego stulecia. Rozbabrane jest wszystko: prywatyzacja z reprivatyzacją i, co za tym idzie i co ważniejsze, status przedsiębiorstwa publicznego i jego przyszłość. Restrukturalizacja, polityka przemysłowa i walka z bezrobociem. Polityka rolno... i polityka handlowa, a więc stosunki z rynkami światowymi. Coraz to ktoś z moralizujących publicystów, którymi obrodziły tutejsze gazety, ogłasza pochwałę kompromisu jako podstawy demokracji. W istocie mamy do czynienia z unikami: z nieustannym niezdecydowaniem, odraczaniem spraw, odsuwaniem rozstrzygnięć. Kiedy zaś już dochodzi do kompromisu jako konkluzji, jest on z reguły kulawy, niezborny, wewnętrznie sprzeczny i niezdolny do dłuższego funkcjonowania. Tak właśnie stało się z reformą polskiego systemu podatkowego i na to też się zanosi z ordynacją wyborczą. Nie jest, oczywiście, prawdą, jakoby ta sytuacja wynikała z „rozproszenia” sił parlamentarnych jako przyczyny pierwszej, z braku „wyraźnej” większości rządowej. W historii, również najnowszej, rozmaitych krajów demokratycznych liczne są przykłady zasadniczych rozstrzygnięć podejmowanych z powodzeniem przez rządy o minimalnych większościach, czasem nawet mniejszościowe. Nasza bieda polega najpierw na tym, że wielu polityków nieustannie zaklina się na „wartości”, ale owe wartości (w rodzaju Pana Boga, wolności, wolnego rynku, kapitalizmu czy Matki Polki) nijak nie przekładają się na poczynania i program polityczny. Niemniej, nie jest to wcale niewinna samoułuda: owi politycy właśnie na mocy głoszonych „wartości” są wybierani i na nich fundują swe tytuły do rządu, ale kiedy już rządzą, wówczas wcale nie wiedzą, po co i w jaki sposób rządzić powinni. „Wartości” bynajmniej im tego nie dyktują. W rezultacie, politykiem kierują nie program i świadomość celu, lecz logika stanowiska i systemu sprawowania władzy (w przemówieniach tej fazy kariery polityka odpowiada fraza o racji stanu). Z drugiej strony, jest też prawdą, że interesy społeczne i gospodarcze, które po swojemu cisną polityka niezależnie od „wartości”, są w tym całopokoleniowym okresie przejściowym „źle sformułowane”: każdy podmiot społeczny należy równocześnie do dwóch struktur, odchodzącej i nadchodzącej, jego świadomość polityczna jest najczęściej sparaliżowana, wyborczą jest więc przypadkowym. Nie omija to również „ludzi z nikąd”, wykreowanych na członków nowych elit: ich interesy

są wprawdzie aż nadto jednoznaczne, ale właśnie dlatego nie obchodzą ich żadne programy, lecz tylko poszczególne rozwiązania — kogo kasyno, kogo cło, kogo koncesja. Nie interesuje ich polityka, co najwyżej *lobby'ing*, a najczęściej „układy”, skąd najbliżej do spółek bez kapitału, kredytów bez gwarancji i zwykłej korupcji. Wprawdzie ideolodzy „nowej klasy średniej” pod przewodnictwem Jacka Kurczewskiego z klubu liberałów są nieodmiennie pełni optymizmu*. Jakoż w świecie interesów głośno teraz o inicjatywach politycznych. Jedni zbierają na fundusz wyborczy — 50 miliardów na wylansowanie 50 „własnych” deputowanych... inni tworzą Komitet na rzecz Liniowego Podatku Dochodowego, jeszcze inni chcą powołać „Koalicję Zadowolonych”, do której zgłaszaliby akces wszyscy ci, którym się dobrze wiedzie... Nie wydaje się jednak, by cały ten ruch w interesach znaczył więcej, niż próbę przejęcia przez liberałów „kierowniczej roli w obozie reform”, w zamian za jeszcze wyraźniejsze określenie się tego ugrupowania jako bezpośredniej reprezentacji interesów przedsiębiorców. Jest raczej wątpliwe, czy parlamentowi polskiemu przybędzie od tego Tocquevillów, już prędzej senatorów Baranowskich i posłów Bublę.

Ugrupowaniom opozycyjnym łatwiej jest oczywiście skrywać pustkę programową i faktyczną niepolityczność (w rozumieniu doc. Rycharda) niż członkom rządzącej koalicji. Ale i u nich jest najczęściej tak, że pomiędzy deklaracjami ideowymi i doraźnymi interesami — nie tyle nawet reprezentowanej grupy społecznej, lecz tylko własnej koterii partyjnej — mieszczą się, jako materia polityki, zaledwie tzw. pomysły. Pomysły na dekomunizację lub ewangelizację, na ceny minimalne lub bony dla każdego — innymi słowy, pomysły, z których jeden czy drugi można by ewentualnie

* Tę literaturę socjologiczną obiega cytowana z gorącą aprobatą taka oto autocharakterystyka „42-letniego przedsiębiorcy z wykształceniem wyższym”: „Przede wszystkim inicjatywa, aktywność, ambicja. Ale jeszcze ważniejsza jest uczciwość. Ludzie, którzy prowadzą duże firmy, setki czy tysiące pracowników, muszą działać uczciwie z dwóch powodów. Po pierwsze są najbardziej namierzalni. My jesteśmy bardziej na tapecie niż rzemieślnik, który ma 5 czy 10 pracowników. Po drugie, oszukać partnera można tylko raz. Potem on już nie będzie ze mną współpracował i uprzedzi innych, że jestem nieuczciwym kontrahentem; ale też mówi się, że każdy pierwszy milion zarabia się w sposób nieuczciwy, dalsze są już uczciwe”.

Zdumiewa więc, że w tym idyllicznym świecie biznesu wszystkie prokuratorskie akty oskarżenia opiewają na tak wielkie sumy...

wpasować w jakiś program działań, rzecz jedynie w tym, że programu, tak naprawdę, nie ma: puśćcie mnie do władzy, a ja was urządzę...

2. W *Kulturze* 1-2/1993 wróżyłem, że rząd Hanny Suchockiej przetrwa „wielką fałę” z pierwszych miesięcy nowego roku, ale „wyjdzie z niej politycznie nadszarpnięty, z przetrąconym grzbietem, sparaliżowany”. Jakoż i tak się stało.

Teraz, w połowie kwietnia, po spektakularnej dymisji ministra rolnictwa, a w toku batalii o prywatyzację, ordynację wyborczą, reformę systemów ubezpieczeń i ochrony zdrowia, w obliczu kotłowania socjalnej w sferze budżetowej, w przeddzień parlamentarnej debaty o pakcie dla przedsiębiorstw i zaraz potem o restrukturalizacji ciężkich przemysłów Śląska — znów zrobiło się głośno o upadku rządu. Jakoż, rzeczywiście, nie widać żadnych szans trwałego rozszerzenia koalicji rządowej i to w żadną stronę, ani w lewo, na PSL i SLD, ani w prawo, na PC i RdR; będzie dobrze, jeśli dotychczasowa koalicja sama się nie wyszczerbi i nie wytlucze. Nie jest to czas sprzyjający strategom-planistom, Geremkowi czy Hallowi. Natomiast szanse małych kombinacji jeszcze nie zostały wyczerpane. Trwałej bazy politycznej ten gabinet już nie uzyska, lecz zapewne może jeszcze rządzić, z dnia na dzień, od ustawy do ustawy, od afery do afery, korzystając ze „zmiennej geometrii skrzydeł” tzn. negocjując poparcie raz tej, raz innej formacji opozycyjnej. Ale warunkiem takiej gry politycznej jest sterowność samego rządu, lojalność własnej koalicji, chociażby okrojonej, ta zaś wydaje się wątpliwa.

Na prawym skrzydle, w ZChN, w PL, u chadeków z Konwencji Polskiej trwają gorączkowe kalkulacje, czy nie udałoby się przesiąść na inną, bardziej naturalną koalicję, prawdziwie chrześcijańską i narodową, może tylko z wykluczeniem radykałów Macierewicza i Parysa. Minister Rokita stara się położyć tamę tym kombinacjom mobilizując poparcie episkopatu dla pani Suchockiej. Nigdy jeszcze nie było wam tak dobrze — zdaje się mówić nasz Machiawel biskupom, nie cofając się przed publicznym stwierdzeniem, że Kościół odczuwa kłopoty finansowe i potrzebuje pomocy państwa. Ale zdaje się, że nawet bez Rokity rachunki się nie zgadzają: w tym parlamencie skuteczna koalicja chrześcijańsko-narodowa nie jest możliwa, a do wyborów — zdaniem Jana Olszewskiego — jego obóz nie będzie przygotowany przed wiosną 1994. Prawica nie zerwie więc teraz koalicji Sucho-

kiej, ale też jej nie umocni: będzie w rządzie, choć nie będzie lojalna.

Liberałowie z Polskiego Programu Liberalnego też mieliby ochotę przejąć prowadzenie, co wymagałoby przebudowania obecnej koalicji, ale im również rachunek nie wychodzi. Do wyborów mogliby być gotowi wcześniej niż „olszewicy”, zwłaszcza jeśli business uskłada co trzeba na fundusz kampanii, ale wcześniej nie znaczy zaraz. Liberałowie zatem również pozostaną w rządzie (gdzie mają świetne pozycje), lecz będą tam coraz bardziej zaznaczać swoją odrębność i klarowność programową: dla ich ugrupowania dawne podziały znaczą najmniej, PZPR i Solidarność są pospół historią zamkniętą. Liberal nie patrzy, skąd przychodzisz, ale z czym idziesz... w kieszeni — powiedział mi z pewną goryczą członek kierownictwa Unii Demokratycznej, która jako tytułarna piastunka etosu nie może się zdobyć na taką szczerłość.

Lecz i w Unii przywiązanie do rządu i lojalność wobec niego bardzo osłabły. W przededniu swego zjazdu działacze Unii pojmują wreszcie, że sondaże opinii, nawet te z pozoru pochlebne, świadczą o stosunku do rządu raczej niż do ich partii, której liczebność okazuje się rażąco niska. Ci sami działacze, którzy niedawno oceniali członkostwo Unii na 20 do 40 tysięcy, dziś mówią o sześciu czy siedmiu. Nadzieje bardziej radykalnych unionistów na bezbolesne rozstanie z Tadeuszem Mazowieckim (którego chętnie widziano by na stanowisku ministra spraw zagranicznych, po spodziewanym odejściu Skubiszewskiego do Międzynarodowego Trybunału w Hadze) rozwiął wywiad z nim w świątecznej *Gazecie Wyborczej*. UD ma wielką ochotę powierzać, ale uciekać z rządu nie ma dokąd. Mimo wszystko, musi mu życzyć dobrze: żeby Suchocka była sprawną lokomotywą wyborczą Unii, wszystko jedno, za rok czy za sześć miesięcy. Unia pozostanie więc lojalna, tyle tylko, że policzków kadrowych (wniosek o odwołanie wiceministra Balickiego, wkrótce po odrzuceniu kandydatury Anny Fornalczyk na pełnomocnika do spraw regionu łódzkiego) więcej nie zniesie.

Przyszłość rządu widziana od strony jego własnej koalicji nie wygląda zatem wesoło. Ugrupowania opozycyjne zaś nie mają żadnego, poza poszukiwaniem właściwego momentu, interesu, by rząd podtrzymać. Z jednym wyjątkiem, Sojuszu Lewicy Demokratycznej, który po każdym kolejnym głosowaniu, w którym ratuje rząd, zyskuje na „szacowności” politycznej (*respectability*).

Wypada wreszcie wspomnieć o formalnych warunkach zmiany gabinetu. Obowiązująca obecnie tzw. mała konstytucja

przewiduje votum nieufności wyłącznie bezwzględna większość (tzn. że głosy wstrzymujące się liczą się za rządem). Nie znaczy to jednak, że rząd może wymuszać dzięki temu potrzebne mu decyzje wiążąc np. swe losy z uchwaleniem jakiejś ustawy, jak to jest we Francji.

W razie uchwalenia votum nieufności bez wskazania zarazem nowego premiera, a w aktualnej sytuacji tylko ten przypadek wchodzi, jak się zdaje, w grę, decyzja o tym, czy przyjmuje dymisję rządu czy też raczej rozwiązuje Sejm, należy do prezydenta. I niewiele więcej. Wbrew rozmaitym inicjatywom mediatycznym, pomysłom w rodzaju 300 milionów kredytu dla każdego obywatela i napinaniu mięśni jak we wniosku o prezydencką gwardię narodową, Wałęsa jako prezydent jest postacią politycznie wyzuta z rzeczywistych możliwości pozytywnego działania. Wszystko, co może, to przeszkadzać. Do takiej bezsilności Lech Wałęsa doprowadził konsekwentnie sam siebie, ponieważ zawsze chciał mieć wyłączny przywilej nieprzestrzegania reguł gry: osamotnił się sam, ponieważ nigdy nie odróżniał jasno samodzielności polityka od samowoli. Dziś, kiedy stara się na gwałt zorganizować sobie jakieś zaplecze polityczne, więcej po drodze traci niż zyskuje: przyciąga Sieć, ale odpycha całą krajówkę Solidarności, mianuje Ryszarda Bendera i Macieja Iłowieckiego do Rady do Spraw Radia i Telewizji, ośmieszając przy okazji swą dopiero co z trudem zmontowaną radę do spraw kultury, itd... I przy tym im więcej puszy się i przechwala, tym bardziej degraduje sam siebie w opinii. Prezydent nie ułatwi najpewniej rozwiązania nieuchronnego kryzysu rządowego.

Pozostaje mieć nadzieję, że Hanna Suchocka potrafi zgłosić dymisję swego gabinetu we właściwej chwili i we właściwej sprawie.

3. Zgadzam się z tymi politykami, którzy domagają się, by w trudnej sytuacji, wobec wyraźnego kryzysu władzy, zapytać Polaków, czego właściwie chcą i za co gotowi są wziąć odpowiedzialność. Nie wykluczając bynajmniej przedterminowych wyborów parlamentarnych i prezydenckich, warto by może zacząć od referendum co do kluczowych kwestii gospodarczych i konstytucyjnych. Takiemu referendum nie groziłoby przekształcenie w plebiscyt: służyłoby ono określeniu, jaką władzę i jaki generalnie kierunek polityki obywatele gotowi są legitymizować. Wypada zaś przypomnieć, że legitymacja aktualnej polityki jest na tyle słaba, iż pierwszy z ideą referendum wystąpił właśnie jej rzecznik, Jan Maria Roki-

ta (choć jego partyjny zwierzchnik, Tadeusz Mazowiecki, od pomysłu się odzegał). Referendum tego rodzaju miałoby jeszcze dodatkowy walor. Jego pytania zawierałyby kwintesencję problemów rzeczywiście ważnych dla kraju. Utrudniałoby to skutecznie życie politykiem i demagogom serwującym wyborcom problemy zastępcze. Dobrze przeprowadzone referendum mogłoby nawet ułatwić przecięcie kryzysu władzy; w najgorszym razie oczyściłoby pole i wyklarowało atmosferę w przyszłych wyborach.

Wszystko to, rzecz jasna, przy założeniu, że politycy potrafią uzgodnić tekst pytań, a obywatele okażą dość przywiązania do demokracji aby przynajmniej połowa z nich zgłosiła się do urn.

Warszawa, 13 kwietnia

Krzysztof WOLICKI

P.S. W kwietniowej *Kulturze* na str. 76 do artykułu Krzysztofa Wolickiego pt. „Temat na wyrost” nie została wprowadzona poprawka autora. Mianowicie w 12 wierszu od góry zamiast „w stylu *Business Center Club*” winno być „w stylu *Polskiej Rady Biznesu*”. Jak się okazuje, są to dwie zupełnie odmienne instytucje (Redakcja).

Jeszcze o ustroju

A. Mała Konstytucja

Uchwalona w październiku 1992, ustawa ta miała ustalić wzajemne stosunki między Prezydentem, rządem i parlamentem. Niestety, zamiast wytyczyć, zatarła granice między uprawnieniami tych trzech naczelnych organów.

Np. art. 51-1 głosi, że „Rada Ministrów prowadzi politykę wewnętrzną i zagraniczną Rzeczypospolitej Polskiej”, a art. 52-7 dodaje, że Rada Ministrów „utrzymuje stosunki i zawiera umowy z rządami innych państw oraz organizacjami międzynarodowymi”.

Wszystko jak trzeba. Takie przepisy figurują w każdej przyzwoitej konstytucji. Ale w art. 32-1 czytamy, że to „Prezydent sprawuje ogólne kierownictwo w dziedzinie stosunków zagranicznych”. Aby nikt nie pomyślał, że „ogólne kierownictwo” ogranicza jego rolę do wygłaszania frazesów o

pokoju światowym, art. 32-3 precyzuje, że jego „kontakty z innymi państwami (...) odbywają się za pośrednictwem ministra właściwego w zakresie spraw zagranicznych”. (A więc z pominięciem premiera?) W nominacji tego ministra Prezydent ma głos decydujący (art. 61), mianuje też ambasadorów (art. 32-2) oraz na podstawie art. 33-1 „ratyfikuje i wypowiada umowy międzynarodowe, o czym zawiadamia Sejm i Senat”. (Znow z pominięciem premiera!)

Kto więc prowadzi politykę zagraniczną? Incydent jaki miał miejsce w związku z traktatem polsko-rosyjskim, nie wróży niczego dobrego.

Na tym nie koniec. Art. 34 głosi, że „Prezydent sprawuje ogólne kierownictwo w dziedzinie zewnętrznego i wewnętrznego bezpieczeństwa Państwa”. Na to jednak premier może zareplikować artykułem 52-8 mówiącym, że to Rada Ministrów „zapewnia bezpieczeństwo zewnętrzne i wewnętrzne Państwa”.

Do otwartego konfliktu między Prezydentem i gabinetem p. Suchockiej jeszcze nie doszło, ale tylko dzięki temu, że np. w sprawie nominacji Ministra Kultury rząd skapitulował, choć było rzeczą oczywistą, że nie zgadzając się na kandydaturę wysuniętą przez Radę Ministrów, Lech Wałęsa wykroczył poza przepisy konstytucyjne.

W pewnych okolicznościach, które wcale nie muszą należeć do rzadkości, nie Prezydent lecz Sejm powołuje Rady Ministrów i w takim wypadku konflikty między Prezydentem i w dużej mierze niezależnym od niego rządem muszą przybierać formy ostre, a nawet bardzo ostre.

Zdziwieniem musi napawać art. 41: „Prezydent nadaje obywatelstwo polskie i zwalnia z obywatelstwa polskiego”. Zacytowałem ten artykuł w całości. Nie ma w nim wzmianki „w ramach obowiązującego ustawodawstwa”, ani wzmianki „na wniosek Sądu Najwyższego”. Kieruję więc ostrzeżenie pod adresem Jarosława Kaczyńskiego. Jeśli ośmieli się jeszcze raz zaatakować Pana Ministra Wachowskiego, to Prezydent zwolni go z obywatelstwa polskiego i co wtedy.

Niepokojąco wygląda postanowienie, które przyznaje Prezydentowi prawo weta w odniesieniu do ustaw uchwalonych przez Sejm i Senat — art. 18-3. W takim wypadku tekst ustawy wraca do Sejmu i może nabrać definitywnej ważności pod warunkiem, że uzyska co najmniej 2/3 głosów. W krajach demokratycznych decyzje zapadające tak dużą większością należą do rzadkości i pod tym względem parlament polski nie będzie stanowił wyjątku. Lech Wałęsa sko-

rzystał już z tego przywileju w sprawie emerytur dla byłych pracowników UB. Ustawa wróciła do Sejmu, ale zamiast wymaganych 67% uzyskała 55%, a więc nie mogła wejść w życie. Veto Prezydenta okazało się silniejsze od dwukrotnie wyrażonej woli większości posłów i senatorów. Takie zjawisko może się łatwo powtórzyć zwłaszcza po pierwszym sukcesie Prezydenta. Gdzie cenzor, tam i autocenzura. Od tej pory posłowie i senatorzy będą świadomie lub podświadomie podejmować tylko takie decyzje, które mogą mieć szanse zgody Szefa i jego doradców. Ten miecz Damoklesa wiszący nad parlamentem stanowi stałą i niezbyt demokratyczną ingerencję władzy wykonawczej w dziedzinę ustawodawczą.

Wszystko to razem skłania mnie do zacytowania słów Platona z „Republiki” — „Wypada się teraz zastanowić, w jaki sposób z demokracji rodzi się tyran”. Zdanie to służy za motto w książce J.F. Revela o Mitterrandzie. Miejmy nadzieję, że przyszły biograf Lecha Wałęsy nie będzie miał powodów do podobnych aluzji.

Art. 53 ustala słusznie, że „Rada Ministrów działa kolegialnie”. Podkreśla stosowany we wszystkich demokracjach obowiązek solidarności między ministrami. Jak tedy autorzy Małej Konstytucji wyobrażają sobie funkcjonowanie art. 67-1, który głosi: „Sejm może uchwalić wotum nieufności poszczególnemu ministrowi”. Przecież takie wotum musiałyby spowodować solidarną dymisję całej Rady Ministrów.

O Tymińskim zapomniano, powierzając beztroško wybór Prezydenta głosowaniu powszechnemu. Na ten najwyższy urząd w Państwie z jego szerokimi prerogatywami może się więc wdrapać cyniczny cwaniak, byle tylko umiał wiecewać i nie żałował pieniędzy na kampanię wyborczą.

Kto optymistą, ten może mieć nadzieję, że przy ogromnej dozie dobrej woli i zdrowego rozsądku aparat państwowy na szczycie będzie jakoś funkcjonować. Nie dzięki, lecz wbrew Małej Konstytucji. Ale czym wcześniej i czym wyraźniej ujawnią się niedorzeczności tej ustawy, tym większe powstaną szanse na uniknięcie ich w przyszłej, definitywnej Konstytucji. Zachowując koncepcję reżymu prezydenckiego, należałoby ułożyć współpracę między najwyższymi organami Rzeczypospolitej w sposób jasny, jednoznaczny, harmonijny i możliwie jak najbardziej demokratyczny.

B. Ordynacja wyborcza

Szkoda, że do Małej Konstytucji wprowadzono liczbę

senatorów i posłów. Zmiana tych cyfr wymagałaby skomplikowanej procedury, jaka obowiązuje przy reformie Konstytucji. W przyszłości należałoby przenieść te liczby do ustawy o ordynacji wyborczej. Ilość senatorów nie budzi zastrzeżeń, natomiast Sejm mógłby na dobrą sprawę liczyć dwa razy mniej posłów.

Nie należy sobie wyobrażać, że istnieje jakiś związek między liczbą ludności kraju a liczbą jej przedstawicieli w parlamencie. Rozrzutna Francja zafundowała sobie blisko 600 deputowanych, podczas gdy pięciokrotnie liczniejsi Amerykanie mają 435 członków Izby Reprezentantów. Rekord oszczędności i zdrowego rozsądku należy do Holendrów, którym wystarcza 150 deputowanych. Poważna część pracy sejmowej odbywa się w komisjach, jest ich 10-15, po 10 posłów w każdej, i taki rachunek winien służyć za kryterium w ustalaniu liczebności Sejmu. Zauważmy, że Senat rozpatruje taką samą ilość ustaw co Sejm i radzi sobie przy pomocy stu senatorów. Figuranci są tu zbędni, a nawet szkodliwi. Sejm nie powinien się przekształcać w anonimową masę działającą według praw psychologii tłumu. Aby współpracować z innymi, zwłaszcza z przeciwnikami politycznymi, poseł winien znać jako swoich kolegów, każdego z osobna, co jest możliwe tylko w ograniczonym gronie. Redukując liczbę posłów wytworzyłoby się tendencję do zmniejszenia ilości partii i partyjek.

Druga zmiana. Posłów wybierano by nie w okręgach, jak to się dzieje obecnie, ale z list ogólnokrajowych. Trzeba tu sobie uprzytomnić, że Sejm zajmuje się ustawodawstwem i kontrolą nad rządem. Gdy więc toczy się debata nad reformą policji czy nad statutem uniwersytetów, poseł z ziemi sieradzkiej nie ma do powiedzenia nic specyficznie sieradzkiego. Gdy Sejm rozpatruje budżet ministerstwa spraw zagranicznych lub ministerstwa sprawiedliwości, poseł z Lublina może go krytykować lub akceptować, ale jego argumenty nie mają nic wspólnego z Lubelszczyzną. Prace Sejmu mają charakter ogólnokrajowy i taka też powinna być ordynacja wyborcza.

Dużo można się nauczyć na przykładzie Francji. Prawie każdy deputowany jest jednocześnie merem w swoim mieście lub miasteczku. Jednego z nich obserwuję od dłuższego czasu. W Paryżu bywa rzadkim gościem, w parlamencie zjawia się tylko w środy, kiedy telewizja transmituje posiedzenia z interpelacjami. W inne dni głośnie za niego kolega partyjny zgodnie z dyrektywami sztabu stronnictwa. Mimo, że ciąży

na nim obowiązek pracy ustawodawczej i kontroli nad rządem, co mogłoby pochłaniać łatwo 12 godzin na dobę, jego udział w pracach Sejmu jest znikomy, natomiast wykazuje imponującą pracowitość na stanowisku mera. Bierze udział w dorocznym balu strażaków, nie odmawia zaproszenia na bankiet wędkarzy, raz na tydzień ma godziny przyjęć, cierpliwie wysłuchuje petentów, nikogo nie odprawia z kwitkiem, ze współczującą miną pisze listy protekcyjne. W miejscowym piśmie zamieszcza co niedziela artykuł w rodzaju „Dbajmy o czystość naszych ulic”. Problem naprawy dachu budynku merostwa zajmuje mu więcej czasu, niż reforma szkolnictwa w całym kraju, a wydatki na strzyżenie trawników w ogrodzie miejskim napawają go większą troską niż budżet obrony narodowej. Ten mój deputowany, mer 6-tysięcznego miasteczka, nie stanowi bynajmniej wyjątku. Jeden z jego kolegów westchnął: „Staliśmy się opiekunami społecznymi i doradcami prawnymi”. I tego wymaga od nich ludność! Zabiegając przeto o wygranie następnych wyborów, każdy deputowany uprawia nieustające polowanie na głosy, naturalnie w swoim okręgu wyborczym, a nie w stolicy.

W Polsce nie doszło jeszcze do takiego stanu rzeczy, ale dowiaduję się, że pewni posłowie, którzy przez całe życie nie wychylili nosa poza Warszawę, pielgrzymują teraz regularnie do swych odległych okręgów wyborczych i interweniują w sprawach lokalnych, które wcale nie leżą w ich kompetencji i których nie znają.

Tej niezdrowej tendencji, która z czasem może przybrać rozmiary francuskie, można łatwo położyć kres. Aby nie zrywać całkowicie z tradycją, rozpowszechnioną do dziś dnia w wielu krajach, należałoby pozostawić 50 posłów wybieranych na prowincji, po jednym z każdego województwa, podczas gdy przeważającą większość np. wyłoniono by z list ogólnokrajowych.

Taki system ma dodatkowe zalety. Zamiast kacyków prowincjonalnych, biegłych w problemach na skalę powiatu, znalazłoby się na listach kandydatów osobistość o szerszych horyzontach i cieszące się prestiżem w całym kraju. Głosowanie na listy ogólnokrajowe wzmocniłoby spójność państwa i chroniłoby je przed ewentualnymi tendencjami secesyjnymi. Partie mające skłonność do dublowania związków zawodowych, jak np. Stronnictwo Ludowe, musiałyby występować z pełnym programem politycznym, rezygnując z faworyzowania jednej tylko warstwy społeczeństwa.

Reforma ta zachęcałaby też partie, partyjki i klany do

łączenia się w większe ugrupowania. W tej chwili chodziłoby o to, aby z przerażającej ilości trzydziestu grupiek ulepić nie więcej, jak pięć poważniejszych stronnictw.

Jakiego wyboru dokonać między systemem proporcjonalnym a większościami? Za pierwszym przemawia sprawiedliwość, Sejm wyłoniony według zasad proporcjonalności odzwierciedla oblicze społeczeństwa i chroni prawa mniejszości. Drugi zabezpiecza przed kontredansem zmiennych koalicji i częstych przesileniach rządowych, ale maluczki skazuje na milczenie. Tu także warto spojrzeć na to, co się ostatnio działo we Francji. Ortodoksyjnie demokratyczna Czwarta Republika stosowała system proporcjonalny i obalała swe rządy dwa razy do roku. Piąta Republika wprowadziła system większościowy, dzięki któremu socjaliści rządili niepodzielnie przez wiele lat do wyborów w marcu 1993, a chociaż nie dysponowali w Sejmie większością absolutną, nie bali się opozycji, bo i prawica nie miała absolutnej większości, a komuniści, języczek u wagi, wstrzymywali się na ogół od głosu, co było na rękę socjalistom. Poza tym paragraf 49-3 konstytucji postanawia, że ustalenie rządowego projektu ustawy nie wymaga większości głosów, wystarcza, jeśli większość nie wypowiada się przeciwko projektowi. System zapewniał więc długotrwałość gabinetów, ale były to rządy opierające się na niewielkim odłamie społeczeństwa. Co gorsza, większościowa ordynacja wyborcza nie doprowadziła do sejmu ani jednego przedstawiciela Zielonych, choć w różnych wyborach zbierali około 10% głosów, Front Narodowy z 15% wyborców uzyskał za ledwie jeden mandat, podczas gdy komuniści dysponujący niespełna 10% wyborców zdobyli około 30 mandatów. Stało się to dlatego, że wyborcy komunistyczni są zgrupowani gęsto w paru okręgach przemysłowych, gdzie wyprzedzali swych konkurentów, a Zieloni i lepeniści rozproszeni po całym kraju przegrywali we wszystkich poszczególnych okręgach. Była to więc jawna niesprawiedliwość, nawet nieuczciwość! W Polsce jest analogiczny problem z Ukraińcami rozproszonymi po całym kraju. Widzimy tu jeszcze jeden argument przemawiający za głosowaniem na listy ogólnokrajowe.

Jeśli chodzi o przyszłą ordynację wyborczą w Polsce, to rozsądek i przyzwoitość nakazywałyby kompromis, a więc system większościowy z uwzględnieniem proporcjonalności. Z grubsza wyglądałoby to tak, że nawet malutkie ugrupowania od 1% do 10% wyborców uzyskiwałyby wstęp do Sejmu, ale w postaci jednego tylko posła, a więc nie byłyby wykluczone z życia politycznego, mogłyby przemawiać z trybuny

parlamentarnej, zachowałyby szanse rozwoju na przyszłość. Partiom liczącym od 10% do 25% wyborców przyznawano by proporcjonalną ilość miejsc w Sejmie. I wreszcie partie najpopularniejsze otrzymywałyby premie, a nawet absolutną większość mandatów począwszy od 40%, co pozwalałoby tworzyć rządy z solidnym oparciem. Naturalnie, przedstawiam projekt szkieletowy, wymagający szczegółowego rozpracowania. Taki system zachęcałby także obecne partie do łączenia się w większe ugrupowania i do występowania z programem ogólnokrajowym i z kandydatami mogącymi zdobyć zaufanie wszystkich dzielnic i wszystkich warstw społeczeństwa.

Paryż

Jan WINCZAKIEWICZ

WAWEL

PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA
w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne
oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

Sprawy i troski

Cudzoziemcy — niewygodni goście?

Wschodnia nasza granica nie jest podobna do innych. Różni ją od innych to, że jest to granica przybierającego na sile ludzkiego nacisku, nacisku któremu — być może — niepodobna sprostać, którego — być może — niepodobna na dłuższą metę powstrzymać i którego nawet — być może — jak chcą niejedni, powstrzymywać nie należy. Jest to granica, do której toczy się od trzech lat narastająca lawina ludzi, których celem jest zdobycie chleba, pracy, czasowego lub trwałego poprawienia warunków egzystencji, a także uzyskanie majątku drogą przestępstwa. Za tą granicą stoją narody jeszcze biedniejsze od nas, o innej mentalności, innych obyczajach i tradycji, innym poczuciu prawa i poziomie cywilizacyjnym, o innej kulturze. Zrazu traktowały one nasz kraj za swego rodzaju przechodni korytarz na bogaty Zachód, teraz coraz częściej, z konieczności, nasz kraj traktują jako docelowy.

Od kilku miesięcy toczy się u nas jałowa dyskusja — w prasie, mediach i na scenie politycznej — co z tą narastającą lawiną począć. Dyskusja ta wyszła już z powijków, kiedy to z trudem rozróżniano kategorie składające się na tę wiele milionów liczącą masę i kiedy uciekinierów politycznych, uchodźców, wychodźców, turystów i pseudoturystów, poszukiwaczy pracy oraz pospolitych handlarzy, jak i pospolitych przestępców jednakowo pakowano do jednego worka. I kiedy uważało się, że tak zwani wychodźcy poszukujący azylu chcą tylko przez nasz kraj przedostać się na Zachód, a kilkunio turyści handlowi zasilają nasz kraj potrzebnym i pożądanym towarem. Dziś — jak się zdaje — widzi się zja-

wisko narastającej lawiny ludzkiej pracy ze Wschodu, i to nie tylko ze wschodu europejskiego, ale w ogóle z obszaru Euroazji, już bardziej w kategoriach wędrówki ludów i terenów zagrożonych głodem, chaosem gospodarczym, niestabilnością polityczną, a niejednokrotnie i wojną, do krajów spokojniejszych, zasobniejszych, bardziej ustabilizowanych. Dziś widzi się to zjawisko w jego niesłychanej złożoności, dostrzegając już jego stronę najbardziej przykrą, niepokojącą, a mianowicie jego dramatyczną kryminogenność, natomiast niestety nie dostrzega się jeszcze, lub nie dostrzega dostatecznie wyraźnie takich pochodnych tego zjawiska, jak dezorganizacja własnego rynku pracy, niszczenie rodzimego rzemiosła a w pewnej mierze także i handlu, strat z tytułu nie pobranego czy nie dającego się pobrać cła, wreszcie strat z tytułu wywozu wielkich ilości dewiz.

Jak się wydaje nadszedł czas, żeby o zjawisku, jakim jest wielomilionowa masa ludzka napierająca na nasze granice ze wschodu, wsiąkająca na krócej lub dłużej w nasz kraj, mówić już bez złudnych porównań w rodzaju: my także przez lata gasterbeiterowaliśmy na zachód od naszego kraju i jeździłiśmy tam na korzystny dla nas handel, porównań o tyle złudnych, gasterbeiterowaliśmy i handlowaliśmy nie na obszarze biedy, ale w krajach bogatych, rozwiniętego kapitalizmu, gdy zaś te kraje także co nieco zbiedniały, niekontrolowany dopływ handlowych i czarnorynkowych turystów szybko na swój teren przyhamowały. Czas też, żebyśmy wyzbyli się ochoty naśladowania otwartości Zachodu. Po pierwsze dlatego, że nas na to nie stać, a po drugie i po dziesiąte, że ta otwartość Zachodu jest przeszłością. Od miesięcy już poszczególne państwa zachodniej Europy bez zbędnego rozgłosu pośpiesznie uszczelniły swe granice, hamując spontaniczny napływ obcokrajowców, utrudniając im pobyt, zameldowanie, znalezienie legalnej pracy, a wreszcie deportując, ostatnio zaś czyni się to zupełnie otwarcie, ustanawiając nowe przepisy imigracyjne, zmieniając nawet literę prawa konstytucyjnego. Znane są powszechnie pociągnięcia prawne w tej sprawie władz niemieckich, można też zapoznać się z oświadczeniem nowego ministra spraw wewnętrznych Francji, Charlesa Pasqua, który zapowiedział redukcję kwoty nielegalnych przybyszów zza granicy o 60% jeszcze w tym roku. Praktycznie Szwajcaria — choć kraj należący do najbogatszych w Europie — jest dla imigrantów zamknięta, kraje zaś jak Grecja, Włochy czy też Hiszpania i Portugalia chronią się przed nimi coraz ostrzejszymi przepisami; do nich należy ponowne wpro-

wadzenie obowiązku wizowego dla przybyszów z krajów poza-europejskich.

Co robimy u nas? Praktycznie niewiele, właściwie zaś nic. Na warszawskiej górze toczy się wojny na papierki między Ministerstwem Spraw Zagranicznych, stojącym na stanowisku, że skoro kandydujemy do Europy bez granic, nie możemy u siebie tych granic zamykać, czy przymykać, a Ministerstwem Spraw Wewnętrznych, znajdującym się bliżej problematyki imigracyjno-turystyczno-handlowo-przestępczej, konfrontowanym na co dzień ze wszystkimi jej niedogodnościami i obciążeniami, pragnącym tym granicom przywrócić ich przypisane znaczenie i funkcję, to znaczy rozsądnego sita dla pracy na nie obcokrajowej masy. Praktycznie z tej wojny na papierki rodzi się hybryda w postaci kontrolowanych zaproszeń, opatrzonych klauzulą poręczeń finansowych zapraszającego, nie bardzo wiadomo tylko dotychczas kto owe zaproszenia ma skutecznie kontrolować, a już zupełnie nie wiadomo, kto miałby ściągać ewentualne kary za dokonanie przez zaproszonego cudzoziemca przestępstwa, przekroczenie terminu pobytu i tym podobne. Znając polskie stosunki (i do tego jeszcze przy ogromnej masie odwiedzających Polskę turystów), są to regulacje zupełnie złudne, mające co najwyżej znaczenie listka figowego dla tych, którzy w owej gorącej materii niewiele chcą zmienić.

Tymczasem mając nawet pewne zrozumienie dla naszych „europejczyków” pragnących już teraz naśladować zachodnią Europę (tę sprzed lat raczej niż dzisiejszą) i humanistów, mających tak otwarte serce dla ludzi nieraz biedniejszych od nas, nie sposób nie dostrzec równocześnie, że kilkaset tysięcy rocznie niezarejestrowanych, pracujących na czarno u nas cudzoziemców, to nie tylko indywidualny pożytek dla ludzi, którzy — powiedzmy — aktualnie budują sobie za psie pieniądze domy i wille, czy uprawiają swe gospodarstwa rolne, ale i strata nieściągniętych podatków i kwot ubezpieczeniowych, przede wszystkim zaś strata wielu miejsc pracy dla ludzi swoich, którzy w tym samym czasie w najlepszym razie pobierają z kasy państwa zapomogi dla bezrobotnych albo głodowe świadczenia socjalne, czyli utrzymują się na koszt ogółu, lub pozbawieni jednego i drugiego po prostu żyją w skrajnej nędzy, o czym prasa ostatnio coraz częściej donosi, wskazując nawet najbardziej zagrożone rejony na tak zwanej „ścianie wschodniej”. Jak łatwo się zorientować, Polacy opierający się na pracy najemnej cudzoziemców, pracujących na czarno, dorabiają się kosztem własnego społeczeństwa. Sprawę

tę dawno zrozumiały i przestały na nią patrzeć przez palce państwa zachodnio-europejskie, gdzie praca cudzoziemca musi być reglamentowana, rejestrowana i opodatkowana, a na czarno zatrudnianie jest coraz ostrzej ścigane. Wszystkie te uwagi dotyczą także uprawianego przez cudzoziemców nielegalnego handlu, nie jest to bowiem handel, który bogaci społeczeństwo jako ogół, bo towary wwożone unikają zazwyczaj cła, konkurują następnie (jako niezwykle tanie) zwycięsko z produktami własnego rzemiosła i gospodarki rolnej, obie dziedziny więc niszczą, nie jest wreszcie płacony od nich podatek, a najczęściej nawet opłata za miejsca postojowe na targowiskach.

„Nasza władza nie podróżuje zwykle trasami przebijającymi się przez tak zwaną ścianę wschodnią” — powiedział mi niedawno w Polsce pewien pedagog, jeżdżący co tydzień z Warszawy do Suwałk. „Jeżeli zaś podróżuje, to wysokich numerów Citroenami, z których niewiele widać” — dodał. Uraczył mnie opowieścią, której treść później w trochę innych wariantach potwierdziły mi opowieści ludzi spotkanych w Lublinie i Krakowie. Nie istnieje u nas baza turystyczna, umożliwiająca przyjmowanie rocznie wielu milionów podróżujących; baza składająca się z hoteli, moteli, zajazdów, restauracji, jadłodajni, postojów przydrożnych zaopatrzonych w urządzenia higieniczne itp. — nie istnieje nawet taka, która umożliwiałaby stałe, nieuciążliwe dla otoczenia, przyjmowanie setek tysięcy. Zresztą gdyby nasz kraj taką bazę posiadał, z pewnością byłaby ona niewykorzystana, jako za kosztowna dla większości ludzi przekraczających naszą granicę wschodnią. Jesteśmy więc realnie skazani na tłumy ludzi przeciągających przez nasze wsie i miasteczka, pukających po zatrzymaniu się autobusu do drzwi domów, aby załatwić swe naturalne potrzeby, coraz częściej odprawianych, traktujących pobocza dróg, ogrody, pola, parki, jako miejsce do koczowania i, niestety, tych potrzeb naturalnych załatwiania. Coraz częściej też mieszkańcy większych miast, którzy pobudowali się lub wykupili jakieś posesje na Suwalszczyźnie, Augustowszczyźnie, czy innych terenach wzdłuż granicy wschodniej, przyjeżdżający do swych wakacyjnych domów na niedzielę lub święta, zastają zakwaterowane w nich rodziny rosyjskie czy inne. Mówiono mi, że nie muszę, aby zapoznać się z tematem, jeździć aż tak daleko, wystarczy przejść się na warszawski stadion dziesięciolecia oraz rozejrzeć się w jego pobliżu, a także na terenie zatrzymanego na amen i zanieczyszczonego do niemożliwości pobliskiego parku. Wybrałem się

tam, rozejrzałem i wycofałem, stwierdziwszy, że moi rozmówcy nie przesadzali.

Do czego zmierzam? Otóż pragnąłbym poruszyć ów niewdzięczny temat (za co tak łatwo zostać można omówionym o propagowanie egoizmu narodowego, a nawet wręcz szerzenie niechęci do obcych), aby pobudzić do myślenia w tym mianowicie kierunku: a) czy stać nas przez tolerowanie setek tysięcy liczącej nielegalnej siły roboczej na finansowanie budowy małego kapitalizmu w sąsiednich krajach wschodnich, zubożając jednocześnie skarb naszego państwa; b) czy przestępczość towarzysząca swobodnej pseudoturystyce ze wschodu nie staje się groźna dla naszego spokoju wewnętrznego i bezpieczeństwa; c) czy nasza gospodarka dobrze wychodzi na konkurencji taniej tandety ze wschodu oraz na stałym odpływie poważnej ilości twardej waluty i d) czy nie jest to niebezpieczne, że stajemy się drogą tranzytową dla działalności mafii narkotycznych, dla handlu bronią i materiałami rozszczepialnymi, a wreszcie e) czy nie zbliżamy się do krytycznej granicy wytrzymałości psychicznej społeczeństwa nie tyle może na samych obcych, ile bardziej na zjawiska napływowi obcych towarzyszące, zakłócające temu społeczeństwu spokój, destabilizujące jego i tak już chwiejną egzystencję i zagrażające jego bezpieczeństwu?

Chciałbym tu powiedzieć coś bardzo niepopularnego nie tylko w Polsce. Zwłaszcza jeżeli mówi się to głośno. A mianowicie, że zatrwające ekscesy skierowane przeciwko cudzoziemcom, mające ostatnio miejsce w Niemczech nie są tylko wynikiem szczególnego niemieckiego charakteru i mordczych skłonności żywionych jakoby w stosunku do innych nacji, przypisywanych powszechnie Niemcom przez sąsiadów, ale także wynikiem przekroczenia owej granicy społecznej wytrzymałości na ilość ludzi obcych językiem, obyczajem, ubiorem, kulturą, poziomem cywilizacyjnym, religią. Socjologia tę granicę sytuuje między szóstym a siódmym procentem ilości elementu obcego. Wiele obrzydliwych ekscesów przeciwko cudzoziemcom notowano ostatnio i we Francji, prasa światowa nie nadała im jednak takiego rozgłosu. Obarczając za nie winą skrajne elementy (zresztą zarówno z prawa, jak i z lewa) nie należy zapominać, że duża część tej winy spoczywa także na rządzących, którym ich ślepotą, partykularne interesy i ślamazarność przeszkadzają w dostrzeżeniu pewnych prawidłowości społecznych. Moi krajowi rozmówcy opowiadający o rosnącym w społeczeństwie polskim zniecierpliwieniu, jakie coraz silniej wzbudza tocząca się przez nasz

kraj lawina obywateli niedawnego Związku Sowieckiego, biorących nasz kraj powtórnie w posiadanie, z niepokojem mówili mi: „U nas nie ma na szczęście 'heimów' dla cudzoziemców, które ludzie zaczęliby palić... Jak więc zaczyna wyrażać swe niezadowolenie?” To pytanie dedykuję tym wszystkim, którzy tak zapatrzili się na Zachód, że wschodnią granicę przestali w ogóle dostrzegać i nie przychodzi im do głowy, że sprzeciw społeczeństwa budzić może nie tylko zajmowanie jego terytorium i terenu egzystencji drogą zbrojną, wojny, ale że taki sprzeciw może również budzić zajmowanie tego terytorium i terenu egzystencji drogą pokojową.

Włodzimierz ODOJEWSKI

Z ukosa

Zarzekalem się, jak ksiądz, co nie chce oglądać pornografii, — ja nie zajrzę! — a jednak przeczytałem kilka naszych politycznych przebojów „Lewy czerwcowy” i „Agenci są wśród nas”.

— „Rąbek tajemnicy został uchylony i będzie szerzył pożar” — oświadczył w tym pierwszym dziele Glapiński. To dzieło zbiorowe, bo wypowiadają się Kaczyński, Glapiński, Parys, Macierewicz, Kostrzewa-Zorbas.

Poznałem Glapińskiego na kilka miesięcy zanim zaczął być postacią publiczną. Już wtedy poczułem, że nie ma między nami żadnej chemii — a wbrew moim tekstom jestem tolerancyjny i mam spory margines akceptacji drugiego człowieka — zaniepokoiły mnie w nim zapiekłe niechęci, do pewnych polityków, pewnych ugrupowań. Był wówczas jeszcze szczupły, a potem w ministerialnym fotelu monstrualnie utył. Jednych władza rozdyma, innych wysusza. I ten rozdęty jest teraz taki zadowolony, że uchylili tego „rąbka tajemnicy”, a to przecież jest raczej brama od domu pełnego upiórów. Ze niewinni ludzie padną ofiarą epidemii podejrzeń, to nie szkodzi. Jak się zdaje, PC i RDRP już bez wahań wznoszą sztandary z napisem — cel uświęca środki. I tego właśnie nie wolno im wybaczyć. I jest wielka nienawiść do

tak zwanej opozycyjnej lewicy. Oskarżają wielokrotnie dawnych kolegów z opozycji i podziemia, że od samego początku myśleli tylko i wyłącznie o władzy. Ciekawe, bo o to samo oskarżała ich wtedy komunistyczna propaganda. Co za idiotyzm. Nawet wielu komunistów trudno o to oskarżyć, oni też na początku myśleli o równości i o wielu pięknych ideałach. To fakt, że z wielu naszych szlachetnych potem powyłaziły różne upiory, chore ambicje, wielkie arogancje, napuszone pychy. Lecz kogo to nie trafia, jak się nazre władzy. Że całe towarzystwo z okopów świętej lustracji jest wolne od ambicji, oni myślą tylko o polskim narodzie, o jego dobru, a o sobie w ogóle nic. I tylko myślą, jak wykarmić własną piersią prawicę, która ciągle słabuje, tacy są szlachetni.

Ale zdarzają się w tych relacjach jakieś szczeliny, przez które widać ostro. Ja zresztą nie wierzę, że oni tylko kłamią, raczej na swojej prawdzie budują różne konstrukcje sycone gorzkim miodem nienawiści. To są wariacje na temat prawdy, czasem zupełnie zwariowane wariacje. Ale przez szczeliny czasami coś widać nie odkształconego, to jak przypadkiem zrobione zdjęcie automatycznym aparatem. Gdy się te obrazki podgląda, bierze takie obrzydzenie do wszystkiego co ma związek z władzą, że aż człowiek współczuje tym, co tam wleźli. Ale czasami widać rzeczy zabawne. Oto na jakimś bardzo ważnym zebraniu Prezydent zdejmuje buty i drapie się nogą o nogę, a wszyscy się gapią na te nogi. Do tej scenki nie potrzeba mi dwóch świadków. Ale autor (ukryty pod pseudonimem) opowiada, jakże pewny siebie, o znanym naukowcu, co był przez czas jakiś za granicą, a teraz jest na górze, że są na niego straszne materiały, straszne, ale bez szczegółów, a ten uczyony jest na... pierwsza litera... (?) — (nie powiem tej pierwszej litery, bo jakże łatwo dojść po niej do pewnego nazwiska) — to w tej sytuacji żądam dowodów, świadków i pełnego nazwiska, tego co oskarża i oskarżanego. I wypraszam sobie, aby zmuszać moją ułomną głowę do szukania dalszych liter po (?) Czy dalszych liter po (X) — a następną apokryficzna opowieść dotyczy bardzo znanego pisarza, „co przemawia jak sumienie narodu”. — A nie ma ich znowu tak wiele na (X). Tu zaczyna się wielkie świństwo, reakcja łańcuchowa obrzydliwości i podejrzeń.

Łatwiej mi chyba wybaczyć dawne grzechy ludziom złamanym przez bezpiekę, niż nowe grzechy ludzi złamanym przez przymus głoszenia prawdy w taki sposób.

Wojny wewnętrzne naszych polityków szkodzą budowie demokracji, a kto wie czy jej w ogóle na jakiś czas nie zniszczą. To wszystko dzieje się w czasie, gdy staje się faktem, co łatwo można było przewidzieć — oto na wschodzie wszystkie nasze problemy występują w formie karykaturalnie lub upiornie zwielokrotnionej, więc polityczne katastrofy są w Rosji nieuniknione. A i przyszłość Ukrainy nie będzie usłana różami. Bardzo to się robi niepokojący kontekst naszego stanu rzeczy. A ból tym większy, że przecież myśmy do diabła mieli „Solidarność”. Jakże unikalny, niezwykły ruch, jak bardzo, jak głęboko on scalił społeczeństwo, jak wiele naprawił ze szkód, które wyrządził nam komunizm, ile więzi zawiązał między ludźmi, między grupami społecznymi, tam gdzie były one celowo przez reżim rwane. Bez tych więzi nie da się budować demokracji. I bez poczucia dobra wspólnego. Żaden z sąsiedzkich krajów takiej sytuacji nie miał. To, że teraz tak nędznie, tak żałośnie tracimy ten kapitał, głównie z powodu dziur w głowach ludzi co zechcieli być u nas politykami, to jest jakiś wielki historyczny skandal i kosmiczne marnotrawstwo.

Odrzucenie przez nasz parlament ustawy prywatyzacyjnej — latami ją przygotowywano, a zdychające mamuty naszej gospodarki czekały na wielką zmianę. *Mass media* okrzyknęły, że to jest katastrofa, nie inaczej prasa zachodnia. Polska się cofa, była pierwsza na wschodzie, a już nie będzie. Z pewnością ta ustawa była niedoskonała, obecnie doskonała jest u nas tylko niekompetencja naszych polityków. Ale parlament udowodnił, że jest nieszczęśliwym zlepkiem nie zawsze mądrych ugrupowań. Niechęci, fobie, małe kłótnie, to jest góra, a nie myślenie o kraju i o racji gospodarki i kraju. KPN i inni uważają, że liberałowie, którzy stoją za projektem to złodzieje, fragmenty ZChN-u, które głosowały na nie, wbrew swojej partii, która jest przecież w rządowej koalicji, uważa, że Zachód chce nas złupić i wykupić. Dawni komuniści ze swojej istoty nie mogą poprzeć wielkiej kapitalizacji, ale jako, że ich istota jest teraz gąbczasta, to w przyszłości, kto wie? Zaś PC głównie myśli, by doszło w kraju do jakiejś wielkiej katastrofy i wtedy oni pokażą, zlustrują, ujawnią i zdekomunizują. Oto nasi politycy, jak wielka grupa Laoookona, opleciona węzłem polityki, splątana rękoma, nogami, włosami, pomówieniami, nienawiścią i fobią. Gdybyśmy tylko mieli gdzie, to pewnie byśmy się gdzieś zsunęli, ale rzeczywistość jest tak gęsta, że nie widać miejsca na katastrofę, a co powinno leżeć, stoi w toku.

A sama prywatyzacja, zwana PPP, jest przecież jednym z kluczy do naszej demokracji, bo nie ma lepszej jej gwarancji niż własność prywatna. Problem, że ten klucz łatwo staje się złodziejskim wytrychem, więc jest trochę racji w obawach jej przeciwników. Ryszard Bugaj, którego doprawdy trudno posądzać o nieuczciwość czy niekompetencję, mówi, że na PPP skorzystałoby tylko nieliczni. „Wokół programu kręciła się już grupa ludzi wierzących okazję zdobycia wielu bardzo dobrych posiadłości rozdzielanych według klucza politycznego”. To są pyszczki, a często pyski własnego interesu, o czym już kiedyś pisałem. I tak najbardziej pożyteczna idea jest u nas od razu obśliniana przez ślinę stamtąd właśnie, a ślinią się prawie wszyscy, bo stracili 50 lat, a może i 150 lat.

Dzisiaj tak się wszystko popaskudziło, że wypominanie komuś złej przeszłości jest niesmaczne. Więc byłem niesmaczny uderzając w senatora Ryszarda Bendera za przeszłość, kiedy mam głównie pretensję o dzisiaj, o jego katolicki radykalizm i neoendecki ton. Jakby mało było tego grzechu wypominania, pomyliłem się. Bo nie był On w Paxie, a nawet twierdzi, że z nim walczył i się narażał. Ma więc Pan rację, że Pan się oburzył, Senatorze, i prostuje w liście do *Kultury*. Tylko czemu mój błąd tak łatwo nazywa Pan kłamstwem? Kłamstwo to celowe sianie nieprawdy, a ja się tylko (albo aż) pomyliłem. Za co bardzo przepraszam. Tak, to słowo „kłamstwo” stanowczo za łatwo sływa z pióra prawdziwego katolika, nie mówię, żeby od razu drugi policzek, ale po co samemu policzkować? Dlaczego się pomyliłem? — bo mam dziury w głowie, bo nie sprawdziłem, ale również dlatego, że nazwisko kojarzyło mi się z jakimś nieprzyjemnym miejscem dawnych czasów. I tu się jednak nie myliłem. Cytuję za *Życiem Warszawy* (2.04.93 r), bo swojej pamięci już nie ufam: „w sporze wewnątrz katolickiego środowiska «Znak», opowiadał się w połowie lat 70-tych po stronie frakcji Janusza Zabłockiego, tradycjonalistycznej, lecz zarazem ugodowej wobec komunistów. Poparła ona zmiany w Konstytucji, aprobując przewodnią rolę PZPR i nienaruszalność sojuszu z ZSSR. W następstwie kontrolowanych przez partię wyborów roku 76 Bender wszedł do Sejmu PRL z listy Frontu Jedności Narodu”. Można by tak to jeszcze przez chwilę pociągnąć, a na koniec dodać, że w roku 1985 Bender zgodził się ponownie wejść do Sejmu PRL — przypominam, był to rok szczególnie głębokiej zapaści społecznej i próg kłęski Solidarności. Owszem, czasami protestował i wychodził

poza ramy naznaczone przez konwenans sejmowej fikcji, podejrzewam, że niestety było to tej fikcji również potrzebne. A za błąd z Pax-em senatora jeszcze raz przepraszam, chociaż wiem, że nie ma wybaczenia.

Nie jestem zwolennikiem grzebania w życiorysach, chociaż czasami doprawdy trudno się powstrzymać. Jest cała grupa ludzi, którzy stali z boku, nie narażając się zbyt, a teraz są o kilka pięt bardziej radykalni od tych co wtedy siedzieli po więzieniach. O, nie wybaczą żadnego grzechu — innym, bo sobie już wybaczyli. Chciałem też zauważyć, że Mickiewicz pisząc „Konrada Wallenroda” nie spodziewał się, że w ponad wiek po narodzeniu się tej literackiej postaci nastąpi w Polsce epidemia Wallenrodów, że namnożą się oni niebywale, powyłażą z najbardziej niespodzianych miejsc i zaskakujących osobników. Teraz okazuje się, że każdy łajdak był podszyty uczciwym człowiekiem, tchórz bohaterem, a zdrajca miał Wallenroda za skórą. Czy nie warto by stworzyć u nas jakiegoś stowarzyszenia Wallenrodów?

Że też wszystko musi się przeradzać w parodię! Są nad mordercami górników w kopalni Wujek grzęźnie na mierzniach, zaś jedynym wyraźnym faktem, niestety nie do obalenia, jest śmierć dziecka podczas kręcenia przez śląskiego reżysera Kazimierza Kutza batalistycznych scen do filmu o tamtej tragedii. Że właśnie na tym przeklętym planie coś takiego musiało się zdarzyć.

Generał Jaruzelski stanął przed Komisją Sejmową Odpowiedzialności Konstytucyjnej. Miał to być sąd nad stanem wojennym. Posłowie chcieli go rozstrzelać trudnymi pytaniami — przyszedł czas kłęski generała i triumf odwleczonej prawdy. A oto generał, jak twierdzą przerażeni świadkowie, odparł wszystkie strzały stalową pierśią. Wyprężył się godnie, uczciwy, mądry, świetnie poruszający się po naszej najnowszej historii, był górą, gdy sąd sejmowy wykazał całkowitą niemożność.

To już nawet z naszą niedawną przeszłością nie potrafimy się policzyć, choćby w słowach, skoro na czyny jest za późno, a sąd nad historią staje się sądu parodią i parodią historii.

A reżyser Kutz mówi niezwykle ciekawe rzeczy o samym Śląsku. To jeden z coraz liczniejszych polskich światów, który ukazuje się naszym zdumionym oczom, jako świat nam zupełnie nieznan, czasami nawet obcy i wrogi, pełen zapiekłych pretensji. Reżyser mówi: „Śląsk dał Polsce

nie tylko swoją ziemię, ale przede wszystkim fantastyczną warstwę ludzi nowoczesnie pracujących. Ziemia została zdezastrowana, a kultura pracy Górnoślązaków całkowicie zmarowana, nikt nie pojął śląskiej mentalności. Polska była biednym, głupim krajem, zidiociałym na skutek swoich nieszczęść. Wszystko co się w niej działo, działo się przez mit powstań przegranych, przez męki, przez Syberię. Nawet polscy chłopcy przefaszerowali się kulturą szlachecką" (tu przy tych chłopach nie mogę nie przerwać na chwilę cytatu, by nie przytaknąć skwapliwie). Wszystko, co się działo od Sosnowca począwszy, było dla Górnego Śląska obce. Górny Śląsk znalazłszy się w pruskich ryzach, a potem w niewyobrażalnym dziś wyzysku rodzącego się kapitalizmu, zastygł w swojej polskości na wieki. Więż z macierzą stracił sześć wieków temu".

Może tak było, może nie tak, ja nie mam pojęcia, należę do tych, którzy nie wiedzą i nie rozumieją Polski B. i C. oraz Śląska. Ale ja to pół biedy, nie rozumie tego ni w ząb nasz rząd i parlament, który niby składa się z przedstawicieli wszystkich zakamarków kraju, ale nasi parlamentarzyści oderwali się już nie tylko od swego elektoratu, oni lewitują grupowo. Ostatnie dramatyczne strajki na Śląsku bynajmniej nie zbliżyły go do reszty kraju, raczej pogłębiły niezrozumienie. Kutz mówi potem bez zmużenia oka o możliwości przyszłej autonomii Śląska oraz innych rejonów.

Różne ksenofobie siane przez partie nacjonalistyczne niczego nie wyjaśniają, a tylko zaciemniają i rozogniają. Nie rozumiemy dzisiaj swojej własnej sytuacji, więc jak rozumieć inne światy w ramach tego naszego, przez 50 lat to było przykryte skorupą komunizmu, nie rozumiemy ich, my z okolic Krakowskiego Przedmieścia i kawiarni wydawnictwa Czytelnik, jak i oni z umierających fabryk odchodzącej epoki, nie mamy języka do opisu stanu rzeczy, nie ma tego klucza do współczesności zarówno literatura jak i film, gorzej, nie mają zupełnie politycy. Przecież rząd Suchockiej jest kolejnym rządem, który nie potrafi rozmawiać ze społeczeństwem, to już stało się żelazną regułą! Więc czegoż można wymagać od zwykłych zjadaczy słów.

Wracając do czasów, gdy wszystko wydawało się takie proste — śmierć górników z kopalni Wujek była najbardziej wstrząsającym zdarzeniem stanu wojennego, nie tylko dla nas. Jak wspomina były ochroniarz generała, gdy ten się o tym dowiedział, zachwiał się, a idący po bokach oficerowie musieli

go przytrzymać. Kto wie, może ma jednak serce? Tenże wie-letni opiekun generała, pułkownik o nazwisku Artur Gotówko, najwyraźniej doszedł do wniosku, że nadszedł jego czas i zwierzył się dziennikarzowi, a te zwierzenia ułożyły się w grubą księgę oprawną w okładkę błyszczącą jak karoseria czerwonego Mercedesa. Ale „silnik” tego dzieła to raczej skrzyżowanie Wołgi z naszą dwusuwową Syrenką, model już nie produkowany i trochę śmierdzący. A przecież kto z nas kiedyś nie chciał zajrzeć za gorset generała, czy do pokoi jego willi na ulicy Ikara? Pułkownik Gotówko prowadzi nas wszędzie gdzie pilnował generała, a gdzie on go nie pilnował, ale jakieś to wszystko mikre, mdłe, bledziutkie. Opisy polowań polskich i sowieckich prominentów mają owszem trochę rumieńców, ale to już znamy z dawnych wieków, to wypuszczanie oswojonych zwierząt na rzeź. Zresztą generał tymi „polowaniami” się brzydził i mimo, że pułkownik go szczerze nie znosi, to nieświadomie maluje portret bardziej zacny niż zamierza.

Ciekawe są jego uwagi na temat własnych kolegów dzisiaj i chorobach jakie płyną z tajności, „tajność bowiem korumpuje jednostki, prowadzi do ukrywania zaniedbań i nadużyć, rodzi chęć pozaprawnych działań, służby specjalne igrają z naszym losem pod pretekstem, że nas chronią”. Dalej zauważa, że wielu z dawnych tajnych ekip „zadziwiająco łatwo przekonuje dzisiejsze władze o własnej niezbedności”.

Korespondują z tym ostrzeżenia naczelnika naszych więzień. Jest nim Paweł Moczydłowski, specjalista od systemów penitencjarnych, człowiek z nowych naukowych ekip, jak się wydaje jedna z najlepszych nominacji ostatnich lat, które obfitowały w złe nominacje. W wywiadzie prasowym ostrzega on przed obsuwaniem się Polski w kierunku totalitarnym. Ostrzega przed rozpaczą ludzi, ich gniewem i rozgoryczeniem. To banalne, bo liczni teraz ostrzegają, ale po raz pierwszy ktoś z naszej obecnej sceny politycznej góry wskazuje na niebezpieczne ruchy inspirowane przez górę. „Nowe tendencje ustawodawcze pchają nas w kierunku państwa represyjnego”.

Bardzo to są niekonwencjonalne słowa jak na funkcję tego pana, i bezkompromisowa postawa i poglądy człowieka właśnie od więzień, czyli od tej gnojnej góry zostawionej nam przez komunizm, gdzie nawet święty się zdemoralizuje. Będę uważnie patrzył w stronę naszych więzień, i ciekawe jak długo Moczydłowski zostanie ich naczelnikiem?

Jakby na potwierdzenie tych obaw, wybucha skandal z instrukcją Urzędu Ochrony Państwa nr 0015/92. Miał w ministerstwie powstać tajny zespół, który śledzi pewnych polityków, pewne partie i zbiera kompromitujące materiały. Coraz więcej naszych polityków twierdzi, że ma założone podłuchy, że przydarzają się im albo ich samochodom dziwne przygody. Zaś sąd w Brzegu skazuje na karę grzywny za „łżenie i poniżanie prezydenta RP”. A jak się ma ten wyrok do codziennego publicznego i bezkarnego łżenia go przez tabun naszych polityków?

W państwie demokratycznym zawsze trwa spór, jawny i ukryty, między koniecznością kontroli przez państwo i wiedzy na temat stanu rzeczy w kraju, a niebezpieczeństwem takiej kontroli i tajności. Jak połączyć silne państwo z demokracją? A nam szczególnie na początku jest potrzebne silne państwo. Tu nie ma łatwych rozstrzygnięć, szczególnie tam gdzie prawie nic jeszcze sprawnie nie funkcjonuje, a wszystkie tajne i jawne granice są ruchome. Więc chyba oni muszą robić swoje, oby z głową i sercem — a my musimy krzyczeć.

Trzy tomy dziennika Lechonia dopiero teraz mogły ukazać się w kraju. Nie jest to bolesne opóźnienie, bo te trzy grube tomy, to nie jest najlepszy „wiersz” tego słynnego przed wojną poety, a upływ czasu zawsze służy, zarówno dobrze przechowywanym winom, jak i dobrze składowanym dziennikom. Wyobrażam sobie, ilu ludzi ten dziennik rozdrażni, szczególnie naszych artystów, to całe tego pisarza duchowe rozjęczenie, czasami niepotrzebne gadulstwo i że próbuje intelektualnie podskoczyć wysoko, ale „myśli” nie chcą skakać — nie wybaczą mu, bo sami to wszystko mają w sobie, tylko chowają. Ja się początkowo też złościłem, a potem tom po tomie Lechoń stawał mi się coraz bliższy, i tak do parapetu okna w wieżowcu na Manhattanie z którego wyskoczył. Stałem kiedyś na dole i zdawało mi się, że widzę jak frunie, poeta, ptak, ale już bez piór. To samobójstwo uczyniło mu dobrą markę w duszach polskich czytelników, u nas uwielbia się jak artysta zginie tragicznie, najlepiej z bronią w rękę, ale i samobójstwo z tak wysokiego piętra, w sercu tak efektownego miasta, ma swoją wagę. W tym nieco zakalcowym cieście dziennika jest jednak wiele rodzynek, a na użytek tego tekstu wydłubałem jedną. Oczywiście, jak powie wielu, antypolską.

„Bardzo mi przykro, ale o tyle, o ile wyjątkowych Pola-

ków uważam za fenomeny ludzkości — o tyle głupota polska jest szczególnie irytująca i niewybaczalna. Jest w niej pretensja, patos, zadufanie w sobie — bardziej nieznośne niż prostactwo innych narodów”.

Można by z takich cytatów na przestrzeni wieków ułożyć wielką antologię, która będzie świadectwem, jak Polska drażni swoich największych, jak się na nią gniewają, od Stuleci, od Norwida do Miłosza. I jak zarazem znajdują pociechę w tych polskich bakaliach, których jest doprawdy wiele, i kiedy już człek popada w zupełne załamanie, zawsze coś słodkiego wpadnie w usta półotwarte z rozpacz.

Obserwuję polską ekipę filmową, jakże wyraźną na tle innego świata. Uderza mnie jak taka grupa różni się od podobnej grupy ludzi, skupionej wokół pracy, z któregośkolwiek z krajów cywilizacji skandynawskiej czy germańskiej. U naszych, żadnej dyscypliny, przemieszane hierarchie. Ktoś kto by wpadł nagle w środek dyskusji przed przystąpieniem do kręcenia zdjęć, nie będzie wiedział kto jest kierowcą samochodu, kto tylko ręką do trzymania mikrofonu, a kto reżyserem. Kierowca i ręką mądrzą się więcej od reżysera. Spóźniają się wszędzie, ale mimo to jakoś wszystko robią na czas. Od czasu do czasu mają napad musu zamroczenia się alkoholem, pałą na śmierć, gadają na śmierć, mają poczucie, że wszystko im się należy, są przekonani, że nic im się nie należy, żywią przekonanie, że są o wiele zdolniejsi od wszystkich, i że nic nie potrafią.

W jakimś sensie to jest potencjalnie bardzo zdolna społeczność, tylko jaki rozum stworzy na takiej hybrydzie warunki do rozwoju. A bez tych warunków ów twór zjada się nawzajem.

O religii bez namaszczenia

Chrześcijaństwo cywilizowane

Chrześcijaństwo stanowiło przez wiele wieków główny nurt kultury europejskiej. Kolejne rozdziały rozwoju naszej kultury — odrodzenie, oświecenie, pozytywizm — stopniowo zmieniały ten stan rzeczy. Na obszarze panowania despotyzmu komunistycznego stan ten zmieniał się wolniej niż w krajach demokracji liberalnej. Gdy jednak doszło do wyzwolenia krajów Europy Wschodniej z protektoratu „Wielkiego Brata” i obowiązującej doktryny marksizmu, kraje te bardzo szybko zaczęły różnicować się pod względem światopoglądowym. Uniformizm ideologiczny jest możliwy w wyniku presji totalizmu, albo też w procesie przeciwstawiania się tej presji. W miarę jak sytuacja się normalizuje i rośnie zakres demokracji, niemal automatycznie ujawnia się zróżnicowanie światopoglądowe i ideologiczne, które wcześniej było podskórne, lub skrzętnie skrywane. Polska, będąca od trzech i pół lat w trakcie zaprowadzania systemu demokratycznego, stała się także widownią dużych zmian światopoglądowych. Proces ten nie zaszedł może jeszcze tak daleko, jak w Europie Zachodniej, lecz jest, moim zdaniem, nieodwracalny. Nieuchronnie staniemy się krajem pluralistycznym, zróżnicowanym ideowo i światopoglądowo, w którym wszelkie koncepcje „państwa wyznaniowego” będą po prostu anachroniczne. Piszę to, będąc katolikiem i nie zamierzając porzucić postawy wyznawcy, ale zarazem starając się zrozumieć realnie istniejące tendencje rozwojowe.

W polskim świecie katolickim można zaobserwować dwie odmienne reakcje na zmiany zachodzące w naszym życiu myślowym i ideowym. Jedni katolicy próbują minimalizować straty Kościoła podnosząc jego zasady moralne do rangi praw

państwowych, co nieuchronnie wywołuje protesty i przynosi skutki odwrotne do zamierzonych. Zwłaszcza, że ta tendencja obrony Kościoła i katolicyzmu posiłkuje się motywacją narodową, a nieraz wręcz nacjonalistyczną, co budzi podejrzenie o dążenie do modelu Polaka-katolika i monopolu światopoglądowego. Druga tendencja występująca w świecie katolickim wyraża przekonanie, że należy po prostu uznawać obiektywnie istniejący fakt przemian świadomościowych w kraju i z tych pozycji ukazywać ogólnoludzki walor wartości ewangelicznych, do minimum sprowadzać postulaty prawne i nie posiłkować się „polityką chrześcijańską”, która raczej szkodzi niż pomaga religii.

W tych wewnętrznych zmaganiach w świecie katolickim próbują czynnie uczestniczyć także siły laickie, na czele z Adamem Michnikiem. Nie byłoby to złe, gdyby Michnik pisał książki typu swojej znanej publikacji „Kościół, lewica, dialog”, wydanej w Instytucie Literackim w 1976 roku. Teraz Michnik jest redaktorem największego dziennika w Polsce i na jego łamach prowadzi aktywną politykę „wyznaniową”, wspierając jednych katolików, krytykując innych i przemilczając tych, którzy są mu niewygodni. Katolicy chwaleni przez Michnika cieszą się, lecz inni wyrażają obawy, że prowadzi on wobec Kościoła politykę *divide et impera*. Nie sądzę, by takie były intencje Adama Michnika, lecz taki jest ich obiektywny odbiór, zwłaszcza w kołach hierarchii katolickiej. Oczywiście cieszy mnie bardzo, że redaktor *Gazety Wyborczej* ma swoich dobrych przyjaciół w świecie katolickim. Powstaje jednak pytanie, czy chce on tylko przyjaźni ze starymi znajomymi z tzw. etosu solidarnościowego, czy też dąży do rzeczywistego dialogu z Kościołem i w ogóle z autentycznymi siłami obozu katolickiego? Przyjaźnić można się z każdym, z kim ma się ochotę, lecz jeśli dąży się do wpływu na cywilizowany charakter katolicyzmu polskiego, to należałoby dyskutować nie tylko z przyjaciółmi i zamiast agresywności wobec innych odłamów świata katolickiego, podejmować także z nimi przyjazny dialog. Nie namawiam bynajmniej Adama Michnika, żeby pokochał Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe czy inne, jeszcze bardziej skrajne koła katolików zorientowanych nacjonalistycznie. I ja z nimi nie toczę dialogu, a z ZChN-u widuję tylko prof. Wiesława Chrzanowskiego, który jest z pewnością bardziej umiarkowany i roztropny niż większość aktywu tej partii z panem Łopuszańskim na czele.

Nie sądzę jednak, by całe duchowieństwo i większość

laikatu katolickiego w Polsce można zakwalifikować jako nacjonalistów. Idea „Polaka-katolika” jest w społeczeństwie pluralistycznym oczywistym anachronizmem. Jeśli nawet ktoś jej hołduje, to należy mu tłumaczyć zmianę okoliczności i uwarunkowań sprawiających, że pewne anachroniczne wyobrażenia przynoszą Kościołowi więcej szkody niż pożytku. Natomiast nie należy zdecydowanej większości świata katolickiego w Polsce po prostu spisywać na straty, zadowolając się przyjaźnią z tymi, z którymi łatwo można się porozumieć. Najważniejszy jest dialog z myślącymi inaczej. Jego zaniechanie mam najbardziej za złe Adamowi Michnikowi. W każdym niemal niedzielnym wydaniu jego *Gazety* ukazują się materiały katolickie, lecz boję się, że są one przeważnie adresowane do tych, którzy w zasadniczych sprawach zgadzają się z redaktorem Michnikiem. Potem można naturalnie łatwo oskarżać innych katolików o obskurantyzm, czy klerykalizm, zamiast podejmować z nimi dialog.

Nie ukrywam oczywiście, że Kościół katolicki w Polsce został w poważnej mierze zaskoczony pluralizmem światopoglądowym w kraju po upadku komunizmu. Nie zawsze też Kościół potrafi sobie radzić z tą nową sytuacją, która trwa przecież już ponad trzy i pół roku. Tym bardziej na czasie wydaje mi się uparty i konsekwentny dialog świeckich elit społeczeństwa polskiego z aktywnymi kołami katolickimi. Wszystkim nam chodzi, jak sądzę, o to samo, mianowicie o to, by Polska była krajem cywilizowanym i by nasze chrześcijaństwo było także jak najbardziej cywilizowane, to znaczy otwarte na myślących inaczej i na pluralistyczny charakter współczesnych społeczeństw europejskich.

Po okresie pięćdziesięciu lat, najpierw niewoli, a potem zależności od imperium komunistycznego, wielu ludziom, nie wyłączając duchowieństwa, bardzo trudno jest odnaleźć się w nowej sytuacji. Nie dotyczy to bynajmniej tylko Kościoła i katolików. Ileż jest w Polsce niechęci niemal do wszystkich naszych sąsiadów, pomieszanych kompleksów niższości i wyższości i ksenofobii wobec innych?

Na Kościół katolicki w Polsce trzeba umieć patrzeć w planie historycznym. Nie będę rozwijał tu wątku jego roli w okresie rozbiorów, bo dużo trzeba by o tym mówić. Ograniczając się tylko do naszych dziejów po II wojnie światowej, nie można zaprzeczyć, że od 1947 roku, po likwidacji PSL-u Mikołajczyka, aż do powstania opozycji demokratycznej w 1976 roku, Kościół był głównym bastionem oporu w kraju, choć z perspektywy emigracyjnej może to wyglądać inaczej.

Ale w takim razie, kto był główną siłą oporu? Czyje aresztowanie było takim ewenementem światowym, jak zamknięcie kardynała Wyszyńskiego w 1953 roku?

Jest natomiast prawdą, że po 1976 roku główną siłą oporu społecznego stała się opozycja demokratyczna różnych nurtów, a Kościołowi nie łatwo było z miejsca się z tym faktem pogodzić. Lata 1980 i 1981 są oczywiście najbardziej sporne, choć nie ulega wątpliwości, że w czasie strajków sierpniowych w Stoczni Gdańskiej księża odegrali znaczną rolę nie tylko jako spowiednicy ale także jako wspierający strajkujących. W 1981 roku Kościół wiedział wcześniej o groźbie stanu wojennego lecz jego ostrzeżeń nie brano poważnie, bo nastroje w „Solidarności” były rewolucyjne i każdy jej przywódca, który by się im przeciwstawił, zostałby zdmuchnięty ze sceny. W latach osiemdziesiątych świątynie stały się nie tylko przybytkami modlitwy, ale i akcji uświadamiającej i kulturalnej. Jeśli nawet główną zasługę w tej akcji przyznamy zwykłym księżom, to jednak bez mniej lub bardziej cichej zgody biskupów dzieć się to nie mogło. Były naturalnie sprawy nietypowe, czy wyjątkowe, jak przenoszenie księży, którzy narazili się władzy, czy nie dość szybka decyzja o wyjeździe niewątpliwie zagrożonego przez dłuższy czas ks. Jerzego Popiełuszki. Prestrogi Kościoła, aby nie doszło do rozlewu krwi, były w zasadzie słuszne, choć padło przy nich wiele niezręcznych i wręcz zabawnych słów.

Powstaje wreszcie pytanie, czy Kościół mógł być ze społeczeństwem i z opozycją, a zarazem pośredniczyć między rządem i opozycją. Powstaje też pytanie, czy pielgrzymki Jana Pawła II do kraju bardziej legitymizowały generała Jaruzelskiego, czy też umacniały opór społeczeństwa? Te pytania trzeba będzie przedyskutować i nie zamierzam na nie teraz arbitralnie odpowiadać. W moim przekonaniu bardzo wyraźnej odpowiedzi udzieliły wydarzenia roku 1988 i 1989, w których nastąpiło przejście władzy i stopniowe odzyskiwanie przez Polskę niepodległości. Wszystko to działo się przy czynnej obecności Kościoła instytucjonalnego. Już po strajkach 1988 roku pod patronatem Kościoła rozpoczęły się rozmowy, które doprowadziły do „okrągłego stołu”, przy tym stole zaś zasiedli dwaj księża, dzisiaj biskupi, i ich pomoc w osiągnięciu kompromisu nie podlega dyskusji. Kompromis ten zaś doprowadził z kolei do tzw. kontraktowych wyborów, które obóz opozycyjno-solidarnościowy wygrał i najpierw przejął część władzy, by po paru miesiącach wziąć całą władzę. Kościół brał w tym wszystkim udział. Z

pewnością ułatwił komunistom godne oddanie władzy. Ale przede wszystkim ułatwił opozycji odebranie tej władzy komunistom. I opozycja i Kościół wiedzieli, kto wygra wybory, nie wiedzieli tego komuniści, lecz przegrawszy zachowali się w sposób rozsądny oddając władzę, co wyzwoliło przecież w następnych miesiącach cały proces przemian w Europie środkowo-wschodniej i doprowadziło do zjednoczenia Niemiec.

Nie stawiam sobie w tym artykule zadania chwalenia Kościoła, ani idealizowania go, bo wtedy popełnił także pewne błędy i teraz nie jest wolny od błędów. Za największy błąd uważam rezygnację z posadzenia przy „okrągłym stole” autentycznych przedstawicieli orientacji chrześcijańsko-demokratycznej i ludowej, w wyniku czego powstała silna partia chrześcijańsko-narodowa, co w moich oczach jest perspektywicznie dla Kościoła niekorzystne. Nie zamierzam więc nikogo idealizować. Uważam jednak, że instytucja, która w przełomowym momencie w historii Polski odegrała tak znaczną rolę, zasługuje na to, by prowadzić z nią otwarty dialog, a nie nieświadomie wspierać w niej podziały i obniżać jej rangę w opinii publicznej w kraju i na świecie.

Upodobanie Polski do Europy zachodniej, którą nasze społeczeństwo jest zafascynowane, w jakiejś mierze umniejsza wpływy Kościoła. Nie o tyle jednak, by można mówić o zachwianiu jego pozycji religijnej. A wpływy polityczne w wolnym kraju nie są Kościołowi zasadniczo potrzebne, jeśli ta wolność będzie trwała. Kościół ma prawo zabiegać o sprawy etyczne wynikające z jego doktryny, natomiast powinien jak najmniej uciekać się do walki o symbole, nawet mu drogie. W całej zachodniej Europie powieszenie krzyża obok orła białego w parlamencie nie będzie dobrze przyjęte. Tak samo wpisywanie do ustaw państwowych i do konstytucji postulatu zachowania „wartości chrześcijańskich” będzie uważane za dążenie do państwa wyznaniowego. A do tego przecież Kościół poważnie nie dąży. To raczej politycy o orientacji narodowej lub nacjonalistycznej wykazują nadgorliwość, by zaskarbić sobie względy Kościoła w przyszłych wyborach. Tylko niestety w ten sposób środowiska narodowe podrzucają Kościołowi skórkę banana, o którą można się łatwo pośliznąć. Chrześcijaństwo cywilizowane wsłuchuje się przede wszystkim w głos sumienia, a dystansuje się od podejrzanych podszeptów politycznych.

Ma rację Adam Michnik, że Kościół katolicki jest w Polsce poważnym problemem, lecz dopiero ostatnio zaczyna

mówić o tym problemie w sposób adekwatny do sytuacji. W *Gazecie Wyborczej* z 27-28 marca 1993 w tasimcowym tekście pod równie długim tytułem „Kościół-prawica-monolog albo ludzie podwójnego wyzwania” Michnik porzucił wreszcie połajanki i monolog i skłania się do podjęcia podwójnego wyzwania. I pisze całkiem rozumnie:

„MAM ŚWIADOMOŚĆ PORAŻKI. ZIMNA WOJNA RELIGIJNA WYBUCHŁA.

W takiej sytuacji pacyfista oskarżony jest o zdradę przez obie walczące strony i staje wobec podwójnego wyzwania. Nie chcę mówić językiem integrystycznej krucjaty i nie chcę powracać do stereotypów antykościelnego obskurantyzmu lewicy. Ów człowiek «podwójnego wyzwania», katolik, agnostyk czy laicki racjonalista wie, że rezultatem tej wojny może być tylko klęska. Tu nie zwyciężą wartości ewangelicznej miłości, lecz integrystyczny fanatyzm, doktrynerska bezdusność, zapiekła nietolerancja. Tu nie zwycięży tolerancyjny racjonalizm, duch swobody i pluralistycznej demokracji, lecz nietolerancyjny, fanatyczny nihilizm, wyszydający etyczne zasady, chciwy władzy i dóbr materialnych.

Bowiem nie jest to spór filozofów. Logika wojny religijnej jest zawsze taka sama: tworzy obraz wroga, odwołując się do motłochu. Więcej: tworzy ten motłoch spośród swoich zwolenników, wyzwalając instynkt stadny, przemawiając językiem prostackiej demagogii do ludzi stłoczonych na mityngach. Zanika kultura dialogu, spotkania, kompromisu; zwycięża kultura monologu, wrzasku, destrukcji. Zwycięża kultura tłoku.

W zatłoczonym tramwaju łatwo ludziom podsuwać najprostsze recepty: «Wyrzucić Żydów i masonów», albo «Wyrzucić księży i siostry zakonne!» — wtedy będzie luźniej.

Doceniam nową tonację w ostatniej publikacji „katolickiej” Adama Michnika, lecz nie mogę nie powiedzieć, że on sam przyczynił się do „zimnej wojny religijnej”. Także w swej ostatniej publikacji przeciwstawia on Jana Pawła II biskupom polskim, wykazując naiwność w rozumieniu realiów kościelnych. Czyżby Michnik myślał rzeczywiście, że w Kościele polskim dzieje się tak wiele bez wiedzy i woli polskiego papieża? Czy Michnik przypuszcza, że nazywając Wyszyńskiego mieszaniną świętości i anachronizmu, nie obraża także papieża, który nazwał go Prymasem Tysiąclecia? Z pewnością każdego człowieka starszego od nas możemy nazwać anachronicznym. Do pewnego stopnia był nim Piłsudski, zapa-

trzony we wzory Powstania Styczniowego i nie rozumiejący, w przeciwieństwie do Sikorskiego i Korfanteo, znaczenia wielkich zagonów broni pancernej. Wszystko to jednak nie zmienia faktu, że Piłsudski był największym człowiekiem w Polsce w okresie międzywojennym, a Wyszyński po II wojnie światowej. W ludziach są bowiem pomieszane przedziwne sprzeczności, lecz liczą się ich obiektywne dokonania. Jan Paweł II w czasie pobytu w Polsce w 1983 roku podszedł do mnie w czasie kolacji u prymasa, objął mnie, dziękując za wydaną wcześniej biografię Wyszyńskiego. Michnik wielbi Jana Pawła II, ale nie omija żadnej okazji, by nazwać tę książkę „pobożnymi czytankami”. I taka jest właśnie różnica między intelektualistą Karolem Wojtyłą a nerwowym publicystą Adamem Michnikiem, piszącym łatwo i błyskotliwie o zbyt wielu sprawach naraz, a zarazem załatwiających ciągle jakieś stare porachunki.

Cenię jednak wysoko nową tonację ostatniej wypowiedzi Adama Michnika. Być może jest na drodze do zrozumienia, że prawdziwy dialog kół liberalno-racjonalistycznych powinien toczyć się nie tylko z peryferyjnymi, choć może najmądrzejszymi kołami obozu katolickiego, lecz przede wszystkim z jego siłami głównymi, które, czy się to komu podoba, czy nie podoba, stanowi hierarchia Kościoła katolickiego.

Nie należy też przesadzać z tezą, że w Polsce toczy się „zimna wojna religijna”. Toczy się natomiast ostry spór między ograniczoną ilościowo grupą neoracjonalistów, a kompetentnymi czynnikami kościelnymi, nieco mniej kompetentnymi niektórymi publicystami katolickimi i interesownymi politykami orientacji narodowej, którzy chcą na tym sporze zbić kapitał w postaci poparcia wyborczego Kościoła. Wielkie masy ludzi wierzących chodzą do kościołów i starają się w miarę swych możliwości żyć po chrześcijańsku. Poza tym muszą ciężko pracować, nieraz ponad siły, by utrzymać swoje rodziny i starać się być pozytywnymi lub twórczymi w społeczeństwie. Naród polski nie jest podzielony wojną religijną. Największe podziały wywołuje naturalnie sprawa aborcji, ale przecież nie jest to tylko sprawa polska, lecz sprawa typowa dla większości tradycyjnie chrześcijańskich społeczeństw europejskich. Można by napisać całą monografię sporów parlamentarnych i pozaparlamentarnych w sprawie aborcji w różnych krajach. W katolickich Włoszech doszło nawet do referendum, które Kościół przegrał. Kościół ma jednak rację, że o ile referenda są stosowane w sprawach politycznych, czy konstytucyjnych, to w sprawach prawdy moralnej nie stano-

wią najlepszego rozwiązania. Poza tym sprawa aborcji stanowi nie tylko problem Kościoła katolickiego, lecz także prawosławia i wielu innych wyznań, także niechrześcijańskich. Nie ma więc co robić z tego „polskiej wojny religijnej”, bo chodzi tu o problem równie trudny, co uniwersalny. Rozwiązuje go tylko wiara lub jej brak. Można natomiast wyobrazić sobie poważną debatę komisji teologów i fizjologów w Watykanie na temat tego, co stanowi naturalne, a co sprzeczne z naturą zapobieganie ciąży. Niezwykle szybki rozwój demograficzny ludzkości z jednej strony, a dewastacja naszego globu i zanieczyszczenia środowiska naturalnego zmusi nieuchronnie teologów i moralistów do znalezienia jakiegoś niesprzecznego z naturą regulowania rozrostu ludności. Jest to obiektywnie istniejący problem, ale robienie z niego „polskiej wojny religijnej”, organizowanie setek tysięcy podpisów i planowanie nowej organizacji społecznej na tej bazie jest pomyłką moralną i polityczną. I niezależnie od tego, kto jest jej inicjatorem, będzie zapisana na konto kół neoracjonalistycznych. Ich rywalizacja z Kościołem o rząd dusz w Polsce jest zbyt ewidentna, by im tego nie przypisano. Trzeba się w końcu zdecydować, czy chce się prowadzić kulturalny dialog w społeczeństwie pluralistycznym, czy też dąży się do wojny religijnej. Michnik uważa za swoją przegraną, że do niej doszło. I ma rację, bo w Polsce wojna ta jest o wiele bardziej zacięta i gorsząca niż była w innych krajach europejskich. U nas chodzi bowiem zarazem o rząd dusz w społeczeństwie, a do sprostania Kościołowi na tak wysokiej płaszczyźnie trzeba tworzyć kulturę, co czynili m.in. Ossowsky, Kotarbiński, Edward Lipiński, a nie wikłać się w nieustanne polemiki.

Nikt nie myśli o wyparciu nurtu kultury laickiej z historii Polski, ale realnie dominuje nurt kultury katolickiej, a jest nią także Kościół z dobrymi, chrześcijańskimi nurtami swojej tysiącletniej tradycji w Polsce. Nie jest też prawdą, że „zwycięstwo nad komunizmem Episkopat uznał za własne zwycięstwo”. Było to zwycięstwo społeczeństwa i „Solidarności”. Kościół natomiast przyczynił się do tego, że było to zwycięstwo odniesione bez przelewu krwi, środkami pokojowymi, co przyniosło nam autorytet w całej cywilizowanej Europie. Skoro to nie jest chyba sporne, skończę mądrymi słowami samego Michnika:

„Wciąż wierzę, że idea spotkania chrześcijanina i laickiego racjonalisty wokół wartości demokratycznych warta jest troski. Także w chwili, gdy coraz mniej ludzi po obu stro-

nach ma ochotę na dialog. Może wbrew rozsądkowi — wciąż wierzę, że będą się oni spotykać i rozmawiać. Wierzę bowiem, że takie dobro ma siłę magnetyczną. Na progu świątyni... na stopniach tramwaju...”

Moim zdaniem — także w normalnych domach i mieszkaniach i w średniej wielkości salach konferencyjnych, a nie na mityngach.

Andrzej MICEWSKI

Casus Drewermanna z daleka

Z daleka, bo stosunkowo niewiele wiem o tym kontrowersyjnym niemieckim księdzu, teologu i psychoanalityku. I szczerze mówiąc, nie mam ochoty wiedzieć o nim wiele więcej; piszę tylko dlatego, że redakcja uznała, że potrzebna jest jakaś relacja na jego temat na łamach *Kultury*. Znam go prawie wyłącznie z artykułów o nim w prasie niemieckiej, francuskiej i ostatnio również polskiej (w *Tygodniku Powszechnym* i w *Polityce*), w tym z dwóch głośnych wywiadów w hamburskim *Spiegeln* i paryskim *Le Monde*; ciekawa rzecz, że nie widziałem nic o nim w prasie angielskiej. Ks. Eugen Drewermann stał się głośny z powodu konfliktu doktrynalnego z arcybiskupem diecezji Paderborn, Degenhardtem. Pozbawiony kolejno swego stanowiska w seminarium uniwersyteckim, prawa wygłaszania kazań, a następnie i wykonywania jakichkolwiek czynności kapłańskich, ks. Drewermann nadal co sobotę gromadzi tłumy na dziedzińcu swego dawnego kościoła, jeździ po kraju z wykładami, udziela wywiadów radiowych i telewizyjnych i pisze jedną po drugiej książkę, które rozchodzą się w dziesiątkach i setkach tysięcy egzemplarzy. Napisał ich już z górą trzydzieści. Jest fetowany jako „nowy Luter” i jest oczywiście ustawiczną drzazgą w żywym ciele Kościoła katolickiego w Niemczech. Sam uległem tej fascynacji o tyle, że poszedłem do czytelni British Library i obłożyłem się kilku pękatymi tomami ks. Drewermanna, przeważnie w języku niemieckim (jedna książka po angielsku, ale wydana w Ameryce). Ks. Drewermann jest niesamowicie płodnym pisarzem i onieśmiela swą ogromną erudycją. Dwu-

tomowy komentarz do ewangelii św. Marka liczy w sumie 1700 stron gęstego druku (sama ewangelia zmieściłaby się na dwudziestu), z czego blisko połowę stanowią długie, czasem całostronicowe przypisy. Jego bodaj główne dzieło, trzytomowa *Psychoanalyse und Moralthologie* liczy w sumie 800 stron. Ostatnio burza dokoła Drewermanna przeniosła się do Francji, gdzie wydawnictwo oo. Dominikanów Editions du Cerf zakupiło prawa do przekładu najnowszej jego książki (900 stron) pt. *Die Kleriker* (Klerycy). To spotkało się z ostrą reakcją biskupów francuskich i w rezultacie dominikanie zrezygnowali z publikacji, odstępując książkę świeckiemu wydawnictwu, które niewątpliwie zrobi na tym dobry interes.

Czemu ks. Drewermann zawdzięcza swą ogromną popularność? Na pewno swemu talentowi oratorskiemu i pisarskiemu, wielkiej erudycji i pracowitości (te tysiące zapisanych stron), a także pewnemu ascetyzmowi, bo żyje podobno bardzo skromnie, nie mając w domu nawet telefonu, telewizji czy lodówki. Swoim radykalizmem powoduje sensację, a sensacja jest zawsze dobrą reklamą. Umie przy tym posługiwać się środkami masowego przekazu. Jest chyba autentycznie religijny, choć na swój własny sposób. Na ścianie jego pracowni widnieje duży rozmiarów krzyż z wizerunkiem Ukrzyżowanego. Jezus niewątpliwie zajmuje centralne miejsce w jego myśli i życiu. Angielskojęzyczny tom, który miałem w rękę, medytacje na okres adwentu i Bożego Narodzenia, tchnie duchem ciepłej, prawie tradycyjnej religijności.

Mniej jestem zachwycony jego teologią, która jest całkowicie podporządkowana psychoanalizie. Na samym wstępie jego głównego dzieła na ten temat spotykamy się ze zdumiewającym twierdzeniem, że historyczny rozwój chrześcijaństwa od samego początku, od II wieku, został skrzywiony, gdyż chrześcijaństwo, zwalczając pogańskie mity, zignorowało rolę podświadomości w ludzkiej psychice, poddało ją greckiemu racjonalizmowi kosztem uczucia (w tym jednym punkcie ma może trochę racji) i panowaniu tyrańskiej moralności kosztem wiary. A grzech według Drewermanna jest tylko wtórnym wynikiem tragizmu ludzkiego istnienia, egzystencjalnego lęku (*Angst*), który można przewyciężyć tylko uświadamiając sobie tragizm istnienia — i to uświadomienie dopiero doprowadza do wiary. W ten sposób psychoanaliza (głównie freudowska, choć bohaterami autora są również Jung i Kierkegaard i Unamuno) staje się panaceum, które jest w stanie rozwiązać wszystkie problemy zła na świecie, łącznie z zanieczyszczeniem środowiska i wojną (na te tematy Drewermann

ma dwie osobne książki i trzytomowe dzieło pt. „Struktury zła”). Rażący jest tu brak naukowego rygoru, krytycznej analizy własnej myśli i zignorowanie możliwości alternatywnych rozwiązań. Cała erudycja Drewermanna zdaje się służyć tylko mnożeniu argumentów na poparcie jego własnych tez. Mnożość przypisów i cytowanej literatury robi wrażenie typowej niemieckiej *Gründlichkeit*, ale jest to chyba mylne wrażenie.

To epatowanie erudycją jest szczególnie widoczne w jego słynnym wywiadzie na łamach *Spiegla* w numerze gwiazdkowym 1991 r., w którym zaprzeczył wszystkim podstawowym dogmatom chrześcijaństwa. Narodzenie z Dziewicy, Odkupienie i Zmartwychwstanie, a także Eucharystia zostały sprowadzone do roli mitów, które mają swoje pierwowzory w mitologiach przed-chrześcijańskich i poza-chrześcijańskich, egipskich i indyjskich. Biskupi niemieccy i cała tradycja chrześcijańska zostali oskarżeni o hołdowanie przesadom i nie obyło się przy tym bez pewnej wulgaryzacji dogmatów. Jest to zadziwiające, jako że Drewermann rozumie i docenia rolę pewnych obrazów jako religijnych symboli i rolę mitu jako niezbywalnego sposobu wyrażania tego, co w języku dyskursywnym jest niewyraźne. Sęk w tym, że zwulgaryzowany symbol przestaje być symbolem, zwulgaryzowany mit gubi swą niewyraźną religijną treść i jedno i drugie staje się faktologicznym nonsensem. Nie dziw, że Drewermann nie zdołał już swych rozmówców ze *Spiegla* przekonać, że istnieje inna prawda niż goły fizyczny czy historyczny fakt. Drewermann był w tym wywiadzie wyjątkowo brutalny. *Spiegel* ogłosił tę rozmowę pod tytułem „Jesus wollte diese Kirche nicht” (Jezus tego Kościoła nie chciał). Wydaje się, że Drewermann już wtedy postanowił spalić za sobą mosty. Do tej pory arcybiskup Degenhardt tolerował swego zbuntowanego księdza aż do przesady; potem sytuacja Drewermanna w Kościele katolickim była już nie do utrzymania i nade wszystko nie miała sensu. *Suspensa a divinis* przyszła dopiero w trzy miesiące później, w marcu 1992. (NB. w sprawie wycofania przez Rzym mandatu nauczania Küngowi, w grudniu 1979 roku, byłem wprost przeciwnego zdania i dałem temu wyraz na łamach londyńskiego *The Tablet*. Ks. Hans Küng był już wtedy jednym z najwybitniejszych katolickich teologów. Nie sądzę, by można było coś podobnego powiedzieć o Drewermannie. Jaki jest jego status jako teologa w kołach fachowych, tego nie wiem.)

Przypuszczam, że w oczach swoich wielbicieli Drewermann jest wielkim reformatorem. Na pewno jest nim w

swoim własnym przekonaniu; porównanie z Marcinem Lutrem zdaje się mu bardzo odpowiadać. Dla mnie jest postacią raczej tragiczną. Jest chyba człowiekiem dobrej woli. Został kiedyś księdzem w tym samym Kościele, który teraz tak radykalnie i tak naiwnie zwalcza; wtedy jeszcze nie był zafascynowany psychoanalizą. Jakkolwiek ostro zwalcza celibat księży (to między innymi ma być tematem jego ostatniej książki), sam jest nadal nieżonaty. Chodzi w sutannie i nadal chce służyć ludziom swoją psychoterapią i tym, co mu pozostało z jego chrześcijaństwa. Częścią jego tragedii jest chyba jego wielkie powodzenie, które sprawiło, że wierzył w autentyczność swojej misji. Ale powodzenie ma również Madonna czy inny Michael Jackson. I amerykańscy fundamentaliści telewizyjni. Do tego nie należy przywiązywać większej wagi. Innymi słowy nie sądzę, by Drewermann okazał się „nowym Lutrem” i zagrożeniem dla Kościoła katolickiego w Niemczech.

Niemniej cały *casus Drewermanna* jest przejawem (jednym z przejawów) fermentu, który przebiega dzisiaj przez cały Kościół — nie tylko Kościół katolicki, ale przez całe współczesne chrześcijaństwo. Można by ten ferment określić jako poszukiwanie i afirmację *autentyczności* wiary w kontekście zastanych form historycznego depozytu wiary. Autentyczność wiary wymaga ustawicznego przystosowania czyli reinterpretacji tych zastanych form w kategoriach myśli współczesnego człowieka. Papież Jan XXIII nazwał go *aggiornamento*. I taki jest chyba sens Chrystusowej przypowieści o potrzebie nowych bukłaków dla nowego wina. W braku odpowiedniej re-interpretacji dogmatu stary bukłak zastanej formy doktrynalnej pęka i dobre wino wiary, rozlane, zamienia się w błoto. Coś takiego, myślę, stało się z wiarą księdza Drewermanna. Może to być nie tyle jego wina, co odziedziczonych przez niego starych bukłaków; nie dziw, że rozdrapane na części wyglądają one głupio i wulgarnie.

W tej sytuacji paryscy dominikanie z Editions du Cerf, planując wydanie francuskie przekładu ostatniej książki Drewermanna, mogli mieć dwa cele na oku: uratować coś z rozedartego bukłaka ks. Drewermanna i, prezentując go z odpowiednim komentarzem, przywrócić go w pewnej mierze kościelnej ortodoksji — albo po prostu włączyć dzieło Drewermanna do swej własnej, prowadzonej od lat, kampanii na rzecz kościelnego *aggiornamento*. Oba te cele ostatecznie nie wykluczają się wzajemnie, ale z oświadczenia dyrekcji wydawnictwa, wyjaśniającego powody wycofania się z zamiaru wydania książki, wynikałoby, że o ten drugi cel szczególnie

chodziło. Powodem wycofania się były naciski ze strony episkopatu Francji, z arcybiskupem Paryża kard. Lustigerem na czele. Temat książki „Klerycy” — jak się można domyślać, gruntowna i złośliwa krytyka roli stanu duchownego w strukturze (zwłaszcza we władzach) historycznego Kościoła — musiał dla hierarchii francuskiej, jak każdej innej, być szczególnie bolesny. Czy próba włączenia tego tematu — i to pod firmą ks. Drewermanna — do ogólnokościelnej debaty nad *aggiornamento* była mądrą decyzją, jest kwestią do dyskusji. Natomiast nie mam wątpliwości, że zakaz publikacji był niemądrą decyzją. Nie tylko dlatego, że episkopat naraził się na zarzut stosowania cenzury — i to bezskutecznej cenzury, bo już przecież było wiadomo, że książka może się ukazać w świeckim wydawnictwie. Głównie dlatego, że swobodna wewnątrzkościelna debata na wszelkie tematy jest warunkiem zarówno wewnętrznego zdrowia kościelnej wspólnoty jak i autorytetu Kościoła na zewnątrz. Wierzący chrześcijanin powinien mieć przekonanie, że jego prawda potrafi się ostać na każdym forum, choćby najbardziej krytycznym, a nie-chrześcijanin, podejmując z nim debatę, powinien mieć poczucie, że ma do czynienia z autentycznym wewnętrznym przekonaniem, a nie z bezwolnie przyjętą katechizmową formułą. Ceną tak pojętej autentyczności wiary i swobodnej wewnątrzkościelnej debaty jest pewien nieunikniony teologiczny pluralizm, ale jest to cena warta zapłacenia. Ta cena ponadto może się okazać dodatkowym zyskiem, przynosząc różne naświetlenia tej samej prawdy, a tym samym jej pogłębienie. W epoce ekumenicznego dialogu i kontaktów z innymi religiami jesteśmy bardziej niż dawniej świadomi, że każde pojedyncze sformułowanie religijnej prawdy jest z natury ludzkiego języka ułomne i stanowi tylko przybliżenie do nieskończonego bogactwa rzeczywistości Boga. Natomiast obawa przed debatą i wszelkim pluralizmem łatwo się przeradza w bezmyślny, dyktowany z góry fundamentalizm. Jest to poważne niebezpieczeństwo, w dzisiejszym szybko zmieniającym się świecie szczególnie aktualne. Z jednej strony swoisty katolicki fundamentalizm podsyca inne kontrowersyjne fundamentalizmy (*vide* sekciarski fundamentalizm amerykański), a z drugiej strony rodzi burzycielski fundamentalizm *à rebours* w stylu ks. Drewermanna. Uderzające jest, jak bardzo pewny siebie jest Drewermann, jak pewny jest wyłączenia swoich racji, bez żadnych wątpliwości i odchyień. Wyobrażam sobie, że jako młody ksiądz, wkrótce po seminarium, głosił fundamentalne katechizmowe prawdy z takim

samym przekonaniem, z jakim teraz głosi ich zaprzeczenie. (Myślę, że we wspomnianej angielskojęzycznej książce Drewermanna znalazłem dowody na to.) Oczywiście wiara każdego z nas ulega z biegiem lat pewnej ewolucji. Jeszcze jedno źródło wewnątrzkościelnego pluralizmu. Każda ankieta na tematy doktrynalne przynosi mnóstwo dowodów, jak bardzo realny jest ten pluralizm, jak ludzie borykają się ze swymi przekonaniem, jak z nimi walczą i jak je hołubią. Jest to zjawisko blisko spokrewnione z ekumenizmem i problemem tzw. inkulturacji. Myślę, że zamiast go zwalczać, powinniśmy się nauczyć ten pluralizm, podobnie jak ekumenizm, twórczo wyzyskać. Przy wszystkim innym jest to najlepszy sposób sprowadzenia teologicznych sensacji do właściwych proporcji.

Antoni POSPIESZALSKI

95-lecie Patriarchy Mstysława

Zwierzchnik odrodzonego Ukraińskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego Patriarcha Mstysław obchodził 10 kwietnia br. jubileusz 95-lecia urodzin. Sędziwy jubilat posiada bogaty życiorys. Urodził się w 1898 roku w sercu Ukrainy, Połtawie, jako Stepan Skrypyk w patriotycznej rodzinie. Jego wujkiem był przyszły przywódca niepodległej Ukrainy, sprzymierzeniec Józefa Piłsudskiego, ataman Szymon Petlura. Stepan Skrypyk wstąpił w 1918 roku do powstającego wojska ukraińskiego. Walczył z wojskami bolszewickimi i został ranny pod Korosteniem.

Po przegranej wojnie w randze chorążego Stepan Skrypyk znalazł się na terytorium polskim i jak wszyscy żołnierze ukraińscy — po Traktacie Ryskim — został internowany. Po zwolnieniu i studiach osiadł na Wołyniu i tam rozwinął działalność polityczną w ukraińskim Zjednoczeniu Wołyńskim — umiarkowanej partii politycznej, dążącej do porozumienia z władzami polskimi na bazie autonomii. Jako poseł do Sejmu RP współpracował z ówczesnym pro-ukraińsko nastawionym wodzą wołyńskim Józefem Skrzypcem, ubiegając się przede wszystkim o uznanie ukraińskiego Kościoła prawosławnego.

Po pakcie niemiecko-sowieckim i wkroczeniu Armii Czerwonej na Wołyń Skrypnik z dwojgiem dzieci uciekł do Chełma Lubelskiego (jego żonę, przebywającą na początku wojny we Lwowie, zamordowało NKWD). Zaraz po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej Skrypnik powrócił w okolice wołyńskie i początkowo usiłował organizować niezależną prasę, stając na czele wydawnictwa „Wołyń” w Równem. Zniechęcony cenzurą niemiecką, w 1942 roku porzucił działalność polityczną i poświęcił się pracy w Kościele prawosławnym. W tym celu przeniósł się do Kijowa, gdzie w 1942 roku został na tajnym Soborze wyświęcony na biskupa perejaślawskiego. Niemieckie władze okupacyjne unieważniły wybór, a biskupa Mstysława-Skrypnika aresztowały.

Po wyjściu z więzienia zdążył przed inwazją bolszewicką wyemigrować przez amerykańską zonę okupacyjną najpierw do Kanady, a następnie do Stanów Zjednoczonych, gdzie zostaje wybrany metropolitą ukraińskiego Kościoła Prawosławnego. W Bawn Brooke niedaleko New Yorku zorganizował nowoczesny ośrodek ukraińskiego prawosławia za granicą. Stąd też przygotowuje jako swojego następcę Wołyniaka, Didowycza, wyświęconego na biskupa Wołodymyra. Niestety Wołodymyr Didowycz wkrótce umiera na raka.

Ukoronowaniem cerkiewnej działalności Mstysława staje się odrodzenie Ukraińskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego w odrodzonym państwie ukraińskim. Biskupi, którzy oderwali się od zwierzchności Patriarchatu Moskiewskiego, zwołali w dniach 5 i 6 czerwca 1990 r., jeszcze przed ogłoszeniem niepodległości, Wszzechukraiński Sobór Prawosławny i obrali Mstysława Patriarchą. Odbudowa struktur życia cerkiewnego napotyka jednak na opór Moskwy i wiernych jej biskupów i duchownych. Na Ziemi Halickiej wybucha konflikt pomiędzy greko-katolikami i prawosławnymi. Wnet też sędziwy Patriarcha staje przed dylematem uznania lub odrzucenia akcesu skłóconego z Moskwą dotychczasowego przeciwnika, metropolity kijowskiego Filareta. Mstysław daje najpierw zgodę na pojednanie, ale wkrótce potem — odradza kompromis. Mimo to Filaret a wraz z nim większość biskupów przesłała rozniewanemu zwierzchnikowi w dzień jego urodzin czołobitne posłanie wierności z prośbą o modły w imię jedności ukraińskiej Cerkwi.

B. O.

Sąsiedzi

Ukraina po Vancouverze

KONIEC ZŁUDZEŃ

Amerykańsko-rosyjski mariaż w kanadyjskim Vancouverze położył kres ukraińskim złudzeniom co do pomocy Stanów Zjednoczonych dla niepodległości Kijowa. Zniknęły miraż, zapowiadające przyście po Bushu — który podczas wizyty w Kijowie odradzał Ukraincom niezawisłość państwową — nowej ery sprawiedliwego Clintona. Bush prawił swe antywołnościowe, promoskiewskie morały co prawda w okresie, kiedy imperium już dogorywało, ale jeszcze formalnie istniało. Obecna opcja Clintona jest groźniejsza zarówno dla Ukrainy jak i dla innych państw powstałych na gruzach ZSSR. Może się też stać pewnego dnia niebezpieczna dla pasma państw leżących między Rosją a Niemcami.

W każdym razie dla Ukrainy powstała nagle nowa sytuacja, która zmusza rząd w Kijowie do zastanowienia się, w jaki sposób uniknąć losu ofiary nowej Jałty. Paradoks zarysowującego się nowego ładu polega na tym, że po załamaniu się ostatniego imperium kolonialnego Stany Zjednoczone, jako jedyne supermocarstwo pozostałe z dawnego układu sił międzynarodowych, postanowiły aktywnie działać na rzecz odbudowy potencjału bogatej i wciąż jeszcze mocnej Rosji. Ignorując interesy gospodarcze osłabionych byłych kolonii i protektoratów, nowa amerykańska polityka wschodnia straszy widmem starej polityki monachijskiej ówczesnych mocarstw Europy Zachodniej.

Za Ameryką idą sznurem państwa europejskie. Nawet Japonia podporządkowała się namowom Białego Domu i odkła-

dając na później swoje żądania terytorialne wobec okupowanych przez Rosjan Wysp Kurylskich, przyłączyła się do koalicji prorosyjskiej. Akcja ta nie jest jakimś przemyślanym i dalekowszocnym planem. Jest raczej typową reakcją państw i polityków pozbawionych jakiegokolwiek koncepcji odnośnie przyszłości państw Europy Wschodniej i zagwarantowania ich niezawisłości wobec groźby odrodzenia zaborczej polityki Rosji.

Podstawowym błędem aliansu Zachodu i Japonii z reżymem Borysa Jelcyna nie jest sama akcja pomocy, lecz owczy pęd tego kierunku, pozbawiony wszelkich ubezpieczeń i alternatyw. Wyziera zeń katastrofalna atrofia zdolności współczesnej elity rządzącej na Zachodzie do wypełnienia *vacuum* powstałego po upadku imperium sowieckiego i rosyjsko-sowieckiej wersji komunizmu konkretną treścią programowo-polityczną, zdatną do częściowego przynajmniej zażegnania trwającej już dość długo epoki zimnej wojny instytucji i mechanizmów politycznych.

Przykładem tej bezradności jest tragedia Bośni i Hercegowiny. Obecnie na klęskę Zachodu w tym regionie Europy nasunęła się dodatkowo kapitulacja wobec Rosji, bojkotującej w Radzie Bezpieczeństwa ONZ uchwalenie zapowiedzianych sankcji wobec Serbii. Można sobie łatwo wyobrazić co by było, gdyby Rosja odnowiła politykę imperialną wobec swych sąsiadów. Nic. Zapytany o to minister spraw zagranicznych Klaus Kinkel oświadczył dziennikarzom zagranicznym, że gdyby doszło — nie daj Bóg — do nowych aneksji rosyjskich, musielibyśmy się modlić o pokój.

Przypomnijmy, że w obliczu rosyjskiej wojny na górze większość przywódców nierosyjskich państw Wspólnoty — w tym również kierownictwo Ukrainy i politycy opozycyjni — udzieliła poparcia Jelcynowi. Nie mieli zresztą innego wyboru. Alternatywą do prezydenta-reformatora, który niestety wielokrotnie dał wyraz swej porywczoci, nierównego charakteru, nagłych nieomal dyktatorskich decyzji, była postać wiceprezydenta, generała wojny w Afganistanie, Ruczoja. Ma on na Ukrainie niesławne imię, gdyż niejednokrotnie żądał zmiany granic i odgrażał się nawet, że w razie czego gotów jest sąsiednie państwo obrócić w perzynę...

Liczone, że zarówno rząd Jelcyna jak i prezydent Clinton oraz przywódcy państw europejskich przyjmą te symptomy solidarności z uznaniem i odpowiednio się ustosunkują również do narodowych i państwowych interesów tych państw. Spodziewano się też, że i sam Borys Jelcyn zachowa się po dżentelmeńsku.

Oczekiwania te zawiodły. I Zachód i prezydent Rosji w żadnej mierze nie uhonorowali tych, jak by nie było, niezwykle symptomów. Zamiast wprowadzenia czynników harmonii i gwarancji bezpieczeństwa w zamian za pomoc dla Rosji — wrócili od dawnej konfiguracji dwóch partnerów i podniesienia Rosji do pozycji znanej z orwellowskiej myśli o równości zwierząt.

Nie można jednak pominąć milczeniem błędów polityków nierosyjskich państw po-sowieckiej Wspólnoty. Zawiodła też polityczna strategia mężów stanu w krajach nadbałtyckich. Oni także wystawili reżymowi Jelcyna *carte blanche* i rykoszetem otrzymali w Vancouverze od prezydenta Rosji reakcję w postaci gróźb z powodu gwałcenia praw mniejszości rosyjskiej. Clinton — jak pisze słusznie szwajcarska *Neue Zuercher Zeitung* w komentarzu z Waszyngtonu — powinien był w tym momencie zaprotestować. Nie uczynił tego i redaktor cytowanego dziennika przypuszcza, że prezydent Stanów Zjednoczonych już się pogodził z żądaniem Jelcyna podporządkowania byłych republik sowieckich Moskwie — co ONZ nazywa „doktryną Jelcyna”.

Moskiewska dyplomacja rozegrała partię genialnie. Wciągnęła Amerykę w bezwarunkowe partnerstwo, zapewniła Rosji nowy pakiet wszechstronnej pomocy, zdobyła — wprawdzie nieformalny, ale praktycznie nieograniczony — mandat do interwencji w sprawy po-sowieckich państw nierosyjskich włącznie z krajami nadbałtyckimi. Doświadczeni gracze dawnego imperium położyli na łopatki niedoświadczonego prezydenta. Vancouver był premierą Clintona na międzynarodowej szachownicy i należy się obawiać, że ta gra będzie konsekwentnie kontynuowana.

Na skutki Vancouveru w odniesieniu do Ukrainy nie trzeba było długo czekać. Po raz pierwszy chyba w historii Kijów znalazł się pod podwójnym obstrzałem politycznym Moskwy i Waszyngtonu. Presja jest niemal identyczna. Chodzi o oddanie Rosji rakiet z pociskami nuklearnymi. I chociaż rząd ukraiński niejednokrotnie proponował zniszczenie rakiet i pocisków pod kontrolą NATO albo Stanów Zjednoczonych i prosił o wyasygnowanie odpowiedniej kwoty pieniędzy na demontaż tej broni — dezyderaty pozostawały bez odpowiedzi. Obecnie presja amerykańska osiągnęła szczyt. Wstrzymano wszelką pomoc dla Ukrainy, doszło nawet do tego, że wbrew poprzednim zapowiedziom odproszono ukraińskiego premiera Kucznię — który pod koniec kwietnia miał odwiedzić Stany. W tym samym czasie posypały się oskar-

żenia Moskwy pod adresem Kijowa, że Ukraina sabotuje umowy w sprawie oddania broni atomowej. Rosja winduje też żądania w kwestii podziału marynarki wojennej na Czarnym Morzu. Już nie poprzestaje na dotychczasowych postulatach dotyczących rewindykacji w dziedzinie ilości i typu jednostek morskich. Żąda obecnie także baz nadbrzeżnych i wyłączenia Sewastopola z terytorium Ukrainy jako specjalnej bazy rosyjskiej.

Kijów nie był przygotowany na tego rodzaju zmiany klimatu. Nie posiada też nawet nikłego *lobby* w Waszyngtonie. Poza małymi wyjątkami — głównie w sferze naukowej — ukraiński ruch w Ameryce zamknął się w nacjonalistycznym getcie parafialno-folklorystycznym. Nie spisał się też amerykański ambasador w Kijowie, Popadiuk. W takich wypadkach bywa zazwyczaj lepiej, jeśli Amerykę w dawnym kraju reprezentuje *yankee* z krwi i kości, a nie potomek niedawnych emigrantów ze Wschodu.

Tak czy owak, nad Ukrainą zawisło widmo podwójnego konfliktu z Moskwą i Waszyngtonem. Rodzi to nastroje frustracji, nacjonalizmu, a nawet swoistego izolacjonizmu. Jedynym wyjściem jest szukanie wraz z najbliższymi sąsiadami jakiejś koncepcji wspólnego bezpieczeństwa. Polska powinna być jak najbardziej zainteresowana w opracowaniu takiej wspólnej, nie tylko bilateralnej, ale szerszej, europejskiej koncepcji, gwarantującej przy udziale USA i Rosji nietykalność terytorialną wszystkich członków.

14 kwietnia 1993

Bohdan OSADCZUK

Uniwersytet polski w Wilnie

Wiem, że mój tekst będzie przysłowiowym kijem wbitym w mrowisko, ale nie zważając na to postanowiłam podzielić się z Czytelnikami Pańskiego, tak ważnego dla niezależnej polskiej opinii pisma, moimi refleksjami na temat tworzonego w Wilnie polskiego uniwersytetu.

Jestem Polką i już ponad sześćdziesiąt lat mieszkam w Wilnie, w moim rodzinnym mieście, przeżywając wszystkie dole i niedole moich rodaków. Byłam wychowana w duchu tolerancji

i zgodnego współżycia różnych narodowości, zamieszkujących tę część ziem byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego. Naszymi sąsiadami byli Rosjanie, mieszkający tu od bardzo dawna. Zona mojego brata jest Litwinką, a przyjacielem ojca był Żyd, wileński lekarz. Przez nasz dom przewijali się ludzie różnych narodowości, słyhać było różne języki i wszystkich traktowano tak samo życzliwie i serdecznie.

Przed wojną bardzo mało mieszkało w Wilnie Litwinów, chyba najwyżej jeden procent i właściwie było to miasto polsko-żydowskie.

Gdy jesienią 1939 roku Rosjanie oddali Wilno Litwinom, chcieli oni jak najszybciej zlituanizować swoją dawną stolicę. Nacjonalizm litewski dobrze dał się nam wtedy we znaki. Polacy stali się obywatelami drugiej kategorii, pozbawionymi pracy i możliwości przeżycia, zaś nieliczni pracujący otrzymywali wynagrodzenie parokrotnie niższe niż Litwini. Litwinów trzeba jednak zrozumieć, nie *a priori* potępiać. Mieli żal do Polaków, że po I wojnie światowej zabrali im Wilno, odwieczną stolicę Litwy i spolonizowali ludność, co jest bzdurą, ale w co przeciętny Litwin święcie wierzył.

Uniwersytet imienia Stefana Batorego zamknięto, a 13 grudnia 1939 r. sejm litewski podjął uchwałę uznającą uczelnię za drugi, obok kowieńskiego, uniwersytet litewski. Dokonano wyboru rektora i w styczniu 1940 wznowiono zajęcia, oczywiście z wykładowym językiem litewskim.

Jak wiadomo, latem 1940 r. Litwa stała się republiką sowiecką. Zaczęły się aresztowania i wywózki, ale początkowo dotyczyło to głównie inteligencji. Natomiast nacjonalizm litewski przestał być już tak dokuczliwy. Język polski stał się językiem równoprawnym z językiem rosyjskim i litewskim. Młodzież polska mogła studiować na uniwersytecie i nawet zdawać egzaminy w języku polskim, o ile nie figurowała na czarnych listach NKWD osób przeznaczonych do wywózki.

W czerwcu 1941 r. Litwę zajęli Niemcy. Zaczyna się nowa fala prześladowań Polaków przez gestapo i współpracującą z nim litewską „saugumę” (bezpieczeństwo). I znowu nasila się litewski nacjonalizm. Jak wiadomo, każde działanie wywołuje przeciwdziałanie, więc po stronie polskiej też dochodzi do głosu nacjonalizm, już tylko obronny i defensywny.

W moim mieście, w którym przez wieki zgodnie współżyły różne narodowości, sąsiad zaczyna bać się sąsiada, szerzy się nienawiść.

W lipcu 1944 r. Litwa ponownie została przyłączona do Związku Sowieckiego. NKWD rozprawia się z Armią Krajową, tysiące młodych mężczyzn jedzie do sowieckich łagrow, gdzie nierzadko spotyka się z także wywiezionymi Litwinami.

Na przełomie 1944/45 niedobitki polskiej inteligencji w Wilnie ratują się zapisując się masowo na wyjazd do Polski Ludowej. Repatriacja obejmuje ludność miejską i wiejską i trwa do połowy 1946 r. Prawie cała polska inteligencja wyjechała już wcześniej, przeważnie pierwszymi transportami. Pozbawiona przywództwa duchowego pozostała ludność polska stopniowo zaczęła ulegać rusyfikacji i niestety komunizacji. Rosjanie dla polskiego robotnika czy kołchoźnika byli bliżsi niż Litwini, Chociażby ze względu na pokrewieństwo języka i nie zmuszanie do uczenia się języka litewskiego. Za komunizmu nacjonalizm litewski nie był przez władze tolerowany.

Taka jest prawda. I nie trzeba się dziwić, że dzisiaj w okręgach polskich tyle głosów padło na kandydaturę byłego sekretarza partii — Brazauskasa.

Obecnie ścierają się w Wilnie dwa nacjonalizmy: ofensywny sajudisowski litewski i defensywny — polski. W ciągu ostatnich dziesięcioleci powstała młoda, nowa inteligencja polska, zróżnicowana politycznie, jak wszystkie normalne, demokratyczne społeczeństwa.

Dwie główne orientacje polityczne oparte są na stosunku do państwowości litewskiej. Jedni, mniej liczni, nazywają siebie Polakami litewskimi, uważają Litwę za swoją ojczyznę i chociaż chcą mieć szkoły polskie, uczą się chętnie języka litewskiego i szukają porozumienia z Litwinami. Drudzy — a jest ich zdecydowana większość — akcentują swoją odrębność, domagają się dla okręgów polskich autonomii nie tylko kulturalnej i szukają oparcia w Macierzy, jak sami nazywają Polskę. Zaś w sporach z Litwinami znajdują oparcie również ze strony niektórych nacjonalistycznie nastawionych polityków polskich.

Pomysł utworzenia w Wilnie uniwersytetu polskiego powstał w 1990 r. w środowisku młodych naukowców wileńskich, lecz przy realizacji tego zamierzenia dochodziły do głosu różne poglądy i orientacje. Minimaliści chcieliby uniwersytetu przede wszystkim z wydziałem polonistycznym, maksymaliści — marzą o uczelni z wieloma wydziałami, uczelni, która przygotowywałaby kadry młodej inteligencji polskiej o różnych specjalnościach.

Do realizacji tych, nawet najskromniejszych zamierzeń, potrzebne są sale wykładowe i przede wszystkim pieniądze. Problem pierwszy zamierzano rozwiązać przez uzyskanie od władz litewskich odpowiednich budynków. Oczywiście nic z tego nie wyszło i pozostało szukanie prowizorycznych pomieszczeń zastępczych, bez stałej siedziby. Jak można było przewidzieć, Litwini też postawili warunki: nowo tworzone uniwersytet musi mieć odpowiednie lokale, bibliotekę i kadre naukową z prawdziwego zdarzenia, warunki trudne do spełnienia.

Jeżeli chodzi o sprawy finansowe, organizatorzy liczyli na

pieniądze z Polski, ale z uwagi na bardzo trudną tam sytuację budżetową, zdaje się, że pozostały tylko możliwości pomocy ze strony różnych fundacji, na Litwie i w Polsce. Lista osób i instytucji wspierających ideę tworzenia uniwersytetu jest długa, pieniądze napływają, ale koszty będą ogromne i wątpliwe, czy zbieranych społecznie pieniędzy starczy.

Nie bardzo licząc się z realiami, organizatorzy uniwersytetu właściwie już uruchomili. Jest rektor, prorektor, są pieczętki... i 240 słuchaczy. Na zasadzie pełnej improwizacji powstały trzy wydziały: humanistyczny z polonistyką, menadżerski i ekonomiczny, a w przygotowaniu jest lekarski.

Z wydziałem lekarskim to chyba największe nieporozumienie. Jak powszechnie wiadomo, studia medyczne są bardzo drogie. Natomiast nie wszyscy wiedzą, że Litwa procentowo na dziesięć tysięcy mieszkańców ma znacznie więcej lekarzy, niż każdy inny kraj zachodniej Europy. W związku z nadprodukcją lekarzy już od kilku lat znacznie zmniejsza się przyjęcia studentów zarówno na Akademię Medyczną w Kownie, jak i na wydział lekarski Uniwersytetu Wileńskiego, a także ogranicza się liczbę etatów naukowych na uczelniach. W tej sytuacji nonsensem jest tworzenie oddzielnego wydziału medycznego na uniwersytecie polskim. Jego absolwenci zapewne mieliby trudności w znalezieniu pracy, a to może stać się powodem nowych zadrażeń w i tak napiętych stosunkach pomiędzy Litwinami i Polakami na Litwie.

Według mnie w tym naszym zrywie organizowania uniwersytetu działamy typowo po polsku, kierując się emocjami, a zapominając o zdrowym rozsądku. Zdrowy rozsądek nakazywałby otwierać uniwersytet dopiero wtedy, gdy będzie własna siedziba, jak tego wymagają Litwini, a przede wszystkim skompletowana kadra wykładowców, co, niestety, jest zupełnie nie-realne. Na razie liczy się na przyjazdy uczonych z Polski. W ciągu ostatnich miesięcy rzeczywiście odwiedziło nas kilku wybitnych polskich profesorów, jak np. O. prof. Mieczysław Krąpiec, prof. Aleksander Gieysztor, prof. Juliusz Bardach, prof. Marek Drozdowski. Ale przecież nie będą mogli przyjeżdżać w nieskończoność, choćby dlatego, że bilet lotniczy kosztuje ponad 200 dolarów, a za hotele też trzeba płacić w dewizach i to wcale niemało, prawie tyle co na Zachodzie. Poza tym trudno wymagać od uczonych, żeby mieszkali w Wilnie w istic spartańskich warunkach, bo najlepsze hotele dewizowe nie miały tej zimy ciepłej wody, zaś temperatura w pokojach rzadko przekraczała 12-13 stopni.

Z przytoczonych wyżej faktów wynika, że uniwersytetu polskiego, według pierwotnych zamierzeń, nie uda się kontynuować. Chyba zdają już sobie z tego sprawę nawet najwięksi entuzjaści.

Dlatego może powstał projekt nowy, niewątpliwie bardziej konkretny, zdaje się według pomysłu profesorów Uniwersytetu Warszawskiego. Chodzi o Kolegium Polskie przy Uniwersytecie Litewskim w Wilnie. W ścisłej współpracy z Litwinami powstałaby najpierw polonistyka, potem inne wydziały, ale tam wykładano by w obu językach, aby umożliwić naukę także młodzieży litewskiej. Kadra profesorska, złożona z uczonych miejscowych, byłaby uzupełniana przez wybitnych, „dojeżdżających” (*visiting professor*) profesorów polskich.

Ten projekt ma realne szanse uznania ze strony władz litewskich, a więc absolwenci Kolegium nie musieliby nostryfikować dyplomów, co prawdopodobnie byłoby wymagane przy nie uznawanym formalnie uniwersytecie polskim. Projekt Kolegium uzyskał — jak mi wiadomo — już poparcie prof. Andrzeja Stelmachowskiego, przewodniczącego Stowarzyszenia Wspólnota Polska, i prof. Aleksandra Gieysztorę.

Niestety, niektórzy moi rodacy wileńscy wciąż jeszcze nie chcą wyrzec się mrzonek o oddzielnym uniwersytecie polskim i odsądzają od czci i wiary wszystkich, którzy myślą inaczej. Nie oszczędzono nawet naszego noblisty Czesława Miłosza za to, że podczas pobytu w Wilnie w czerwcu ub. roku miał odwagę powiedzieć w oczy entuzjastom, że pomysł zorganizowania w Wilnie uniwersytetu polskiego uważa za nierealny i nie ma zamiaru go popierać. Wstyd mi było za moich rodaków za te bzdury, jakie wypisywano w *Magazynie Wileńskim* o największym polskim poecie.

Nie chcąc narażać się „nieprzejednanym”, którzy nie dali jeszcze za wygraną, proszę Pana Redaktora o nie podawanie mego nazwiska i adresu.

Łączę wyrazy szacunku i głębokiego poważania

WILNIANKA Z ZARZECZA

Notatki rosyjskie

Kwiecień 1993 r. przejdzie do historii Rosji jako miesiąc ważnych wydarzeń. Jedne już minęły, inne są zapowiedziane. Te ostatnie mogą okazać się równie groźne jak te, które już miały miejsce. Równo siedemdziesiąt sześć lat temu Lenin ogłosił po powrocie ze Szwajcarii do Petersburga „tezy kwietniowe”, w któ-

rych mowa była o przejęciu władzy. Czekać przyszło tylko osiem miesięcy.

Kwiecień bieżącego roku zaczął się od IX zjazdu deputowanych ludowych, który zwołano zaraz po poprzednim, ósmym. Przedstawiciele narodu nie zdążyli nawet rozjechać się do domów. Ledwie skończył się dziewiąty, Borys Jelcyn pojechał do Vancouveru na spotkanie z prezydentem Stanów Zjednoczonych — był to, jak dziś mówią w krystalicznej ruszczyźnie, *summit*, dawniej zwany spotkaniem na szczycie. Na tenże kwiecień zapowiedziane są: proces „puczystów” (14-go) i referendum (25-go). Chińskie przekleństwo „obyś żył w ciekawych czasach” spełnia się w Rosji. A dolar wart był w pierwszej połowie kwietnia ponad 700 rubli.

Wreszcie, aby wachlarz nieszczęść był pełen, w fabryce chemicznej w Tomsku wybuchnął zbiornik z paliwem radioaktywnym. Przedstawiciel ministerstwa energetyki nuklearnej, Georgij Kaurów, uspokoił świat: „To nie katastrofa. Powiedzmy, że zdarzył się nieszczęśliwy wypadek, który niczym nie grozi”. Radioaktywna chmura unosi się na wysokości trzech tysięcy metrów z prędkością 36 km na godzinę w kierunku Jeniseju. Wszyscy się uspokoiłi.

Uspokajające oświadczenie Kaurowa, że mogło być gorzej, z powodzeniem można zastosować do rezultatów gorączkowej działalności IX zjazdu. Ósmy zakończył się w połowie marca niczym: pozbawiono prezydenta niektórych uprawnień, prezydent nie przyjął tego do wiadomości i upierał się przy referendum. Przedstawiciele narodu dużo mówili o katastrofie ekonomicznej, jaką spowodowała polityka Jelcyna. Jak oznajmił wicemarszałek obrad, Nikołaj Riabow, zjazd przeciwstawił jalcynowskiej „efektywnej reformie rynkowej” „stopniową, społecznie zorientowaną reformę rynkową”. Riabow najwidoczniej nie znalazł jeszcze mądrej formuły komunistów chińskich, którzy wprowadzili do konstytucji artykuł o „socjalistycznym systemie rynkowym”.

Ledwie deputowani ruszyli po ósmym zjeździe do domu, Jelcyn zwrócił się do Rosjan z dramatycznym apelem, ostrzegając, że drugiej rewolucji październikowej Rosja nie wytrzyma. Chcąc zapobiec kolejnemu przewrotowi, prezydent powiadomił, że zaprowadził „stan wyjątkowy”. Oburzony „pogwałceniem konstytucji” przewodniczący Rady Najwyższej Rusłan Chazbułatow natychmiast wezwał deputowanych z powrotem na Kreml. Prezydent republiki postąpił bardzo sprytnie: ogłosił, że podpisał dekret o stanie wyjątkowym, ale samego dekretu nie opublikował. Nie przeszkodziło to zjazdowi ani Trybunałowi Konstytucyjnemu — głównemu stróżowi prawa w Rosji — oświadczyć, że (nieznany) tekst dekretu jest niezgodny z konstytucją. Deputowani rozpoczęli procedurę *impiczment* (kolejne czysto rosyjskie

słowo, o którym do niedawna nikt nie słyszał) i szybko ogłosili głosowanie o usunięcie Jelcyna ze stanowiska prezydenta. Do wprowadzenia tej decyzji w życie zabrakło 72 głosów.

Borys Jelcyn chciał przeprowadzić referendum, poprzedni zjazd nie zgodził się na to. Obecny — owszem. Pytanie miało brzmieć: kto rządzi Rosją — prezydent czy zjazd oraz czy zgadza się Pan/Pani z projektem konstytucji, definiującej system władzy w kraju? IX zjazd zdecydował, że referendum może się odbyć, ale pytania sformułuje zjazd. Jest ich cztery: czy ufa Pan/Pani prezydentowi Jelcynowi? Czy zgadza się Pan/Pani z polityką społeczną i gospodarczą, jaką Jelcyn prowadzi od 1992 roku? Czy zgadza się Pan/Pani na przedterminowe wybory prezydenta? Czy zgadza się Pan/Pani na przedterminowe wybory deputowanych ludowych?

Bomba, którą zjazd w ten sposób podłożył Jelcynowi w referendum, polega nie na trzech pytaniach dotyczących prezydenta. Przede wszystkim chodzi o to, że odpowiedź pozytywna obliczana ma być jako 50% plus jeden głos od ogólnej liczby uprawnionych do głosowania, a nie od głosujących. Zwolennicy prezydenta oświadczyli, że jest to sprzeczne z konstytucją, bo Jelcyna wybrała większość głosujących. 12 kwietnia, dwa tygodnie przed referendami (o ile się odbędzie) kwestie prawne nie zostały jeszcze rozstrzygnięte. Wszystko i wszyscy znajdują się w stanie zawieszenia. Wszystkie warianty są możliwe. W tym „wariant mordwiński” (milion mieszkańców). 6-go kwietnia zjazd deputowanych Mordowii przegłosował likwidację stanowiska prezydenta republiki. Mordowia, część federacji rosyjskiej, postanowiła żyć bez prezydenta. Bezrobotny Wiktor Guslannikow zwrócił się o pomoc do Jelcyna.

Francuski dziennikarz Claude-Marie Badrot, wysłannik paryskiego *Journal de dimanche*, nazwał IX zjazd kolejnym aktem rosyjskiej komedii pod tytułem „Jak (bezsukutecznie) pozbyć się prezydenta?”. O co właściwie chodzi w toczącej się od dwóch lat walce między prezydentem i zjazdem deputowanych rosyjskich, która w ostatnim roku przeszła na noże? Obie strony zapewniają, że o dobro Rosji. Ale deputowani starali się ze wszelkich sił obalić prezydenta w przeddzień jego spotkania z Clintonem, który obiecał pomoc dla Rosji. Większość deputowanych zapewnia, że jest za reformami, tylko że trzeba je przeprowadzać wolniej.

Jeden z prowincjonalnych przedstawicieli narodu znalazł barwne słowa dla opisu sytuacji: „Żyjemy we wspólnym mieszkaniu i nie będziemy użerać się o to, że stary dziadyga z ostatniego pokoju chce otworzyć lufcik, chociaż na ulicy mróz, albo dlatego, że dzieciak sąsiadów o każdej porze dnia i nocy włącza radio na cały regulator, a dziewczynka zostawia w kuchni brud-

ne naczynia i trzaska drzwiami o drugiej w nocy”. Mówca wiedział oczywiście, jakie straszne zbrodnie zdarzają się we wspólnych mieszkaniach właśnie z takich błahych powodów, a wszystkie sprowadzają się do problemu władzy. We wspólnym mieszkaniu nikt nie jest gospodarzem, życie przeradza się w chaos.

Zjazd walczy o władzę. Mówiąc prościej, deputowani rozpaczliwie walczą o to, by dalej być deputowanymi. Niektórzy z nich niewątpliwie są ideowymi bojownikami o ustrój komunistyczny. Większość broni go dlatego, że wydaje im się, iż pozwoli im on zachować przywileje. Gennadij Burbulis, do niedawna najbliższy doradca Jelcyna, przedmiot nienawiści deputowanych, usunięty na ich żądanie ze stanowiska sekretarza stanu, w wywiadzie udzielonym paryskiej *Russkiej mysli* (9.-15. 4. 93) wśród licznych błędów Jelcyna wspomina zlekceważenie psychologicznych motywacji deputowanych. „Nie należało nie doceniać faktu — kaja się Burbulis — że posłowanie zawsze było w Związku Sowieckim związane z ustalonym systemem przywilejów i powrotem do poprzedniego stanowiska. Wielu posłów zachowuje się tak, jak się zachowuje, bo zupełnie nie wiedzą, co zrobić, kiedy skończy się ich mandat”. Ta trafna uwaga dotyczy nie tylko Rosji, ale Burbulis na pewno pije do niezwyklej troski, jaką otaczał i otacza deputowanych Rusłan Chazbułatow. Mieszkania, samochody, wycieczki zagraniczne na koszt Rady Najwyższej, sklepy za żółtymi firankami itd., itp. zapewniły przewodniczącemu wierność i oddanie wielu deputowanych. Gennadij Burbulis zadaje między wierszami pytanie, dlaczego to drużyna prezydenta zasypiała gruszki w popiele, zamiast też podbijać serca wybrańców narodu?

Spotkanie w Vancouverze zakończyło się całkowitym sukcesem. Tak w każdym razie zapewнили obaj prezydenci. Bill Clinton obiecał Jelcynowi dodatkowy kredyt 1,6 mld dolarów. Dużo to czy mało, to kwestia sporna. Ale w Kanadzie nie chodziło głównie o pieniądze: prezydent Stanów chciał dać znak, że popiera prezydenta Rosji. Borys Jelcyn kategorycznie oświadczył na konferencji prasowej: „Dziś, właśnie dziś, nie ma alternatywy dla Jelcyna. Jutro — będzie. A dziś — nie ma”. Bill Clinton też tak uważa, ale zostawił Stanom Zjednoczonym furtkę: „Jasno powiedziałem — oświadczył — że Stany Zjednoczone pragną dla Rosji demokracji, praw człowieka, gospodarki rynkowej, poszanowania suwerenności nowych niezawisłych państw. Nasze interesy i wartości reprezentuje polityka Jelcyna. Jest on legalnie wybranym prezydentem Rosji i dopóki pełni tę funkcję, będę z nim pracował, bo nie pragnę zmiany tych wartości”. Wynika z tego, że Clinton popiera Jelcyna, ale przede wszystkim popiera pewne wartości. Czyli jeśli obecnemu prezydentowi

Rosji powinie się noga i na jego miejsce przyjdzie ktoś inny, wyznający te same zasady, Stany Zjednoczone poprą i jego.

Jeżeli uważnie spojrzymy na „pakiet gospodarczy” ustalony w Vancouverze, widać i w nim bardziej chęć dopomożenia demokratycznej Rosji, niż realną pomoc. Bezwrotnie dostawy żywności i lekarstw są naturalnie bardzo cenne, nie do pogardzenia są też kredyty na zakup żywności w USA (700 mln dolarów), ale 6 mln dolarów na zabezpieczenie rosyjskich żołnierzy, 25 mln na wsparcie reformy sądownictwa, pomoc lokalnej administracji itd. — to raczej wskazówki, na co należy udzielać pomocy, aniżeli rzeczywista pomoc, która umożliwi reformy. Minione dwa lata pokazały po pierwsze, że kredyty zagraniczne można spożytkować tylko wtedy, jeżeli istnieje sprawna władza polityczna, zdolna odebrać pomoc i rozdzielić ją; po drugie, że na kredyty można liczyć tylko ze strony prywatnego kapitału, bo państwa zachodnie nie są dziś na to dość bogate; po trzecie — widać to w Rosji, Niemczech, Chinach i innych krajach byłego obozu socjalistycznego — że jeśli naród sam sobie nie pomoże, to żadna pomoc z zewnątrz niczego nie da. Ta ogólna i trywialna prawda potwierdza się w praktyce: w ostatnich latach można było obserwować najrozmaitsze formy inwestycji zagranicznych i ich zastosowania. Najlepiej udawało się to w Chinach: centralne władze zachowują kontrolę nad zagranicznymi kapitałami, a ludność czynnie przykładą rękę do ich wdrożenia. Chiny mają niezliczone problemy, ale ich ekonomiczne sukcesy są bezsporne. Uczestniczyłem niedawno w międzynarodowym kolokwium na temat „chińskiego modelu” i tłumaczyłem, że Rosja nie może go u siebie zastosować, bo „do chińskiego modelu potrzebni są Chińczycy, a tych jest w Rosji bardzo mało”. Rosja szuka więc własnego modelu. Wspomniany już Burbulis po utracie stanowiska w administracji prezydenckiej stanął na czele „organizacji pozarządowej” — „humanitarnego i politologicznego ośrodka «Strategia»”. Ośrodek ma sformułować długoterminowy, strategiczny program działania. Burbulis uważa, że „reformy w Rosji — to zadanie na więcej niż jedno pokolenie”. Strategii reform na razie nie opracowano, natomiast sporządzono listę błędów, które popełnili demokraci od chwili objęcia władzy. Główna zasada sowieckich przywódców — uczyć się na błędach — wciąż jest w użyciu. Tyle że ma ona dziś nieco inny charakter niż kiedyś: zrozumienie podstawowych błędów może dziś pozwolić na zmianę kierunku.

Na pierwszym miejscu błędów strategicznych Burbulis wymienia opieszałość: „Wniosek, że totalitarny socjalistyczny ustrój społeczny się przeżył, że wielkie przeobrażenia i reformy są konieczne, można było wyciągnąć znacznie wcześniej”. Przekonanie, że walka została wygrana i wystarczy czekać na owoce

zwycięstwa wyraziło się w tym (to moja definicja — A.K.) że rząd Jelcyna zaczął lepić centaury. Burbulis formułuje to tak: „Nasza logika polegała na tym, że możemy, nie zmieniając niczego fundamentalnego w systemie rad, stworzyć zdolny do działania pionowy system władzy wykonawczej — pion prezydencki — i poprzez niego skutecznie sterować stosunkami społecznymi”. Do tych słów wypada dodać, że IX zjazd uchwalił dekret o likwidacji „pionu prezydenckiego”, tzn. sieci terenowych namiestników prezydenta. Nie wiadomo jeszcze, czy ta decyzja zostanie wprowadzona w czyn, doskonale jednak ilustruje ona kruchość władzy wykonawczej.

Drugi błąd — ciągnie Burbulis — polegał na tym, że za długo zwlekaliśmy ze stworzeniem pełnowartościowej struktury politycznej, sprawnej organizacji — partii, ruchu...” Stało się tak m.in. dlatego, że demokraci hołdowali „naiwnemu przekonaniu, że prezydent może być równocześnie ośrodkiem kierowniczym reform oraz społecznym i politycznym arbitrem między różnymi siłami w społeczeństwie”. Trzecim błędem był brak jasnej polityki regionalnej. Jest to specyfika wielonarodowej Rosji. Czwarty błąd natomiast ma charakter uniwersalny, wspólny wszystkim krajom post-komunistycznym. Polega on na tym, że zachowano kadry z „najważniejszych resortów — organów porządku, sądów, prokuratury, ministerstwa obrony, ministerstwa bezpieczeństwa, ministerstwa spraw wewnętrznych”. Burbulis obliczył, że „80% błędów naszego rządu wynika z tego, że aparat nie przyjął w głębi duszy programu reform”. Były najbliższy doradca Jelcyna przyznaje, że nie wie, co można było począć z kadrami, od których oczekiwano, że zaangażują się w reformy, tymczasem się nie zaangażowały. Burbulis głośno myśli: „Trudno mi osądzić, co by było, gdybyśmy zdecydowali się na czystkę w tych urzędach. Staraliśmy się wszelkimi sposobami uchronić społeczeństwo od wielkich wstrząsów”. Ale z drugiej strony: „Czy można było prowadzić skuteczną politykę państwową w oparciu o starą warstwę urzędników, którą odziedziczyliśmy po władzy sowieckiej?”

Gennadij Burbulis dochodzi do wniosku, który moim zdaniem był oczywisty już dawno: Rosja znajduje się w matni konstytucyjnej i musi opracować nową konstytucję. Myśl tę znacznie lepiej wyraził profesor prawa i nauk politycznych uniwersytetu w Yale, Bruce Akkerman. Jego artykuł w *New York Times* (5.4.93) nosi tytuł: „Borys Jelcyn: śladami Waszyngtonu, w przeciwieństwie do Havla i Wałęsy”. Akkerman ilustruje swoją myśl przykładami. Vaclav Havel, podobnie jak Jelcyn, przejął konstytucję po władzy komunistycznej. Korzystając z jej sprzeczności, frakcje Czechów i Słowaków złamały federację, chociaż większość ludności obu republik była

temu przeciwna. Lech Wałęsa mógł wykorzystać swój ogromny autorytet moralny, aby razem z przywódcami Solidarności na czoło zadań nowego państwa wysunąć opracowanie nowej konstytucji. Zamiast to zrobić, zaprzepścił swój prestiż w niekończących się utarczkach z dawnymi sojusznikami.

Zdaniem amerykańskiego politologa „prezydent Jelcyn nie ma ludzkich przymiotów Havla ani Wałęsy, ale ma zdrowszy instynkt demokratyczny”. Prof. Akkerman radzi rosyjskiemu prezydentowi, aby poszedł za przykładem pierwszego prezydenta Stanów Zjednoczonych. W 1787 r. konstytucja amerykańska przewidywała jedność wszystkich stanów. Malutka Rhode Island zbojkotowała prace konwencji. George Washington złamał wtedy konstytucję i stworzył współczesne Stany Zjednoczone. Borys Jelcyn — twierdzi Akkerman — ma „otwartą możliwość”, może mianowicie dziś poświęcić wszystkie siły na najważniejsze zadanie — uchwalenie nowej konstytucji, stworzenie funkcjonalnych struktur politycznych. Kwiecień 1993 pokaże, czy możliwość jeszcze jest otwarta...

12. 4. 1993

Adam KRUCZEK

Kronika niemiecka

SPRAWY GOSPODARCZE I SOCJALNE: Według Instytutu Gospodarki Niemieckiej (IW) Europa Wschodnia zyskuje stale na atrakcyjności jako miejsce inwestycji głównie z powodu niskich kosztów personelu. Dla przykładu podano, że w Rosji w przeliczeniu dewizowym przeciętna płaca miesięczna zatrudnionych wynosiła w połowie lat 80-tych ok. 750 marek, a w roku 1992 już tylko 60 marek. W Polsce w tym okresie koszty osobowe zmalały o połowę do 220 marek. Tylko na Węgrzech wzrosły one z 350 do 400 marek, gdzie wraz z wydatkami socjalnymi wynoszą ok. 620 marek i są mimo to o połowę niższe niż w najtańszym pod tym względem kraju EWG, tj. Portugalii. ■ Przedstawiciele CDU i pracodawców niemieckich zażądali ostrzejszej kontroli nadużyć systemu socjalnego. Rozważana jest też możliwość wprowadzenia obowiązku pracy dla osób żyjących z pomocy socjalnej. ■ Zmniejszony o 1/3 do wartości zaledwie 11 miliardów marek niemiecki eksport do Rosji ulec ma dalszej redukcji o 1,5 miliarda ze względu na trud-

ności płatnicze Rosji. ■ Bezrobotni w Niemczech mają zostać zobowiązani do obowiązkowych wizyt w urzędach pracy, co ma utrudnić podejmowanie przez nich pracy na czarno. ■ Niemal każde przedsiębiorstwo z terenu byłej NRD pozostające jeszcze w dyspozycji Komisarycznego Urzędu Powierniczego konfrontowane jest z roszczeniami własnościowymi byłych właścicieli. Dotychczas spośród 7.000 wniosków o zwrot mienia rozpatrzone pozytywnie 4.000. Około 1/4 negatywnych decyzji urzędu jest zaskarżanych, przy czym urząd powierniczy wygrywa procesy w 94% przypadków. ■ Rząd federalny oczekuje miliardowych zysków z planowanej prywatyzacji całości lub części udziałów państwowych w kolejach, poczcie i autostradach. Tylko ze sprzedaży nieruchomości do kasy państwa wpłynąć ma 60 miliardów marek. ■ Różnica w poziomie zamożności niemieckich gospodarstw domowych w Niemczech wschodnich i zachodnich nadal się zwiększa. Obecnie przeciętne gospodarstwo zachodniemieckie dysponuje 115.000 marek a wschodniemieckie 25.000, co odpowiada sile nabywczej w RFN w latach 60-tych. ■ W zeszłym roku w Niemczech zbankrutowało 11.000 firm. W landach zachodnich oznacza to wzrost o 13,4% w porównaniu do roku 1991, zaś w nowych landach Republiki potrojenie się liczby upadków firm. ■ Programy pomocy dla rolników wschodniemieckich ze strony EWG mają być kontynuowane poza rok 1993. ■ Zjednoczone Zakłady Energetyczne (Veag) podjęły decyzję realizacji dotychczas największej prywatnej inwestycji w Niemczech Wschodnich i mają zainwestować 10 z ogółu 15 miliardów marek w trzy elektrownie napędzane węglem brunatnym. ■ Mimo kryzysu w niemieckim przemyśle samochodowym koncern Daimler-Benz zamierza zainwestować w nowych landach 2 miliardy marek oraz zwiększyć tam swe zakupy z obecnie 600 milionów na 1 miliard marek w celu rozkręcenia koniunktury wschodniemieckiej. ■ W wyniku malejącego popytu produkcja niemieckiego przemysłu samochodowego spadła w zeszłym roku o 29%. ■ Udział gospodarki wschodniemieckiej w eksporcie ogólnoniemieckim wyniósł w roku ubiegłym zaledwie 2% w porównaniu do 2,6% w roku 1991. Eksport niemiecki wzrósł ogółem o 0,7% do sumy 670,7 miliarda marek a import zmalał o 0,9% do 637,8 miliardów marek. ■ Przedsiębiorstwa zachodniemieckie ogłosiły inicjatywę na rzecz zwiększenia zakupów w landach wschodnich do sumy 50 miliardów marek do roku 1995 w celu pobudzenia tamtejszej koniunktury. ■ Według wiedeńskiego Instytutu Porównawczych Badań Gospodarki potencjał gospodarczy państw wschodnio- i południowo-europejskich zmniejszył się od upadku bloku wschodniego w roku 1989 o 70%. ■ Chiny Komunistyczne zamierzają przedkładać niemiecką ofertę

eksportową w przypadku jej równorzędności z ofertami innych państw. W ramach 10-ciopunktowego planu komuniści chińscy zamierzają też zwiększyć dodatkowo swe zamówienia w Niemczech o 30 miliardów marek do roku 2000. ■ W minionym roku gospodarczym rolnictwo niemieckie zwiększyło sprzedaż zbóż o 7,1%. Minister gospodarki niemieckiej Günter Rexrodt wypowiedział się przeciwko dalszemu zwiększaniu transferu finansowego do nowych landów, gdzie luka między spożyciem a produkcją zwiększyła się w roku 1992 do 195 miliardów marek (1991 — 172 miliardy). ■ Kanclerz Kohl stwierdził, że w celu restrukturyzacji gospodarki wschodnioniemieckiej powinno powstać tam 400.000 przedsiębiorstw średniej wielkości. ■ Wykazywanie mocy produkcyjnych przemysłu niemieckiego, rządu 90% w roku 1990, zmniejszyło się do roku 1992 o 10%. ■ Nowy rząd francuski pragnie podtrzymać plany inwestycyjne na terenach byłej NRD, gdzie planowany udział Francuzów zamyka się aktualnie sumą 7,5 miliarda marek. ■ POLITYKA: Republika Federalna wypłaca do kasy ONZ 110 milionów dolarów i znajduje się pod tym względem na trzecim miejscu za USA i Japonią. ■ Na skutek redukcji wydatków liczba żołnierzy niemieckiej Bundeswehr zmniejszona ma zostać do 350.000 czyli o 20.000 mniej niż przewidują umowy międzynarodowe. Przeciwko temu wypowiedział się w ostrej formie inspektor generalny Bundeswehr Klaus Naumann, ostrzegając przed „nieodpowiedzialnym osłabieniem siły bojowej armii niemieckiej w zakresie obrony”. ■ Między partiami koalicji rządowej i opozycji trwa spór na temat udziału Bundeswehr w ramach akcji ONZ, którym sprzeciwia się głównie SPD i FDP powołując się na konstytucję niemiecką. ■ 30 oficerów Bundeswehr bierze udział w ćwiczeniach przygotowawczych do akcji pokojowych w ramach ONZ. ■ Niemiecka Luftwaffe zakończyła prowadzoną od sierpnia ub. r. akcję pomocy dla Somalii. ■ Zwykłe członkostwo w partii komunistów wschodnioniemieckich SED nie ma powodować automatycznego wykluczenia z pracy nauczycielskiej a nawet na stanowiskach dyrektorów szkół. ■ 72% obywateli Niemiec wypowiada się za zniesieniem podatku na Kościół. ■ Mimo ostrych oporów ze strony związków zawodowych i przemysłu budowlanego rząd Niemiec nie zamierza anulować umów o dzieło z państwami wschodnioeuropejskimi i zamienić je na umowy sezonowe. Ma to być przyczynkiem na rzecz pomocy dla tych krajów. ■ W toku kontrowersyjnych dyskusji znajduje się plan skrócenia o rok nauki w niemieckich gimnazjach. ■ We Frankfurcie nad Odrą odbyła się konferencja na rzecz intensyfikacji współpracy policji państw środkowoeuropejskich z udziałem przedstawicieli Czech, Polski, Rosji i Niemiec. ■ Oddziały rosyjskie opuszczają Berlin jako jedną ze swych ostatnich baz wojsko-

wych w Niemczech do końca sierpnia 1994. Aktualnie w stolicy Niemiec stacjonuje 6 batalionów specjalnych, które podobnie jak równorzędne oddziały wojska aliantów zachodnich posiadają inną strukturę dowodzenia a na swym wyposażeniu ciężkie uzbrojenie i mogą działać w dużym stopniu samodzielnie. Dopiero po nich wycofane mają zostać ostatnie oddziały amerykańskie, francuskie i brytyjskie. ■ Od 1-go stycznia do dnia 7-go marca zanotowano w Niemczech 141 aktów przemocy z pobudek skrajnie prawicowych. ■ W 60-tą rocznicę utworzenia pierwszego w Niemczech obozu koncentracyjnego w Dachau premier Bawarii Max Streibl wezwał obywateli Niemiec do wykazywania odwagi i czujności i zaapelował do młodzieży, „aby tak obchodziła się z tym okropnym rozdziałem historii niemieckiej, jakby należało się obawiać jego powtórzenia się w dniu jutrzejszym”. ■ Niemiecka Służba Ochrony Konstytucji zapowiedziała wzmożoną obserwację skrajnie prawicowej partii NPD po coraz liczniejszym przechodzeniu do niej członków zakazanej uprzednio Partii Deutsche Alternative (DA). Równocześnie Sąd Administracyjny w Hanowerze jako pierwszy zakazał Niemieckiej Służbie Ochrony Konstytucji obserwacji partii Republikanów na terenie Dolnej Saksonii. ■ W wyborach do władz komunalnych na terenie Hesji skrajnie prawicowa partia Republikanów zdobyła średnio ponad 8% głosów a jej przedstawiciele weszli do parlamentów komunalnych wszędzie tam, gdzie ubiegali się o mandaty. ■ Policja niemiecka przeprowadziła obławy, rewizje i zatrzymania wśród członków organizacji neofaszystowskiej „Nationalistische Front”. ■ Na skutek nacisków po ciężkich zarzutach przeciwko jednemu z profesorów Uniwersytetu Bundeswehr, który publicznie odczytał fragmenty z „Mein Kampf”, ze swego stanowiska ustąpił prezydent tej uczelni Jürgen von Kruedener. Według rzecznika uczelni, cytowanie tych fragmentów miało przyczynić się do lepszego zrozumienia mechanizmów i celów propagandy nazistowskiej. ■ Partia liberałów niemieckich FDP zamierza zerwać kontakty z jej dotychczasowym odpowiednikiem austriackim Wolnościową Partią Austrii FPO. FDP zamierza też złożyć wnioski w Międzynarodówce Liberalnej o wykluczenie z niej FPO z powodu rasistowskich wystąpień i inicjatyw jej przewodniczącego Jorga Haidera. ■ Naczelne dowództwo wojsk rosyjskich w Niemczech poinformowało o wzrastającej liczbie napadów na żołnierzy rosyjskich. Od stycznia do marca br. odnotowano 44 takie incydenty. ■ Opracowana na zlecenie Ministerstwa Państwowego Bawarii analiza przewiduje, że spośród około 3,5 miliona osób powołujących się na swe niemieckie pochodzenie w latach 1991–2000 przesiedlić się może do Niemiec ogółem 2 miliony osób, co może przekroczyć możliwości i gotowość Niemiec w tym względzie. ■ Sekretarz parlamentarny

przy ministrze spraw wewnętrznych i pełnomocnik ds. przesiedleńców Horst Waffenschmidt dostrzega szanse współpracy niemiecko-rosyjskiej w Królewcu (Königsberg). Dotychczas przekazano tam 8,5 miliona marek pomocy, która służyć ma nie tylko coraz większej ilości przesiedlających się tam tzw. Niemców Nadwołżańskich ale również ludności rosyjskiej. ■ Plany prezydenta Krawczuka w zakresie przesiedlenia 400.000 Niemców Nadwołżańskich na Ukrainę zakończyły się fiaskiem. Na rzecz ich realizacji Republika Federalna wypłaciła 20 milionów marek. Prezydent Krawczuk powiedział, że nie wierzy obecnie w możliwość realizacji tej idei. ■ Niemieckie MSZ planuje otwarcie w przyszłym roku konsulatu w Królewcu. ■ Co najmniej 940.000 osób posiadających paszport niemiecki żyje aktualnie poza granicami Niemiec, w tym również w Polsce. ■ W roku 1992 liczba cudzoziemców w Niemczech zwiększyła się o 614.000 tj. o 10% i osiągnęła ogółem 6,946 milionów. Przeważają Turcy (1,855 miliona), przed obywatelami byłej Jugosławii (1,027 mln), Włochami (558.000), Grekami (346.000) oraz Polakami (286.000), którzy stanowią 4% ogólnej liczby cudzoziemców. ■ W Republice Federalnej żyje 1,4 miliona różnego rodzaju uciekinierów z innych państw, a Niemcy przyjmują 47% wszystkich podań o azyl znajdując się obecnie na 1-szym miejscu w Europie. ■ Od roku 1990 osiedliło się w Niemczech ponad 15.000 Żydów z państw byłego imperium sowieckiego. ■ Otwarte zostało nowe niemiecko-polskie przejście graniczne Hohenwutzen-Osinów Dolny (Niederwutzen). ■ Na polsko-niemieckich przejściach granicznych w połowie lutego demonstrowało kilka tysięcy Niemców i Polaków na rzecz tolerancji i wzajemnego zrozumienia. ■ KULTURA: Pisarz Günter Grass otrzyma w maju tytuł doktora honoris causa Uniwersytetu Gdańskiego. ■ Tegoroczną nagrodę im Roberta Schumanna w wysokości 50.000 marek przyznano 98-letniemu pisarzowi niemieckiemu Ernstowi Jüngerowi. ■ Udział w 24-tych Zachodni-niemieckich Targach Sztuki w Kolonii wzięło 190 handlarzy oraz galerii niemieckich i zagranicznych. ■ W dniach od 12 do 27 czerwca odbędzie się w Monachium „Festiwal Teatrów Świata”, w którym udział ma wziąć 20 grup teatralnych z 12 krajów. ■ Wystawę dzieł Pabla Picassa w Berlinie „Picasso — od czasu Guerniki 1937-1973” obejrzało 350.000 osób. ■ Medale im. Goethego (Goethe-Medaille) otrzymali w tym roku reżyser francuski Patrice Chereau, pisarz hiszpański Jose Maria Carandell oraz polski publicysta Adam Krzemiński. ■ We Frankfurcie nad Odrą odbyło się pierwsze międzynarodowe sympozjum na temat literatury dla dzieci, które zorganizowane zostało przez Niemiecko-Polskie Biuro Literackie. Udział w nim wzięło 56 wydawców, autorów i literaturoznawców z 7 krajów.

■ Po zarzutach o współpracę z bezpieką enerdowną pisarka Christa Wolf wystąpiła z obu berlińskich akademii sztuk. ■ W maju pojawić się ma na rynku niemieckim „Nowy katechizm” Kościoła katolickiego w cenie 36 marek. ■ Fundacja Volkswagena przeznaczyła osobne środki finansowe dla zachęcenia do powrotu do swych krajów naukowców z państw środkowoeuropejskich przebywających na stypendiach na Zachodzie. ■ Poetka niemiecka Sarah Kirsch otrzymała przydzielaną po raz pierwszy nagrodę literacką fundacji „Adenauer Stiftung”. ■ W wieku 84 lat zmarł w Monachium pisarz niemiecki Hans Werner Richter, który był jednym z założycieli grupy literackiej o nazwie „Gruppe 47”. ■ We Frankfurcie nad Odrą i Słubicach zaprezentowano pierwszy numer polsko-niemieckiego miesięcznika dla młodzieży pt. „Grenzenlos — Bez Granic”. Wspomagane jest ono głównie przez niemieckie związki zawodowe OTV i „Solidarność”. ■ 95% tj. 3,7 miliona uczniów niemieckich od 5-ej klasy począwszy uczy się języka angielskiego. Na 2 miejscu jest język francuski (26% — 1 milion uczniów). ■ W Los Angeles zmarł jeden z założycieli tzw. Szkoły Frankfurckiej, Leo Löwenthal. ■ Nagrodę Filmową Bawarii otrzymał jeden z najdroższych niemieckich filmów o tematyce wojennej pt. „Stalin-grad” w reżyserii Josepha Vilsmajera. ■ W Instytucie Kultury Polskiej w Berlinie odbyła się w 2-ej połowie stycznia seria wykładów, dyskusji i odczytów polsko-niemieckich poświęcona koegzystencji Polaków i Niemców na tle problemów lat 90-ych. Wzięli w niej udział naukowcy i publicyści z obu krajów. ■ Nagrodę miasta Jerozolimy otrzymał w tym roku pisarz niemiecki Stefan Heym. ■ Berliński „Teatr Kreatur” wystawił swą nową sztukę pt. „Kawałek raju” opartą na opowiadaniu pisarza żydowskiego Icka Mangera w reżyserii Andrzeja Woronca. ■ Od 1-go do 20-go maja odbędą się „Berlińskie Spotkania Teatralne”. ■ Tegoroczną nagrodę wydawców i bibliotekarzy przy Fundacji „Friedrich-Ebert-Stiftung” o nazwie „Das Politische Buch” otrzymał Hans Magnus Enzensberger za książkę pt. „Die grosse Wanderung”. ■ Mimo początkowych trudności językowych wszyscy studenci polscy (169) zameldowali się na dalszy semestr na Uniwersytecie Europejskim Viadrina we Frankfurcie nad Odrą. Uniwersytet ma zostać wkrótce rozbudowany o fakultet kulturoznawczy, co podwoić ma liczbę studentów do 1200. ■ Minister kultury Brandenburgii Heinrich Enderlein uzgodnił z wojewodami Szczecina i Zielonej Góry realizację dalszych projektów kulturalnych w obszarze przygranicznym. ■ Niemiecka Komisja UNESCO prowadzi nabór nauczycielek i nauczycieli oraz młodzieży do współpracy z młodzieżą polską w ramach letnich kursów wakacyjnych odbywających się w Białogrodzie (od 4 do 31 lipca) i Górze Kalwarii (od 11 do 8

sierpnia). W ramach tych kursów ok. 300 młodych Polek i Polaków poznawać ma język niemiecki w dyskusjach i bezpośrednich kontaktach z rówieśnikami niemieckimi.

Andrzej STACH

Z prasy ukraińskiej

2 lutego dokonano się prawne przeobrażenie Narodowego Ruchu Ukrainy w partię polityczną. Ukraińska prasa pisze, że w związku z tym zacieśnieniem koncepcji Ruchu jego wpływy w społeczeństwie ukraińskim prawdopodobnie zmaleją. ■ Nakładem charkowskiego wydawnictwa „Liwyj bereh” ukazał się pierwszy na Ukrainie wybór politycznej publicystyki Semena Petlury z lat 1905–1926 pt. „Narodzie ukraiński”. ■ Prasa, zarówno krajowa jak i emigracyjna, podjęła na nowo temat zabójstwa Semena Petlury, dokonanego w Paryżu 25 maja 1926 roku. Dyskusję tę podsumowuje historyk z Kijowa Jurij Szapował w artykule „Zabójstwo Semena Petlury: nowe dane do rozmyślań”, opublikowanym w emigracyjnym piśmie *Wyzwolnyj Szlach* nr 1, 93. Autor pisze, że „W ostatnim czasie ci, którzy mówią i piszą o zabójstwie Semena Petlury, usiłują z reguły odpowiedzieć na dwa pytania: czy zabójca Głównego Atamana, zegarmistrz Samuel Szwarzbard, był «agentem Kremla» i czy sam Petlura nie był aby winien własnej śmierci, zachęcając do żydowskich pogromów”. Dzisiaj, jak i w przeszłości, nie brakuje zarówno krytyków jak i apologetów Petlury — dodaje Szapował. Wedle antypetlurowskiej wersji Szwarzbard był żydowskim mścicielem, szukającym w zabójstwie sprawiedliwości za pogromy z lat 1919–1920. Do zwolenników tej teorii należał francuski autor Bernard Lecache, któremu zresztą Sowiety udostępniły swoje archiwa. Przedstawiając nowe materiały archiwalne Szapował pisze, że można z dużą dozą prawdopodobieństwa przyjąć tezę o agenturalnym i terrorystycznym charakterze zabójstwa Petlury. Szwarzbard w procesie o zabójstwo, w którym bronił go sam Torrès, został uniewinniony. „Strzały Szwarzbarda na ulicy Racine’a i proces paryski — pisze Szapował — w ostatecznym rachunku zostały skutecznie wykorzystane dla zdyskredytowania tych narodowych sił ukraińskich, których podstawowym składnikiem był Petlura”. Szapował dodaje, iż zabójstwo Petlury, przed-

stawiane przez lewicowe ośrodki w Europie jako zemsta za cierpienia żydowskiej ludności na Ukrainie, było dobrze przemyślaną sowiecką prowokacją, mającą także na celu wprowadzenie historycznych animozji w stosunki ukraińsko-żydowskie. Artykuł Szapowała pośrednio komentuje zbliżenie ukraińsko-żydowskie po styczniowej wizycie prezydenta L. Krawczuka w Izraelu. ■ W lutym odbywały się zebrania założycielskie terenowych oddziałów Towarzystwa „Ukraina–Izrael”, m.in. w Mikołajewie, Czerniowcach, Odessie. ■ W dniach 8–12 lutego prezydent Krawczuk złożył wizytę w Wielkiej Brytanii. Krawczuk odbył wiele rozmów z premierem Mayorem i przedstawicielami angielskich sfer handlowych, został przyjęty przez królową brytyjską, występował w parlamencie. Wielka Brytania zgodziła się dać Ukrainie gwarancje bezpieczeństwa w zamian za przyspieszenie ratyfikacji przez ukraiński parlament układu Start-1. Występując w brytyjskim parlamencie Krawczuk powiedział, że konkretna pomoc Londynu i innych krajów pozwoli może przekonać ukraińskich ustawodawców o szczerych intencjach tych państw, które namawiają Ukrainę, by jak najszybciej pozbyła się broni nuklearnej ze swojego terytorium. ■ Tygodnik *Nowyj Szlach* podał informację, iż w końcu ubiegłego roku Międzynarodowe Centrum Biograficzne w Wielkiej Brytanii z siedzibą w Cambridge wybrało ukraińskiego pisarza Ołesia Honczara, autora znanej powieści „Sobór” — „Intelektualistą roku 1992”. ■ Jak podał *Ukraińskiej Holos*, rozpoczęta przez Kongres Ukraińców Kanady zbiórka na fundusz ambasady Ukrainy w Kanadzie już zakończyła się sukcesem. Do dnia 31 grudnia 1992 roku zebrano 1,5 mln dolarów. KUK ogłosił utworzenie Funduszu Narodowego i rozpoczął kolejną zbiórkę pieniędzy. ■ Na Lwowskim Uniwersytecie rozpoczęła działalność Biblioteka oraz Archiwum Ukraińskiej Diapory. Do Lwowa napłynęły materiały zgromadzone przez Ukraiński Wolny Uniwersytet w ciągu 70-ciu lat istnienia najpierw w Pradze, a potem w Monachium. Materiały historyczne o wielkiej wartości, dzieła sztuki, zbiory książek przekazały także inne instytucje i organizacje ukraińskie ze Stanów Zjednoczonych, Kanady, Anglii, Australii oraz wielu innych krajów. ■ 12 lutego w Warszawie — podało *Nasze Słowo* — odbyło się pierwsze spotkanie grupy inicjatywnej, zamierzającej reaktywować w Polsce naukowy instytut kultury ukraińskiej. W składzie grupy znaleźli się prof. prof. St. Kozak, M. Łesiw, St. Zabrowarny, dr hab. R. Zerelik oraz E. Misiło, M. Czech, M. Kertyczak. Instytut byłby albo reaktywacją przedwojennej placówki naukowej im. T. Szewczenki i podlegałby Ministerstwu Edukacji Narodowej, albo działałby na nowych zasadach pod patronatem Ministerstwa Kultury. W każdym razie do realnego zaistnienia instytutowi jeszcze daleko. ■ Kwartalnik *Nad Buhom*

i *Narwoju* nr 3(4), zima 1992/93, przytacza dokumenty wyjaśniające politykę państwa polskiego w latach 40-tych i 50-tych, a dotyczące świątyn prawosławnych i gruntów tych parafii na Lubelszczyźnie. Autor opracowania, w którym znajdziemy wykazy cerkwi, w tym już nie istniejących, Kazimierz Urban, pisze we wstępie: „Majątek kościelny stał się przedmiotem grabieży ze strony instytucji, osób prywatnych, czy nawet parafii rzymskokatolickich oraz samowolnych przydziałów dokonywanych przez administrację lokalną. [...] Cząstkowe przepisy, jakie ukazywały się po roku 1949, zmierzały raczej do usankcjonowania zaistniałego stanu rzeczy i usprawiedliwienia sytuacji. Jej finał miał miejsce na początku lat sześćdziesiątych, kiedy to «ostatecznie» usankcjonowano zaistniały po wojnie stan rzeczy”. W 12-tu miejscowościach Lubelszczyzny Kościół rzymskokat. użytkuje obiekty i grunty należące do Kościoła prawosławnego bez jakiegokolwiek porozumienia. ■ Redakcja *Nad Buhom i Narwoju* rozpoczęła publikowanie cyklu materiałów o ukraińskiej diasporze. Wedle M. Roszczenki („Ukraińcy w świecie”) na Ukrainie żyje 37,7 mln Ukraińców, a poza granicami kraju — 12 mln. W państwach byłego ZSSR mieszka około 7 mln, a w innych krajach 5 mln. Najliczniejsza jest emigracja ukraińska w USA — 2 mln i w Kanadzie — 1 mln. W Brazylii żyje ok. 300 tys. Ukraińców, a w Argentynie około 250 tys. Emigracja ukraińska składa się głównie z ludzi, którzy opuścili Ukrainę Zachodnią, Zakarpacie, Łemkowszczyznę i Wołyń przed drugą wojną światową. Kolejna wielka fala emigracji ukraińskiej dotarła na Zachód w latach II wojny światowej i w odróżnieniu od pierwszej miała charakter głównie polityczny. W latach powojennych, a zwłaszcza w okresie 1980-1990, emigrację tę zasilali głównie uchodźcy z Polski i Czechosłowacji, osiedlający się w Kanadzie. Przypomnijmy, że na Ukrainie pierwsze szacunkowe opracowanie stanu emigracji pt. „Ukraińska diaspora” autorstwa F.D. Zastawnego ukazało się we Lwowie w 1991 roku. ■ Związki twórcze powołały w Kijowie Fundusz Kultury i Sztuki oraz Radę Związków Twórczych przy prezydencie Ukrainy. Celem tych inicjatyw jest ochrona dóbr kultury, zagrożonych z mecenatu państwowego i kryzysu w gospodarce. Wedle oświadczenia prezydenta Krawczuka państwo ukraińskie wyda w roku 1993 na kulturę i oświatę 192,7 mld karbowanów, co stanowi więcej niż jedną czwartą mocno nieźrównoważonego budżetu. ■ 22 lutego odbyło się w Kijowie forum stowarzyszenia pod nazwą Antykomunistyczny Antyimperialny Front, w którym wzięło udział blisko 5 tys. Delegatów z całej Ukrainy. Reprezentowali oni ponad 30 partii i organizacji o orientacji demokratycznej. Ideą forum jest polityczna działalność zmierzająca do sformułowania projektu nowej konstytucji, położenia tamy odradzającemu się

na Ukrainie kremlocentrycznemu komunizmowi oraz zwycięstwo w przyszłych wyborach prezydenckich i parlamentarnych. Za główny czynnik destabilizujący sytuację na Ukrainie forum uznało rady przedstawicielskie wszystkich stopni, od najwyższej do miejscowych, gdzie schroniła się „najreakcyjniejsza część komunistycznej partyjnej nomenklatury, która marzy o powrocie starych porządków i aktywnie działa w celu ich przywrócenia” (*Ukraińskie Słowo*). Forum powstało z inicjatywy kilku byłych przywódców Ruchu — m.in. D. Pawłyczko, M. Horynia, W. Jaworiwskiego. ■ Na łamy prasy ukraińskiej, coraz częściej krajowej, wraca sprawa obywatela USA Johna Demianiuka, oskarżonego o to, że jako „Iwan Groźny” — strażnik obozu w Treblince — wymordował wielu Żydów. Demianiuk, wydany w 1986 roku Izraelowi, w 1988 roku został skazany na karę śmierci. Następnie w apelacji przedstawił 80 zeznań strażników z Treblinky znajdujących się w archiwach KGB i zaprzeczających, jakoby to on był „Iwanem Groźnym”. Ich rozpatrzeniem zajmuje się izraelski Sąd Najwyższy. Demianiuk w dniach 1-3 marca podjął głodówkę protestacyjną przeciwko zwłoce w rozpatrywaniu apelacji. Swego czasu rosyjski *Kontynent* (nr 62) zamieścił poważną prawniczą analizę sprawy Demianiuka pióra amerykańskiej prawniczki P.T. Chantwork, wykazującej wiele kardynalnych uchybień prawnych, które legły u podstaw deportacji Demianiuka do Izraela. Nie ulega wątpliwości, że sprawa Demianiuka była także jednym z najdelikatniejszych tematów wizyty prezydenta Ukrainy Krawczuka w Izraelu. ■ 1 marca B. Jelcyn zapowiedział, że zwróci się do ONZ o przyznanie Rosji specjalnych uprawnień do utrzymania stabilizacji na terenie byłego ZSSR. Następnego dnia na to stwierdzenie ostro zareagowało ukraińskie MSZ oświadczając, że nikt nie upoważnił Jelcyna do wydawania oświadczeń, które sugerują niesuwerenność Ukrainy. Po nietakcie wicepremiera Kozyriewa w grudniu ub. roku, który na konferencji KBWE oświadczył, że Moskwa będzie dążyć do odrodzenia federacji w granicach byłego ZSSR, a następnie swoją wypowiedź odwołał jako żart, stwierdzenie Jelcyna zostało w Kijowie potraktowane jako wyraz mocarstwowej i agresywnej polityki Moskwy wobec nowo powstałych państw posowieckich. „Ukraina nigdy się nie zgodzi, by Rosja ponownie stała się dla nas jakimś starszym bratem lub w ogóle przypisywała sobie taką rolę” — skomentował wypowiedź Jelcyna doradca prezydenta Krawczuka — Mykoła Mychajliczenko. ■ Na Lwowszczyźnie odkryto nowe złoża ropy naftowej, podobno największe na Ukrainie. Ocenia się je na ok. 6 mln ton, tj. tyle, ile wydobywa się w ciągu roku na całej Ukrainie. Ukraina rocznie zużywa około 50 mln ton ropy naftowej. ■ Według informacji premiera L. Kuczmy stopień uzależnienia się

przemysłu Ukrainy od dostawców i odbiorców w Rosji jest zasadniczym kłopotem gospodarczym jego rządu i państwa. 70-80% przemysłu ukraińskiego nadal pracuje dla Rosji. W ubiegłym roku Rosja podwyższyła cenę ropy naftowej 300-krotnie, a gazu — 100-krotnie. Mimo tego Rosja zadłuża się na Ukrainie nie płacąc długów i pogrąża obie gospodarki. ■ Rząd Ukrainy utworzył spółkę „Ukrazprom” z funduszem założycielskim 1,8 mln dolarów, która będzie stanowić ukraiński wkład w międzynarodową kompanię Irańsko-Azerbejdżańsko-Ukraińską. Celem kompanii jest zaprojektowanie i budowa gazociągu Iran-Ukraina. ■ W dniach 15-18 marca przebywał na Ukrainie polski minister spraw wewnętrznych w związku z rozmowami dotyczącymi współpracy policyjnej, granicznej, przeciwdziałania zorganizowanej przestępczości. Prywatnie minister Milczanowski odwiedził 18 marca Lwów. ■ 27 marca rzecznik wicepremiera rządu Ukrainy Wiktora Pynzenika poinformował o tym, iż Leszek Balcerowicz został konsultantem ekonomicznym ekipy premiera L. Kuczmy.

Z prasy ukraińskiej wynotował *Bogusław BAKUŁA*

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Île, 75004 Paris, France.
Métro: Pont Marie. Telefon: 43-26-51-09.

KSIAŻKI POLSKIE □ KSIAŻKI FRANCUSKIE
DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ □
PRZEKŁADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA FRANCUSKI.
KATALOGI BEZPŁATNE WYSYŁAMY NA KAŻDE ŻĄDANIE.
KSIAŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT.
WSPÓLCZESNE MALARSTWO POLSKIE I OBCE W SĄSIEDNIEJ
GALERIE LAMBERT

Zapraszamy wszystkich przejeżdżających przez Paryż, by odwiedzili
najpiękniejszą polską księgarnię i polską galerię na historycznej
Wyspie Świętego Ludwika.

Kronika kulturalna

Nowa Fala powraca do morza

Zabieram głos sprowokowany wypowiedziami przyjaciół i kolegów w numerze czwartym *NaGłosu*, który jest poświęcony „pokoleniu 68”, a który dotarł do mnie z opóźnieniem. Swego czasu Broniek Maj proponował mi napisanie wypowiedzi teoretycznej czy samookreślającej się dzisiaj w stosunku do Nowej Fali, ale jak zwykle nie zdążyłem na czas, bo byłem wtedy w Alpach, a często wolę się wspinać i robić dużo innych rzeczy, niż pisać. Dlatego też wolałbym, żeby podmiot liryczny wiersza Adama Zagajewskiego, ów „R” z wiersza „R. mówi”, przemawiał w swoim imieniu — a nie w imieniu jakiejś zbiorowości, np. artystów — kiedy mówi:

*„znają nas wielkie miasta, gorący asfalt, dobroczynne damy,
nie widziały nas nigdy pustynie, ocean i gęsta dżungla”.*

Jeśli chodzi o mnie, to ponad asfalty wielkich miast zdecydowanie wolę pustynie, ocean, góry, w których spędziłem na pewno większą część życia niż przy biurku.

Wracam jednak do początku. Podobnie jak Barańczak uważam, że termin „Nowa Fala” jest niefortunny. Kojarzy się zresztą nie tylko z pewnym prądem w kinematografii francuskiej. Mówiło się także o nowej fali kina angielskiego (reżyserzy: Anderson, Richardson; filmy: „Sportowe życie”, „Miłość i gniew”, „Samotność długodystansowca”, „Z soboty na niedzielę” itd.) i nowej fali kina czeskiego (reżyserzy: Milos Forman, Jirzi Mentzel; filmy: „Miłość blondynki”, „Pali się, moja panno!”, „Pociągi pod specjalnym nadzorem” itd.) w latach sześćdziesiątych.

Z kolei „pokolenie 68” to również twórcy, którzy nie mieś-

cili się w ramach światopoglądu Nowej Fali. Określenie „pokolenie 68”, którego krytycy literaccy nie używali przez długi czas ze względu na cenzurę, jest lepsze, ale również nieprecyzyjne. Mówi zresztą o tym Julian Kornhauser pisząc, że Nowa Fala to jeden z kierunków literackich w tonie prądu, który ma swój początek w okolicach 1968 roku.

Nie unikniemy tych wszystkich nieprecyzyjności, trzeba się więc umówić, że — po prostu — mówiąc o Nowej Fali mówi się o najlepszych poetach Pokolenia 68, czy też o tendencji dominującej w pokoleniu.

Bo czy Nowa Fala w ogóle istniała? Mój punkt widzenia jest następujący: Nowa Fala istniała jako formacja światopoglądowa, natomiast nie istniała w sensie jakiejś generalnej zbieżności poezji czy poetyk, czyli jako „formacja estetyczna”.

To, co nas naprawdę łączyło, a do czego przyczyniło się w wielkim stopniu tak zwane „przeżycie pokoleniowe”, jakim był marzec 1968, to były wybory światopoglądowe, moralne, ludzkie, wybory na co dzień, to był bunt przeciwko zniewoleniu jednostki, to była — że użyję określenia nieco górnolotnego — wrażliwość na tragizm historii i na rzeczywistość właśnie (a nie na współczesność), o której Herbert na Kłodzkiej Wiośnie Poetyckiej mówił, że jest sferą działalności poety. Dlatego też, to nie ja polemizowałem wówczas z Herbertem. Chociaż, można powiedzieć — jak to zresztą zauważył słusznie Marian Stala — że w moim szkicu o „Napisie” próbowałem włączyć Herberta w krąg najbliższej mi tradycji filozofii poezji, co — być może — było nadużyciem interpretacyjnym, na pewno nie odczuwanym wówczas przeze mnie jako nadużycie.

Przeżycie pokoleniowe nie było własnością kilku czy kilkunastu poetów. Tysiące młodych ludzi czuło podobnie. Na szczęście nie wszyscy pisali wiersze. I to właśnie nasze wybory światopoglądowe czy moralne, a nie wzajemne powinowactwa artystyczne powodowały, że pisaliśmy o tych samych sprawach, choć nie tą samą frazą, nie tym samym językiem, nie w tym samym tonie, nie w tej samej poetyce. Zdarzyło nam się z Adamem Zagajewskim napisać identyczne przesłanie, takie samo zdanie, dwa te same słowa: „Powiedz prawdę”. Nie wiem i wydaje mi się zupełnie nieważne, kto je napisał pierwszy. Ważne jest to, że napisaliśmy je w tym samym czasie, nie znając się jeszcze, nie znając tych dwóch naszych wierszy (nie były jeszcze wówczas drukowane) i nie komunikując się ze sobą. W wierszu „Prawda” z tomu „Komunikat” Adam pisze:

*„zaczepnij najgłębsze warstwy powietrza
i powoli pamiętając o regułach składni
powiedz prawdę do tego słyszysz w lewej ręce
trzymasz miłość a w prawej nienawiść”.*

W wierszu „Linia życia” z tomu „Wam” napisałem:

*„Linia życia w twojej dłoni urywa się nagle
Bądź spokojny Powiedz Prawdę
Dopóki jesteś jeszcze w kręgu światła
Pożegnaj bliskich Opanuj drżenie rąk
napisz list do dziewczyny o dziesięciu dniach
które wstrząsnęły waszym światem”.*

Wybory światopoglądowe i moralne były wspólne. Wybory języka, poetyki czy tradycji (co zawsze jest bardzo ważne) były czasem bliskie, ale w gruncie rzeczy pozostawały sprawą absolutnie indywidualną. Mówienie o wspólnej poetyce, o tym, że wszyscy się upodobniali, przypominali sobie nawzajem, że pisaliśmy pod sznurek, że — jak to określa Machej — „etyka zdominowała poetykę” lub odwrotnie jest kompletnym nieporozumieniem, jeśli nie złą wolą. Nie istnieje etyka bez poetyki, poetyka bez etyki, forma bez treści i treść bez formy. Istnieją wiersze bardzo dobre, lepsze lub gorsze, które zawsze są całością. I mówię tu o najlepszych poetach pokolenia, a nie o naśladowcach.

Trudno — i jest to moje głębokie przekonanie — naprawdę bardzo trudno nie odróżniać młodej Ewy Lipskiej od młodego Barańczaka, czy młodego Zagajewskiego od młodego Krynickiego. Wszyscy oni od początku byli indywidualnościami. (Nie lubię mówić o indywidualnościach ukształtowanych lub nieukształtowanych do końca). To tylko oficjalna krytyka usługa starała się przylepić Pokoleniu 68 etykietkę „stadności”.

Co zostanie z poezji Pokolenia 68? Nie wiem i nie do mnie należy osądzać. Mogę tylko podzielić się odczuciami, owym — jak powiada Barańczak — „dreszczem, który przebiega po krzyżu”, co rzeczywiście dla poważnych badaczy może zabrzmieć jak herezja lub żart. Kto jest mi najbliższy, kogo najbardziej cenię z kolegów-poetów Pokolenia 68? Najbliżsi mi to: Barańczak, Zagajewski, Lipska, Krynicki, Kornhauser. Trochę brak mi w czwartym numerze *NaGłosu* Leszka Szarugi (szczególnie z nowych wierszy), przypomnienia działalności kabaretu Salon Niezależnych oraz grafiki i rysunków Wojtka Wołyńskiego. Wracając do poetów; najbliższy mi jest, jako przyjaciel, ale także — paradoksalnie — jako poeta, Stanisław Barańczak. Paradoksalnie, ponieważ zdaje sobie sprawę, że Staszek nie może lubić moich wierszy, mimo że napisał przedmowę do tomu „Wam”, bo przecież za bardzo się różnimy. W największym uproszczeniu można by powiedzieć, że dla Staszka nie istnieje dobra poezja bez nowego, indywidualnego języka poe-

tyckiego, a ja pragnę stworzyć coś nowego za pomocą języka znanego i używanego.

Staszek jest tytanem pracy. Prawdę mówiąc, nie wiem jak on to robi. Bardzo dużo tłumaczy, co na pewno wzbogaca również jego osobowość poetycką i — że użyję słowa, którego nie rozumiem — warsztat. Jest bardzo aktywny także w innych niż poezja rodzajach wypowiedzi, co mnie cieszy, ponieważ nie mam zaufania do poetów, którzy piszą za dużo wierszy.

Konstandinos Kawafis pisał bardzo mało, Dylan Thomas niewiele, Herbert pisze mało, ale każdy jego wiersz jest głębokim przeżyciem intelektualnym i emocjonalnym, każda jego krótka proza poetycka jest perłą, małym arcydziełem, mądrym, czasem ironicznym, czasem dowcipnym, zawsze celnie spuentowanym. Z bogatej twórczości poetyckiej Miłósza pozostanie po latach prawdopodobnie mniej wierszy niż z twórczości Herberta. Zaryzykowałbym twierdzenie, że — być może — twórczość eseistyczna Miłósza przewyższa rangą jego twórczość poetycką.

Ale to tytułem dygresji. Wracając do rzeczy, należy powiedzieć, że szczególnie w ostatnich zbiorach wierszy Barańczak udowodnił nam, iż — parafrazując słowa Jesienina — jeśli anioły w duszy się gnieździły, to demony także w niej mieszkają. Staszek mógłby jednak przestać kokietować nas swoim „mieszkańskim” zyciorysem. Przecież w poezji — aż trudno przywoływać taką oczywistość — najważniejsze są przygody duchowe i „krótkie spiecia” naszego „ja” z rzeczywistością. Kondycja ludzka jest — znowu powiem rzecz powszechnie znaną — tragiczna niezależnie od tego, czy określony człowiek jest poszukiwaczem przygód, urzędnikiem lub profesorem. Poezja jest nazwaniem, ale i oswojeniem tego dramatu.

Adam Zagajewski to osobowość bardzo złożona. Potrafi zachwycić niesłychanie precyzyjnym opisem stanu rzeczy, nazwaniem, przecuciem, subtelną refleksją, ironiczną mgiełką, a w innych momentach kompletnie wyprowadzić z równowagi swoim byciem w sztuce i dla sztuki. Ostatnio zdenerwował mnie nadgorliwym antykombatanctwem. Gdy Adam pisze, że nie obchodzi go Nowa Fala, chociaż należy ona do jego życia, tak jak pierwsza komunika święta i mecz piłkarski Polska-ZSSR na stadionie w Chorzowie, to jest w tym jakaś prowokacyjna prawda, ale też i trochę minoderii, bądź niepotrzebnej kokieterii.

Adam ma sporo wierszy pięknych i przejmujących, jak choćby mój ulubiony „Jechać do Lwowa”, ale żałuję, że niektóre wiersze Adama nie zostały rozwinięte w eseje. Ostatecznie, nie każda lektura filozoficzna musi kończyć się napisaniem wiersza.

Te kilkanaście zdań o Barańczaku i Zagajewskim to luźne impresje, napisane tak sobie, *en passant*. I tak właśnie, a nie inaczej

należy je traktować. Gatunek literacki — luźna wypowiedź towarzyska.

Czas już kończyć refleksje o tym, co nie jest zakończone. Żyjemy i piszemy dalej. Nowa fala uderzyła o brzeg i powraca do morza. Do tego co żyje i przetwarza się w nas, do tego co jest również zwarem z rzeczywistością, co jest tradycją i współczesnością zarazem, co tworzy teraźniejszość przeszłości.

O przyszłości wolę się wypowiadać. Swego czasu za dużo poetów mówiło o przyszłości lub o świetlanej przyszłości. Zostawiam więc tę domenę astrologom, którzy są przecież na swój sposób poetami.

Jacek BIEREZIN

KONKURSY „BRULIONU”

III Konkurs na Brulion Poetycki nagroda 2000 USD.

W konkursie uczestniczyć mogą *debiutanci* (po debiucie prasowym) oraz *autorzy jednej książki*, którzy nie ukończyli 30-go roku życia.

Prosimy:

- debiutantów o nadsyłanie zestawów wierszy — publikowanych i niepublikowanych — o maksymalnej objętości jednego arkusza autorskiego (22 strony maszynopisu) w pięciu kopiach
- autorów książki poetyckiej o nadsyłanie oprócz zestawów wierszy egzemplarza tomiku i czterech jego kserokopii.

Teksty wraz z notką biograficzną i wykazem publikacji prosimy nadsyłać do dnia 1 czerwca 1993 r. Wyniki zostaną ogłoszone jesienią 1993 r.

W konkursie na Brulion poetycki mogą brać udział uczestnicy z poprzednich lat.

Konkurs na Brulion Prozatorski nagroda 2000 USD

W konkursie uczestniczyć mogą *debiutanci* (po debiucie prasowym) oraz *autorzy jednej książki*, którzy nie ukończyli 40-go roku życia.

Prosimy:

- debiutantów o nadsyłanie — w pięciu kopiach — tekstów (publikowanych i niepublikowanych, także fragmentów powieści), których objętość w sumie nie powinna przekraczać objętości jednego arkusza autorskiego (22 strony maszynopisu);
- autorów książki — o nadsyłanie oprócz tekstów na konkurs także książki i czterech jej kserokopii.

Teksty wraz z notką biograficzną i wykazem publikacji prosimy nadsyłać do dnia 1 czerwca 1993 r. Wyniki zostaną ogłoszone jesienią 1993 r.

Adres: Warszawa 86, PO BOX 166

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 474 — ZYGMUNT HERTZ

LISTY DO CZESŁAWA MIŁOSZA 1952-1979

WYBÓR I OPRACOWANIE RENATA GORCZYŃSKA

Indeks nazwisk

Z listu Czesława Miłosza: ...Wiesz co byłoby najśmieszniejsze? — gdybym przeszedł do historii literatury jako adresat najwspanialszego epistologa Zygmunta Hertza...

Z listu Marii Danilewicz Zielińskiej: ...Jest to Literatura z dużej litery, przy tym wiarygodne calendarium i to nie tylko Zygmunta Hertza, ale i wspomnianych przez niego osób. „LISTY” mają wagę dokumentu i przypuszczam, że we wszystkich późniejszych opracowaniach historii Instytutu Literackiego i *Kultury* będą eksploatowane przez tysiące (nie przesadzam) młodych adeptów polonistyki i historii czasopiśmiennictwa...

Str. 520

Cena F. 160,00

Józef Czapski

O Oldze Boznańskiej

Odejście twórców, artystów wywołuje zawsze ból i przeświadczenie, że oto kończy się coś pięknego, że ten człowiek już nigdy nie weźmie do ręki pióra ani pędzla, nie stanie na scenie. Pozostają dzieła.

Brat mój, artysta grafik i rysownik Adam Piotr, zamieszkały w Paryżu, odnalazł w swoim archiwum kasetę magnetofonową datowaną sprzed kilkunastu lat. „Pamiętam wieczór na który zostałem zaproszony w Bibliotece Polskiej na wyspie św. Ludwika. Było to spotkanie z sędziwym pisarzem i malarzem Józefem Czapskim. Czapski miał mówić o polskiej malarce Oldze Boznańskiej, którą znał osobiście. Niezmiernie zaciekawiony zabrałem magnetofon i nagrałem wszystko, co zostało powiedziane w czasie pamiętnego wieczoru. Ponieważ jakość nagrania nie była dobra, kasetę wsunąłem między moje papierzyska”.

Dopiero teraz odczytaliśmy razem nagrane dawno temu wspomnienia. Udało się nam prawie wszystko odtworzyć i wiernie przenieść na papier wypowiedzi zmarłego Artysty na temat epoki oraz sylwetki malarki polskiej, Olgi Boznańskiej.

Jakub TEPER

Proszę Państwa, chciałbym zacząć od wyrażenia wdzięczności Bibliotece, że pozwoliła mi dzisiaj mówić o pani Boznańskiej, którą jeszcze znałem. Sam fakt, że miałem o niej mówić, zmusił mnie do zastanowienia się nad jej klasą malarską, nad jej miejscem w malarstwie polskim i w malarstwie światowym. Otóż wydaje mi się, że każda generacja mu-

si powracać do swoich przodków i co jest zadziwiające, to fakt, że każda coś innego w swoich przodkach znajduje. I nagle odkrywa ludzi, którzy przez chwilę zdawali się nawet nieważni czy nieaktualni! Wydaje się, że ci ludzie się na nowo rodzą wśród nas dzięki uwadze, którą kierujemy na nich. Mówiąc o książkach np. wydaje mi się, że każdą książkę trzeba co dziesięć lat odczytywać; wtedy widzimy do jakiego stopnia książka inaczej jest czytana przez nas samych. Jeśli chodzi o Boznańską, to rzeczywiście trzeba by się nad nią poważnie zastanowić. Chociaż jest bardzo dobra książka o niej, to zostaje jeszcze bardzo wiele do powiedzenia.

Jakie jest jej miejsce w świecie? Wydaje mi się, że bardzo trudno mówić o Boznańskiej jako o malarce związanej z pewnymi kierunkami, np. impresjonizmem. Sama mówiła, że impresjonistką nigdy nie była. Ale naturalnie dzisiaj łączymy ją z wielkim nurtem impresjonizmu na świecie i z post-impresjonizmem. Ja myślę, że jej wielka epoka zaczęła się od Monachium, o którym moja generacja w 20-tych latach mówiła tylko źle — Monachium się nie liczyło, bo liczył się Paryż. Moja generacja się myliła, bo przecież dzięki Monachium mieliśmy wielkich malarzy, nie będę mówił o wszystkich, ale choćby Gierymski i Boznańska... Całe jej wykształcenie malarskie przyszło z Monachium. [...]

Ale dlaczego o Boznańskiej mało się mówiło? Miała nagrody, żyła zupełnie możliwie materialnie [...] robiła portrety wszystkich sławnych Polaków, znanych i nieznanymi itd. Wszyscy ją cenili. Jeżeli o niej się mówi mniej, kiedy się mówi o tej epoce malarstwa polskiego, to chyba dlatego, że nie było walki koło niej... nikt się o nią nie strzelał. Robiła portrety bardzo psychologiczne, które się podobały. Jeszcze w 1893 r. we Lwowie i w Krakowie pisano o niej, że jest niezrozumiała i że kolory są dziwne, ale jednak już ją wtedy ceniono. Poza tym nie brała udziału w walkach „heroicznych” z ekspresjonizmem, który przez Przybyszewskiego (Munch dochodził) był rozpowszechniany. Ona zupełnie do tego ruchu nie należała. Jeżeli chodzi o impresjonizm, to można powiedzieć, że w miarę upływu lat rozświetlała swoją paletę, która była na początku ciemniejsza. Ale to nie było takie wyraźne. Jeżeli się dzisiaj widzi jej obrazy z różnych epok, są one zadziwiająco bliskie sobie. Pod tym względem chciałbym ją porównać do jednego z największych malarzy francuskich, do Corota. Kiedy wybuchł impresjonizm w 74/75 roku, kiedy wszyscy malarze dyskutowali namiętnie, czy w ogóle impresjonizm jest dobrym ruchem czy złym ru-

chem, czy jest to bezsensowna rewolucja itd. [...] Corot powiedział: „O co wy się kłóćcie, ja w ogóle nie rozumiem. Bierze się pędzel i się maluje”. I rzeczywiście tak malował Corot. On miał genialne widzenie świata i był genialnie prawdomówny. Wyrażał to co czuł i widział. Żadnych teorii ani „izmów” właściwie nie wyznawał. Tak samo było z Boznańską. Ona o żadne „izmy” nie walczyła. Była malarką stuprocentową. Malowała portrety zupełnie klasyczne i właściwie, powiedziałbym, kompozycyjnie prawie banalne. Wtedy, kiedy Bonnard prznosił już punkt ciężkości w portretach zupełnie gdzieś na bok, przełamywał ludzi, co nawet Pankiewiczza gorszyło. Ona tego nie zauważała... malowała tak, jak ją nauczono i jak czuła. Poza tym jest jeszcze jedna ciekawa rzecz. Była szalenie polska... właściwie to była jej aura i kiedy żyła w Paryżu, to tak samo żyła Polską. Ale jak powiedziałem, jej pierwsza epoka to była epoka niemiecka, w której miała najwięcej do powiedzenia... wystawiała wtedy w Berlinie i w Wiedniu i w Dreźnie, i naturalnie w Monachium. Miała srebrne i złote medale i tu stała się jedna rzecz, która należy do legend. Ale chciałbym tę legendę opowiedzieć, chociaż w większości Państwo na pewno ją znają... Otóż Boznańska kochała się w Monachium (zawsze się o tym mówiło) w swoim profesorze Niemcu, Nauenie. Mieli się pobrać. Ona była szalenie próżna, lubiła się ubierać, suknie miała przygotowane, miał być ślub i... on nagle umarł. Od tego czasu chodziła przez całe życie w sukniach sprzed trzydziestu lat. Chociaż wyglądała nieprawdopodobnie!... Mówiło się, że to była wierność tej epoce. Czy to jest prawda, nie wiem. W książce, którą o niej napisano, nic się o tym nie mówi. Mowa była tylko, że była zaręczona z Józefem Czajkowskim... że te zaręczyny długo trwały i zostały ostatecznie zerwane.

Ja spotkałem Boznańską w końcu lat dwudziestych. Pamiętam — i zarzucam to „kapistom”, tj. mojej grupie — że myśmy właściwie o niej nie mówili. Szanowaliśmy ją, bo była bardzo dobrą malarką... ale kiedy przyjechalśmy do Paryża, zaczęły się już walki abstrakcjonistów, kubistów, cały postimpresjonizm... w najrozmaitszych rozgałęzieniach — to nas pasjonowało. Nie potrafiliśmy tak naprawdę jej uczcić... tak naprawdę, jak trzeba było to zrobić. Pamiętam, że przyszedłem do niej rano... malowała w sukni balowej, ale w... zupełnych łachmanach. Miała tutaj na piersiach takie długie waty, które jej wisiały. Ale gdyby miała diademy i gdyby była we wspianiałej sukni, miałyby tę samą postawę. Na-

prawdę bardzo wielkiej i bardzo uprzejmej damy. Nie pamiętam już, w jakim celu przybyłem, ale pamiętam jedyny komplement, jaki od niej otrzymałem. Pożegnaliśmy się w drzwiach, a ona była do mojej połowy... malutka była. Tak się przytuliła do mnie i mówi: „Jaki pan jest ładny, ma pan blond włosy i takie czerwone oczy”. A ja miałem zapalenie spojówek... miałem rzeczywiście rozpalone powieki. A ona jako malarka te czerwone oczy zobaczyła! I z takim zachwytem o nich mówiła! Pamiętam też, że kiedyś czekaliśmy w kolejce na koncert Rubinsteina, i ona przeszła koło mnie i powiedziała: „Musi być trudno z panem flirtować, bo to jak z człowiekiem z drugiego piętra”. Widziałem ją raz w metrze. Wszyscy ją zauważali... miała długą suknię szalenie ściśniętą w talii, kapelusz jak talerz krzywo nałożony z różnymi rajerami w środku. I nawet wcale elegancko wyglądała... było to tylko dziwne.

Druga rzecz, którą też wszyscy Państwo pewnie znacie, to jej pasja do myszy. Miała fortepian, ale nie można było na nim grać, bo myszy w nim siedziały i wszystkie struny poprzegryzały. Drugie gniazdo myszy było koło łóżka i kiedy się przychodziło, trzeba było uważać, aby żadnej nie rozdeptać. Kiedyś przyszedłem do niej z moją siostrą, która zdjęła płaszcz i powiesiła — a dość bała się tych myszy — i nagle zobaczyła, że po jej płaszczu biegnie mysz. Przestraszyła się bardzo, a Boznańska do niej mówi: „Niech się pani nie boi, myszy tylko męskie płaszcze lubią”.

Jestem troszeczkę zażenowany, że mówię tylko dowcipy, bo to wszystko było bardzo poważne. Jediną rzeczą, która Boznańską naprawdę obchodziła, to była jej jedyna siostra, która zabiła się w trzydziestym czwartym roku i to był straszny dla niej cios... oraz jej malarstwo. Sama powiedziała, że gdyby przestała malować, to musiałaby przestać żyć... przecież ona i swoje małżeństwo zerwała z Józefem Czajkowskim, dlatego że nie chciała się ruszyć ze swojej pracowni i on już nie miał cierpliwości na nią czekać. Ale to wszystko było jednocześnie niezmiernie poważne i zupełnie bezinteresowne.

Ostatecznie malowała na kartonach nie gruntowanych i na dwóch stronach tych kartonów. Ta wibracja kolorystyczna, którą dawała w swoim malarstwie, była najwyższej klasy... Jestem przekonany, że gdyby była Francuzką, to byłaby we wszystkich francuskich podręcznikach, tak jak Berthe Morisot. Mówię o Berthe, która była świetną malarką, dlatego że była kobietą, bo Boznańska najbardziej przypomina-

ła mi Vuillarda, który też przez długi czas nie był tak wysoko ceniony, jak powinien być... W sensie materii malarzkiej był jej najbliższy. A mimo to Boznańska, która utrzymywała stosunki nawet z wybitnymi malarzami, jego nigdy nie poznała. Szalenie go podziwiała, ale widocznie była nieśmiała czy co. Także delikatne szkice Bonnarda mogłyby być malowane właśnie przez Boznańską. W czasie mojej młodości Bonnard się przebijał. Mamusię swoją malował, robił szkice jak ona w kuchni stoi, płaszcz ceruje. To były jego najlepsze rzeczy. Wielkie portrety pani de Noailles, jakichś *duchesses* itd. itp., jego ogromny obraz „U dentysty”, to wszystko są rzeczy malarsko bardzo interesujące i świetne, ale nie można ich porównać do tych delikatnych szkiców.

Właśnie wibracja kolorystyczna jest zdobyczą tych generacji... Młodzi malarze często tego nie rozumieją, bo to jest zupełnie inny stosunek do malarstwa.

Teraz jeszcze jedna rzecz. Kiedy Boznańska przyjechała do Paryża w dziewięćdziesiątym ósmym roku, już właściwie została do śmierci. Dojeżdżała do Polski, zawsze zadawano sobie pytanie, dlaczego nie zamieszka w Polsce, ale już miała w Paryżu swoją pracownię, te swoje myszy, te swoje ubrania podarte i tak siedziała. Kiedy trafiła do Paryża, to swojego stylu prywatnego zupełnie nie zmieniła. Znali ją ludzie, szanowali, ale ona tutaj we Francji sensacji nie zrobiła. I mnie się zdaje, że to byłoby jeszcze do zrobienia, choćby z tym, co jest tutaj w Bibliotece. Są jej rzeczy, jej obrazy, to jest malarz, który może być chlubą Polski we Francji. I w ogóle na świecie. I nie tylko jako malarz, ale także jako człowiek: jej powaga, jej dystynkcja, jej upór... Niedawno znalazłem, wczoraj... w jakiś tekstach Paula Valéry'ego jego uwagi o Paryżu w czternastym roku. Mówi on, że właściwie może i szczęśliwi są ludzie, którzy mają jedną pewną hierarchię wartości i jedną koncepcję życia, to znaczy którzy żyją w społeczeństwach jednolitych. Że pluralizm w Paryżu w czternastym roku jest tak nieprawdopodobny, że jest taka masa cudzoziemców najróżniejszych, że już zupełnie nie można się rozeznąć i że to nawet niszczy człowieka. Pytam, co by Valéry powiedział dzisiaj, gdzie jednocześnie są makumby murzyńskie, gdzie co drugi Francuz ma jakiegoś „guru”, buddystę, gdzie są walki w katolicyzmie, gdzie naprawdę, jak mówią Francuzi, *on ne sait plus à quel saint se vouer...* Wydaje mi się, że cechą bardzo charakterystyczną dla Boznańskiej jest to, że była jednolita, do tego stopnia jednolita, że nie docierały do niej wstrząsy kulturalne, cywiliza-

cyjne... Była od początku do końca człowiekiem jednej myśli, jednej bryły, krakowianką i Polką.

Zdaje się, że to wszystko, co mogłem Państwu powiedzieć i naprawdę chciałbym jeszcze raz podziękować, że mogłem te słowa tu w Bibliotece Polskiej wypowiedzieć, bo jestem przekonany, że dla niej to by było wzruszenie, że ją tu uczczono. Jeszcze jedno chciałbym dodać do całości obrazu, że przecież jej śmierć była bardzo tragiczna, że to był rok czterdziesty, straszny dla Francji rok, jesień... W tej nędzy, w tym brudzie żyła... były nawet pieniądze, o tym się teraz dowiaduję, tylko, że ona żadnych pieniędzy od innych nie chciała brać... Polacy chcieli jej pomagać. Ona od nikogo nic nie przyjmowała. Kiedy umarła, znaleziono jakieś siedem zdaje się zdechłych myszy, albo przez nią samą zaduszonych na tym łóżku, gdzie umarła. I ta kobieta, która nie wiadomo ile obrazów zrobiła, które zostaną w historii malarstwa polskiego... umarła jak nędzarka.

maj 1978

Józef CZAPSKI

(Opracowali: Adam Piotr TEPER
i Zbigniew Jakub TEPER)

List do Stanisława Mackiewicza

13, rue des Ecoles
Paris V

14. IV. 48

Drogi Panie,

To Giedroyc coś poplątał i twierdzi, że Pan mu zaproponował Stempowskiego, na którego się skwapliwie zgodził. Tak że już ja się do tej sprawy nie mieszam. Słyszałem od niego, zresztą czytałem już we *Lwowie i Wilnie*, że Pan pisze książkę o Adziu*. Coraz to przypominają mi się drobne o nim rzeczy, które może mogłyby się Panu przydać.

* Adolfe Bocheńskim.

Rozmawiałem z Ojcem Bocheńskim, jak tylko się dowiedział o śmierci Adzia. Opowiadał mi wtedy swoje ostatnie spotkanie w szpitalu. Adzio leżał w szpitalu, był od trzech dni bez opatrunku, już obiecał jechać dalej na południe na dalsze leczenie, miał 14 tomów jakiejś historii Papieży i maszynę do pisania, które wiozł ze sobą. Kiedy mu nieśmiało powiedział brat, żeby jak wróci na front nie robił za dużo wariactw, powiedział, że jak się ma już pewien „standard”, to nie można go zmieniać, a że i tak wcześniej czy później od miny wyleci. Zaczęli mówić o różnych sprawach i znajomych. Ojciec Bocheński wspomniał Broniewskiego i powiedział, że to bolszewik, którego należałoby rozstrzelać. Adzio wpadł w straszną irytację tak, że Bocheński Ojciec starał się zmienić temat konwersacji. Powiedział Ojcu: „jaka szkoda, że zrobiłeś się księdzem, nie masz zupełnie zrozumienia ducha chrześcijańskiego, który jest *duchem absolutnej amnestii*”. Nie wiem, czy robię niedyskrecję, że tę rozmowę powtarzam, ale jest cały w tym Adzio. Pamiętam, jak w Qasassinie w Iraku, pod gwiazdystym niebem, które tak dobrze znał, jak inni znają swoje ścieżki do domu, deklamował mi masę z „Fausta” Goethego, a także jeden wiersz, który lubił specjalnie, arcyfacyfystyczny Wittlina. Pamiętam tylko, że chodziło tam o jakiś miecz, który ofiarowano jako votum i zawieszono u stóp ukrzyżowanego Chrystusa, że ten miecz był wstawiony w walkach i wielu niewiernym ściał głowę. No i w wierszu ten kontrast bezgranicznego miłosierdzia Chrystusa, jego słodczy i krwawego miecza.

Kiedyś zaczęłem go o to, że nie bardzo mogę zrozumieć nieraz jego stanowiska, bo kocha i broni pojęć nieraz ze sobą sprzecznych. „No przecież, odpowiedział mi, na tym może polega kultura, że jest to stop wartości i pojęć nieraz ze sobą sprzecznych”.

Mieszkał w namiocie z Andrzejem Tarnowskim z Sędziszowa, którego znałem od wielu lat i który nas ze sobą spotkał (Bocheńskiego spotykałem przelotnie w 1924r. w Paryżu, ale nie miałem z nim żadnych stosunków, wydawał mi się wtedy manieryczny, snobistyczny i tylko Pan mi wtedy opowiadał, że jest genialny, jakże mi dzisiaj wstyd mego głupiego i powierzchownego spojrzenia). Otóż, jakeśmy się spotkali tam na pustyni byłem dosłownie olśniony tym człowiekiem, nie tylko jego wspaniałą inteligencją, ale czułością, uroczym taktem, wytworną złośliwością, zmysłem humoru, a jednocześnie nigdy nie zawodzącą, aż brutalną odwagą swoich przekonań. W związku z tym pamiętam jedną

scenę, w której go zobaczyłem całego. Był to okres, gdzie szalał Klimkowski. Ja wtedy byłem szefem propagandy i coraz to musiałem jakieś jego projekty tak czy inaczej „połykać” czy odwaląć. Okazał mi wówczas starannie wykonaną mapę Polski. Był to okres, kiedy Klimkowski już reagował gwałtownie na politykę według nas wszystkich zbyt wobec Sowietów uległą wobec Sikorskiego. Ta mapa Polski dochodziła prawie że do Kaukazu. Ukraina, Litwa, Białoruś były to wszystko prowincje polskie, bo przez cały obszar imię Polski przechodziło. Nie mogłem się zgodzić na wydrukowanie „tajne” tej mapy. Chciałem, by przerobił i by zrobił z tego mapę Wielkiej Federacji. Zdecydowałem, że jeden Adzio może mi w tym pomóc i w nocy po 12-ej, autem generalskim, powaliliśmy z Klimkowskim do pułku Adzia. Adzio był tej nocy oficerem służbowym. Wywiązała się namiętna dyskusja między Klimkowskim i Adziem. Adzio miał niewątpliwie sympatię do Klimkowskiego, ale Klimkowski zaczął wygadywać jakieś nieprawdopodobne banialuki o Wielkiej Polsce i nagle Adzio aż zapiał z wściekłości, powiedział, że nie chce mieć nic wspólnego z jakimiś koncepcjami nacjonalistycznymi, które by miały gnębić inne narody, że ta mapa jest tylko możliwa jako szeroko pomyślana federacja i pod żadnym względem nie będzie się mieszał do jakichś imprez nacjonalistyczno-rasistowskich. Klimkowski się ugiął i wyszła mapa federacyjna.

Jeszcze jedna mała historia. Pan wie, że on miał bzika na tle Kawalerów Maltańskich. Narywał się coraz to na przykrości, bo na mundurze nie nosił Virtuti Militari, ale nosił wstążeczkę Kawalera Orderu Maltańskiego. Kiedyś w Kairze spotkaliśmy go na śniadaniu z Gieratem, który był wtedy zastępcą szefa propagandy. Chodziło nam o to, by się dogadali. Gierat w środku rozmowy uprzejmie i poważnie zapytał, za jakie zasługi otrzymuje się Krzyż Maltański. Pytał najpoważniej. Nagle widzę błysk w oczach Adzia Bocheńskiego, który odpowiada z najpoważniejszą miną: „Za trzy lata walk z Sarracenami”. Pamiętam, że na tym samym obiedzie mówił ze znaną Panu dobrze erudycją i pasją, że mylił się za młodu nie biorąc pod uwagę zupełnie, gdy mówił o polityce, momentu moralnego, który przecież w pewnym momencie może zagrać i jest czynnikiem, którego polityk nie ma prawa lekceważyć. Nie pamiętam jego licznych wówczas cytowanych przykładów. Został mi w pamięci tylko jeden: wpływ opinii na ucięcie dostaw do Włoch podczas wojny włosko-abisyńskiej.

Z poetów, których najchętniej deklamował, pamiętam również Baudelaire'a. Pamiętam taką podróż z nim autem po pustyni do Bagdadu, która mi się złączyła z deklamacjami Baudelaire'a tak jak na zawsze te noce gwiazdziste w Qasasinie łączą mi się z wierszami z „Fausta”. Ileż razy namawialiśmy go, by zajął się polityką, nie wojskiem. Jerzy Giedroyc chciał uparcie, by go Korpus wysłał do Sokolnickiego do Ankary, ale zawsze te projekty rozбивały się o upartą wolę Adzia pozostania w pułku. To nie było zależne od jego miłości do wojska, do swego pułku i namiętnego pragnienia dzielenia z nim doli i niedoli. To była też linia polityczna. Raz jeden powiedział mi: „Politycznie ja może się jeszcze będę mógł przydać, ale to grubo później, po wojnie, jeżeli zajdzie polityczna potrzeba rozmów polsko-niemieckich. Wtedy mogę być pożyteczny”. Wielu znałem ludzi o śmiałych poglądach, ale byli oni przeważnie zupełnie niezdolni do współżycia w zespołach „normalnych”, tzn. w wojsku, w pułku, albo znowu znałem ludzi wspaniale odważnych, ale którzy się nie wyróżniali żadną oryginalnością myśli. Zdaje się, że nie spotkałem człowieka, który w tym stopniu jak on umiał łączyć bezkompromisową śmiałość myślenia z najbardziej uroczą umiejętnością współżycia z ludźmi nie tylko najróżniejszych przekonań, ale z ludźmi najbardziej dalekimi od niego i w swych koncepcjach i w myśleniu i w subtelności reagowania. Umiał tych ludzi szanować, odnajdywać w nich to co mieli w sobie najlepszego i wywoływać w stosunku do siebie uczucia najżywszej przyjaźni u najbardziej nawet sobie odrębnych kolegów. O tym wszystkim Pan wie doskonale. Jeżeli Panu posyłam tych kilka okruszynek, to dlatego, że może któraś z nich na coś się Panu przyda.

Serdeczny uścisk dłoni

Józef CZAPSKI

Ci, co odeszli

Maria Wasung (1905-1993)

Z Marysią spotkaliśmy się przed ponad pół wiekiem — dokładnie w końcu czerwca 1940 roku. Wywiezieni ze Lwowa tym samym transportem: Marysia z dwojgiem małych dzieci, 3-letnią Krysią i chyba 8-mioletnim Andrzejem oraz ja z moim mężem Zygmuntem — my byliśmy we Lwowie przypadkowo, „przejazdem” ze Stanisławowa, czekając na możliwość powrotu do Warszawy.

I tak znaleźliśmy się wszyscy w Cyngłoku (*Joszkarołska obłast*, Maryjska ASSR) w dziewiczym prawie lesie. Było nas tam ogółem około 400 osób. Przez 16 miesięcy rąbaliśmy ten las, żeby zapracować na kawałek chleba i talerz kaszy czy wody zwanej zupą. Do dziś nie mogę zrozumieć, jak można tam było żyć i przeżyć. Sądzę, że gdybyśmy na chwilę pomyśleli, że możemy tam zostać na zawsze, to wolelibyśmy zginąć od razu. Ale byliśmy młodzi i przekonani, że musimy to przetrwać i to przekonanie dodawało nam sił.

Nasze drogi z Marysią rozeszły się z konieczności w chwili gdy zostaliśmy „amnestionowani”. Zygmunt i ja wypuściliśmy się w podróż przez Rosję w stronę Buzułuku, gdzie tworzyła się armia polska, a Marysia z dziećmi zupełnie inną drogą szukała możliwości wydostania się z tego koszmaru.

W końcu wyjechaliśmy wszyscy: Zygmunt ze swoją dywizją, ja ze sztabem, a Marysia z dziećmi dotarła do Libanu i tam z Krysią doczekała się końca wojny. Andrzej był w junakach, a potem pojechał do Londynu i już w nim pozostał do końca.

Marysię odnalazł po wojnie mąż Aleksander, który był internowany w Szwajcarii wraz z dywizją gen. Prugara-Ketlinga i zostali w Genewie. Spotkaliśmy się na nowo — był

to chyba rok 1949 — na „Korneju” w Maisons-Laffitte. Marysia podjęła się przedstawicielstwa *Kultury* na Szwajcarię, gdzie było sporo Polaków. Połączyła nas stara przyjaźń i *Kultura* i nic już nas nie rozłączyło. Marysia i Krysia to była i jest rodzina.

Trudno mi uzmysłowić sobie, że Jej już nie ma. Były okresy, że widywałyśmy się często, czasem rzadziej, ale zawsze była Marysią. Nie miała lekkiego życia. Ciężko pracowała, ale zawsze pogodna, uśmiechnięta, nigdy się nie skarżyła i tak jak Zygmunt lubiła ludzi, którzy jej się tym samym odwdzięczali. A to ważne.

Zofia HERTZ

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 462 — CZESŁAW MIŁOSZ

ROK MYŚLIWEGO

Nowy tom prozy Czesława Miłosza ma zasadniczo konstrukcję dziennika, prowadzonego przez jeden rok: 1986/87. Są to jednak dość umowne ramy, ponieważ autor sięga pamięcią do różnych, niekiedy odległych wydarzeń swojego życia, przedstawiając zarazem pasjonujące portrety swoich współczesnych w formie zwięzłych esejów lub opowieści. Tym samym ten szczególnie dziennik zbliża się do autobiografii, a zarazem przenikliwego wizerunku epoki.

Osobisty w tonie, niekiedy polemiczny, czasami zaskakująco szczery, jest „Rok myśliwego” bodaj najbardziej prywatną książką w dorobku poety, dostarczając wielu autokomentarzy do jego twórczości i życia.

Str. 288

Cena F. 145,00

TOM 464 — AGATA TUSZYŃSKA

ROSJANIE W WARSZAWIE

Migawki spod zaboru rosyjskiego
w okresie Powstania Styczniowego

Str. 128

Cena F. 70,00

Książki

Droga Romana Zimanda

W 6-tym tomie „Dzieł” Stanisława Ossowskiego można znaleźć list profesora do redakcji *Myśli współczesnej* w związku z recenzją jego książki „U podstaw estetyki”, która ukazała się w numerze 2 tego pisma z roku 51. „Już pierwsze ustępy sprawozdania — powiada Ossowski — świadczą, że autor recenzji nie rozumiał zupełnie, czym się zajmuje książka, o której pisze. Widoczna dezorientacja w zagadnieniach, brak wyrobienia logicznego i jawne nonsensy sprawiają, że recenzja ta nie wprowadzi zapewne w błąd inteligentniejszych czytelników, pomimo fałszywych informacji — podanych być może w dobrej wierze...”. Stanisław Ossowski pomija nazwisko recenzenta. Był nim Romand Zimand.

Zimand urodził się we Lwowie w roku 1926. Napadając na Ossowskiego miał już 24 czy 25 lat. W roku 39 miał lat trzynaście. Po wkroczeniu bolszewików do Lwowa jego ojciec, właściciel tartaku i fabryki klepek parkietowych, został aresztowany i wkrótce zmarł w więzieniu. Roman z matką został wywieziony do Kazachstanu. Wrócił do Polski w r. 45. W pierwszym powojennym dziesięcioleciu był zdecydowanym stalinowcem, do czego się zawsze z goryczą przyznawał. Czas jednak zwrócić uwagę, że słowem tym określa się zarówno dobrze wykształconych inteligentów, wychowanków przedwojennych uniwersytetów, uczestników najlepszych seminariów — pierwszy mianowany prezes Polskiej Akademii Nauk miał za sobą studia specjalistyczne w Wiedniu, Villefranche, Neapolu i Stanach Zjednoczonych i był profesorem uniwersytetu od roku 1934. Roman Zimand nie przeszedł przez gimnazjum i między czternastym a piętnastym rokiem życia był pozbawiony dostępu do ważnych książek.

W tekście „Gatunek: podróż” wspomina o lekturach swego dzieciństwa. W wieku lat jedenastu był to „Świat przygód”, Sierżant King z Królewskiej Konnej, Lord Lister. Dwunastoletni należał do wypożyczalni i nic nie było go w stanie oderwać od Maxa Branda, Paul de Kruifa („Łowcy mikrobów”), Nasielskiego czy „Dialogów” Platona. Gdy na wystawach lwowskich księgarń pojawiło się „Życie seksualne dzikich” użył błagań i udało mu się wypożyczyć tę książkę. „Rozczarowanie. Rozczarowanie i męka. Bo zaciąłem się i przeczytałem do końca”. Nie zamierzam posunąć się do przypuszczenia, że całkowite odcięcie od dobrych książek i dostęp jedynie do bardzo złych wystarcza, by wyjaśnić wybór dokonany przez młodego Zimanda. Myślę jednak, że ta okoliczność powinna być przypomniana. Tym bardziej, że następująca wyraźnie gdzieś od roku 55 jego ewolucja wyprzedza wydarzenia polityczne i łączy się z coraz bardziej rozległymi lekturami. Felietonista *Po prostu* używający pseudonimu Asmodeusz został w r. 57, w chwili zamykania tygodnika, usunięty całkiem słusznie i w samą porę z PZPR. Przypominam stalinowski okres Zimanda nie tylko dlatego, że w dalszym ciągu mam już do powiedzenia niemal jedynie dobre rzeczy. On sam zawsze o tym pamiętał, a pamięć ta obciąża wydaną teraz, pośmiertnie, jego książkę „Materiał dowodowy”. Z 311 stron tego tomu tekst tytułowy, ogłoszony tu po raz pierwszy, liczy stron 70. Rozpoczęty w czerwcu 69, miał w zamierzeniu autora stanowić kompletne, analityczne oskarżenie systemu komunistycznego, ze szczególnym uwzględnieniem jego działania w Polsce. Równocześnie autor dopuszczał myśl, a nawet zakładał, że jego rękopis wcześniej czy później wpadnie w ręce policji, a sala sądowa podczas jego własnego procesu będzie jedynym miejscem, gdzie zdoła przedstawić swe tezy. Pomysł ten jest świadectwem nastroju z czasów, gdy znane mi nielegalne teksty krajowe ograniczały się do pięciu kopii maszynopisu. Czytany dzisiaj „Materiał dowodowy” jest zabytkiem archeologicznym. Rozważnie rozstawionymi bateriami artylerii dokoła twierdzy, której załoga się wymknęła i której murów nikt już nie zamierza bronić. Tekst jest inteligentny i nie całkiem nudny, nie wytrzymuje jednak porównania z innymi pracami nie dość znanego autora. Po dwu latach powolnego pisania „Materiału” Roman Zimand usłyszał w Wolnej Europie omówienie artykułu Leszka Kołakowskiego „Tezy o nadziei i beznadziejności” — *Kultura* nr 6/71 i uznawszy, że to co napisał może zostać wzięte za powtórkę, porzucił swą pracę. Jakkolwiek sam

„Materiał dowodowy” trudno dziś uznać za lekturę pierwszej potrzeby, czas poświęcony na jego pisanie nie został zmarnowany. Od roku 76 Roman Zimand jako Leopolda współpracował z *Kulturą*, a potem z pismami podziemnymi w kraju. Niewielki zbiór „Tekstów cywilnych” Leopolda ukazał się w r. 83 jako 386-ty t. „Biblioteki *Kultury*”. Autor z powodzeniem zrealizował swój program: „Widzieć jasno, myśleć poprawnie, mówić zrozumiale”. Ponieważ uważał komunistyczną władzę za ledwie jeden z elementów rzeczywistości, a znacznie bardziej zajmowały go zachowania drugiej strony konfliktu czyli zróżnicowanego społeczeństwa, to choć sprawy, którymi się zajmował, są przebrzmiałe, załatwione lub raz na zawsze zaprzepaszczone, te artykuły polityczne sprzed lat dają się wciąż czytać z zainteresowaniem, a pochodzący z r. 79 rozdział „Po co partii potrzebna jest partia?” wydaje się niezastąpioną lekturą dla wszystkich, którzy chcą dobrze zrozumieć, co działo się w naszym kraju między rokiem 45 a 89. Ten mający 24 strony artykuł spełnia wszelkie rygory poważnego studium socjologicznego, wyjaśniając zarazem przekonująco rzeczy nieoczywiste w sposób, który byłby zapewne zrozumiały dla niewykształconego czytelnika popularnej gazety, a nie znudziłby uczonego profesora. Podejrzewam zresztą, że to studium jest rezultatem nie tylko bystrej obserwacji i rozumowania, ale także głęboko przemyślanych i maksymalnie spożytkowanych osobistych doświadczeń. Wniosków, do których dochodzi Zimand, nie dałoby się wyprowadzić z teoretycznej socjologii czy krytycznego studiowania dokumentów. Ale doświadczenia są całkowicie zobiektywizowane, oczyszczone z wątków osobistych. Natomiast w „Materiale” zdarzają się jeszcze akcenty liryczne, nawet obelgi pod adresem wymienionych z nazwiska funkcjonariuszy aparatu, zapewne zresztą całkiem zasłużone.

Po zamknięciu *Po prostu*, obłożony zakazem druku w prasie Zimand został przygarnięty w Instytucie Badań Literackich, czy może tam zesłany. Nie miał ani porządnego przygotowania filologicznego ani nie mógł wtedy konkurować z czołową krytyką literackich ze szkoły Wyki. Jego pierwsza książka IBL-owska, „Dekadentyzm warszawski”, inteligentna, oparta na rozległym materiale, przypominała jednak chwilami bardziej tekst konferansjera niż poważną rozprawę. Wczesny Zimand miał silną skłonność do ulegania małemu demonowi: potrzebie nieustannego dowcipkowania. W IBL-u bywał niezawodnym i cenionym uczestnikiem wszystkich sesji i dyskusji naukowych, czego potwierdzeniem może być jego

obecność w indeksach nazwisk wielu książek, które tam powstały. Mogło się jednak zdarzyć — tyle, że zdarzało się to coraz rzadziej — że ulegnie pokusie i ściągnie debatę na poziom żarcików. Odznaczał się też znaczną inwencją językową, czasem skrajnie niezdyscyplinowaną. Jeszcze w tomie „Czas normalizacji” — Londyn 89, można znaleźć zdanie: „Dalej «jedziemy» drwiną”. Stanisława Ossowskiego wzburzyło słowo „zakontemplowany”, w dodatku użyte tak że można było pomyśleć, że jest to nowotwór samego Ossowskiego, a nie Zimanda. Ale Zimand, jeden z czynnych twórców rozkwitającej w środkowym okresie PRL-u literatury mówionej, ustawicznie szlifował swój styl i oczyszczał ton. Literatura mówiona powstawała na pograniczu fabuły, komentarza politycznego, felietonu obyczajowego, przeglądu prasy, nawet eseju. Czasem była to relacja z zasłyszanej audycji zachodniego radia, wzbogacona o komentarz i przewyższająca swym poziomem oryginalną emisję. Zapamiętałem z tych czasów rzecz Jerzego Jedlickiego o Koziej-Żukowej Barbarze. Była to osoba wysyłana do sejmu PRL, zawsze z tego samego okręgu co Władysław Gomułka, tyle że z reguły na ostatnim mandatowym miejscu. Nikt z ludzi normalnych nic o niej ani złego, ani dobrego nie wiedział. Miała tylko zebrać nieco niższy procent głosów niż pierwszy sekretarz. Jedlicki, historyk przyzwyczajony do analizowania papierów z kancelarii gubernialnego marszałka szlachty i rachunków przedsiębiorstw hutniczych, zdołał przebrnąć przez sprawozdania komisji wyborczej sprawiające wrażenie wytworów czystej lecz zupełnie nieinteresującej fikcji, by móc opowiedzieć, ile to setek osób według komunikatu musiało wejść na Pradze za kotarę, co w zasadzie było źle widziane, a już szczególnie w okręgu tow. Wiesława — po to tylko, by łagodnie dokuczyć Koziej-Żukowej, nie skreślając jednak przy tej okazji samego Gomułki.

Roman Zimand stał się z czasem wybitnym krytykiem, specjalistą od dzienników, przedstawiając najpierw w IBL-u, a potem ogłaszając za granicą studia o „Dzienniku” Adama Czerniakowa, Andrzeja Bobkowskiego, Tyrmanda. Jak zwykle w najlepszych pracach Zimanda są to rozprawy dotyczące wielu zakresów równocześnie. Subtelne analizy technik narracyjnych, tam gdzie prostodusznie dostrzegalibyśmy jedynie prosty zapis faktów, łączą się harmonijnie i w sposób naturalny z socjologią i komentarzem historycznym. Najbardziej lubię z nich tekst o Bobkowskim, mogący zachęcić nowych czytelników do poznania tego pisarza, ale także bardzo zajmu-

jący dla mnie, który od 35-ciu lat często i z upodobaniem wracam do Bobkowskiego.

„Materiał dowodowy” zawiera też esej o „Zaproszeniu” (jeszcze do ZSSR) Claude Simona. Już książeczka francuskiego noblisty wymaga skupionej uwagi. Zimand wystawia czytelnika na jeszcze cięższą próbę, w pełni go jednak wynagradzając. Po kapryśnym esej o Simonie, będącym też solidną rozprawą o gatunku literackim „podróże do ZSSR”, następuje w ostatniej książce najpiękniejszy utwór Romana Zimanda, „Gatunek: podróż”, który po raz pierwszy ukazał się w *Kulturze* w roku 83. Jest to opis podróży do sowieckiego Lwowa jesienią 81, wspomnienia dzieciństwa, precyzyjne studium konfliktowego lecz pokojowego współżycia w przedwojennym Lwowie różnych grup: „Ojciec, który chodził jedynie do chederu, bo na jeszybot nie było już pieniędzy, władał pięcioma językami: hebrajskim, jidisz, niemieckim, polskim i ukraińskim, choć myślę, że po ukraińsku pisać nie umiał. Nikt nie uważał tego za coś niezwykłego. Przypuszczam nawet, że nikt tego nie zauważał. «Prawdziwe» obce języki to był francuski, angielski. Zapytany przed I wojną, ojciec powiedziałby zapewne, że żadnego obcego języka nie zna...

Wiedza o istnieniu antysemityzmu miała różne skutki. W tym również zabawne. Uczyłem się dobrze i bez trudu. Ale jedynym przedmiotem mojej troski było mieć jedynekę z gimnastyki. Jedynekę, tzn. bardzo dobrze. Bo jeśli źle gimnastykował się czy partaczył w futbolu, powiedzmy, Tadzio T. znaczyło to jedynie, że Tadzio jest ciapa. Ale gdybym źle gimnastykował się ja... O, to inna sprawa. Grałem w nożną czy w dwa ognie z jakimś niejasnym poczuciem, że kopię i biegam za zbiorowość, za którą czuję się odpowiedzialny”.

Jest wreszcie „Gatunek: podróż” dyskretnym poematem o powrocie syna marnotrawnego.

Zajmując się polskim modernizmem, nie umiał się oczywiście Zimand ograniczyć do samej tylko literatury pięknej. Rezultatem jego zainteresowań stało się studium z roku 67 „Uwagi o teorii narodu”, w którym z wzorowym obiektywizmem dokonał analizy poglądów ideologów polskiego nacjonalizmu na kwestię narodową. Doszedł też do wniosku, że więź narodowa stanowi najtrwalszy typ więzi społecznej, znany nam współcześnie i tworzy najdonioślejszy typ zakorzenienia społecznego, mogąc być przy tym zarówno podstawą wielu pozytywnych rodzajów zachowań, jak i ciemnego szowinizmu. Po ćwierćwieczu ta praca wydaje się być ważniej-

szą od szkiców dotyczących komunizmu. Do kwestii zasady narodowej jako bezspornej wartości, wchodzącej jednak często w konflikt z innymi wartościami, wracał Zimand parokrotnie w szkicu „Trzy dylematy zasady narodowej”, przedrukowanym również w obecnym tomie. On sam stanął w obliczu drastycznego konfliktu wartości gdy w roku 69, zostając w Polsce, co uważał za naturalne, musiał za to zapłacić rozstaniem się ze swą małą, ukochaną córką, którą jej matka zabrała ze sobą na emigrację. Wówczas zaczął pisać „Materiał dowodowy” a równocześnie „Noty”. Jest to przejmujący dziennik ojca; oba teksty są ściśle ze sobą związane. Autorka obecnego wyboru Dorota Siwicka włączyła je do książki uzasadniając to ich autobiograficznym charakterem. Jest to jednak autobiografia bardzo niekompletna. Natomiast biografia Zimanda wydaje mi się ostatecznie zawierać tajemnice, których nie umiem sobie wyjaśnić. Skoro odszedł i nie możemy go już męczyć pytaniami, pozostaje obcowanie z jego tekstami. Zostawił kilka znakomitych, w różnych rodzajach literackich. Trzeba wymienić jeszcze koniecznie „Piołun i popiół. Czy Polacy i Żydzi wzajem się nienawidzą?” Roman Zimand, Polak i Żyd, dokonuje w nim gorzkiego bilansu, nie oszczędzając żadnej ze stron, mieszając jak zwykle socjologię z historią i tym razem jeszcze z rachunkiem sumienia. Chciałoby się powiedzieć, że to wyliczenie obopólnych przewin odznacza się pełną symetrią, gdyby nie to, że zostało napisane w najczystszej polszczyźnie.

Andrzej DOBOSZ

Tydzień Książki Litewskiej w Warszawie

Co ma do powiedzenia na temat literatury litewskiej stały bywalec warszawskich księgarni? Niewiele lub zgoła nic. Być może, jeśli regularnie czytuje prasę literacką, przypomni sobie nazwisko Tomasa Venclovy. Ale Venclova od wielu lat przebywa na emigracji. Może klient-bibliofil wymieni tytuły kilku wydanych w Polsce tomików i antologii poezji i prozy autorów

litewskich, krzywiąc się przy tym na wspomnienie „zaangażowanych” strof, które po krótkiej lekturze uznał, niestety, za zwykły słusznik, za kolejne przykłady twórczości epoki socrealizmu. Wielowiekowa tradycja polsko-litewskiej wspólnoty kulturalnej została zaprzeczona w ciągu niecałego stulecia na tyle skutecznie, że trudno nawet przewidywać, ilu lat potrzeba na jej wskrzeszenie. Odzyskanie niepodległości przez Litwę i przemiany w całym tzw. bloku wschodnim dały szansę na odnowienie historycznych kontaktów, niewielu jednak znalazło się chętnych, aby z niej skorzystać. Literatura litewska, obecna wcześniej na polskim rynku wydawniczym jedynie jako drobna część literatury sowieckiej i z nią utożsamiana, teraz zniknęła niemal całkowicie, a podejmowane przez nielicznych entuzjastów wysiłki rozbijają się o barierę sporów etnicznych i politycznych. Nie znaczy to oczywiście, że nie warto próbować. Jedną z takich prób był trwający od 11 do 18 marca br. w Warszawie Tydzień Książki Litewskiej.

To pierwsze powojenne spotkanie polskiego odbiorcy z literaturą litewską jako literaturą odrodzonego państwa stworzona w oryginalnym języku zorganizowała grupa studentów Katedry Filologii Bałtyckiej Uniwersytetu Warszawskiego, pracująca pod opieką Fundacji Pomocy Bibliotekom Polskim.

Program Tygodnia Książki Litewskiej został przygotowany tak, by to przedsięwzięcie stało się wprowadzeniem do historii i współczesności literatury naszego wschodniego sąsiada. 11 marca, w trzecią rocznicę ogłoszenia deklaracji niepodległości przez parlament Republiki Litwy, po inauguracyjnych wystąpieniach ambasadora Litwy i dyrektora Fundacji, kierownik organizacyjny Tygodnia zapoznał zebranych z jego celami i przyczynami jego zorganizowania, a następnie odbyło się pierwsze z zaplanowanych spotkań. Gościem w księgarni Fundacji Pomocy Bibliotekom Polskim był dr Algis Kaleda, tłumacz literatury polskiej i litewskiej oraz współautor najnowszej edycji słownika litewsko-polskiego. Tematem wygłoszonego przez niego zagajenia oraz dyskusji były literackie związki Polski i Litwy. Rozmowa pozwoliła nie tylko na podsumowanie dorobku tłumaczy po obu stronach granicy, ale również na próbę określenia wpływu tych dokonań na świadomość czytelników. W panującej od lat sytuacji, gdy kryterium doboru tłumaczonych dzieł była polityczna działalność ich twórców, a pozycje naprawdę wartościowe, nawet jeśli ukazały się po polsku, pozostawały niezauważone, omówienie tej kwestii okazało się bardzo potrzebne. Wypowiedzi autora przekładu „Doliny Issy” i jego rozmówców stały się interesującym wstępem do kolejnego wieczoru autorskiego, który odbył się 16 marca. Tego dnia uczestnicy przygotowanych imprez mieli okazję spotkać się z literatami litewskimi: Juditą Vaičiunaitė

i Eugenijusem Ališanką. Judita Vaičiunaitė jest uznawana za jedną z najwybitniejszych obecnie poetek litewskich. Debiutowała w przełomowym 1956 roku, a najnowszy zbiorek jej wierszy ukazał się w 1990 roku. Jest również redaktorem wielu poświęconych literaturze wydawnictw litewskich, m.in. almanachu poetyckiego „Poezijos pavasaris” (Wiosna poezji), który jest najważniejszym, ukazującym się co rok, przeglądem twórczości poetów i prozaików litewskich i wyborem najlepszych przekładów z literatury obcej. Eugenijus Ališanka, poeta i eseista, debiutował w 1991 roku. Jest przedstawicielem najmłodszej generacji poetów litewskich, których twórczość znalazła podsumowanie w redagowanym przez niego almanachu „Mieszczanie”. Eugenijus Ališanka redaguje także najnowszą edycję „Wiosna poezji”.

W swoich wystąpieniach goście przedstawili nurty i zjawiska w powojennej literaturze litewskiej, w Polsce znane dotychczas nielicznym specjalistom. Zainteresowanie słuchaczy wzbudziły wypowiedzi dotyczące twórczości zesłańców i partyzantów litewskich po II wojnie światowej i działalności pisarzy emigracyjnych, która również na Litwie dopiero teraz prezentowana jest szerokiej publiczności. Wiele uwagi poświęcono również tendencjom we współczesnej literaturze litewskiej, a szczególnie dokonaniom młodego i średniego pokolenia autorów, którzy, mając za sobą doświadczenie egzystencjalizmu i postmodernizmu, szukają dzisiaj inspiracji w sztuce i filozofii Dalekiego Wschodu. Program wieczoru uzupełniła lektura utworów (w ich oryginalnym brzmieniu i przekładach) obojga literatów, a także rozmowa na tematy poruszane w ich wprowadzeniach.

Podczas pobytu w Warszawie litewscy goście spotkali się również z przedstawicielami polskiego Pen-Clubu i Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, aby omówić możliwości nawiązania nowych, bogatszych niż obecne, kontaktów między środowiskami twórczymi Polski i Litwy. Stronę polską interesowały także formy finansowania kultury na Litwie, a szczególnie rola instytucji państwowych w tej sferze.

Spotkania z reprezentantami literatury znad Niemna nie wyczerpywały programu Tygodnia Książki Litewskiej, choć były jego najważniejszymi punktami. Od 1 marca zainteresowani mogli nabyć po atrakcyjnej cenie wydany w Wilnie słownik litewsko-polski i rozmówki polsko-litewskie (obie pozycje są nadal w sprzedaży), dostępne w chwili obecnej tylko w księgarni Fundacji. Na klientów czekała również połączona ze sprzedażą wystawa grafik litewskich z kolekcji wileńskiej galerii „Vartai”, oraz ekspozycja wydawnictw litewskich. Prezentacja prac plastyków litewskich nie była jedyną imprezą towarzyszącą, wykraczającą poza ramy literatury. 13 marca w Dzielnicowym Domu Kul-

tury na Mokotowie odbył się koncert muzyki litewskiej w wykonaniu duetu: Irena Uss-Armoniene — fortepian, Rimantas Armonas — wiolonczela. Oboje muzycy, wykładowcy Litewskiej Akademii Muzycznej, są znani jako pierwsi wykonawcy utworów wielu współczesnych kompozytorów litewskich, a w swym repertuarze mają także dzieła twórców obcych. Ich aranżacji mieli okazję posłuchać melomani Francji, Niemiec, Singapuru i wielu innych państw świata. Na program koncertu złożyły się utwory M.K. Ciurlionisa oraz współczesnych kompozytorów litewskich.

Całe przedsięwzięcie mogło zostać zrealizowane dzięki pomocy finansowej Fundacji Stefana Batorego w Warszawie i Atviro Lietuvos Fondas w Wilnie, które pokryły większą część kosztów związanych z jego organizacją.

Marcin NIEMOJEWSKI

Nadesłane nowości wydawnicze

- SABATO (Ernesto). *Tunel*. Przel. Józef Keksztas. Str. 128. (Wyd. PULS, Londyn 1993).
- GIZA (Jerzy). *Historia i miłość*. W serii „Na szlaku Niepodległości” Tow. im. Józefa Piłsudskiego. Str. 64. (Wyd. Sądecka Oficyna Wydawnicza, Nowy Sącz).
- BUKOWSKI (Jakub). *Uratowany przez oficera SS*. Str. 118. (Wyd. nakładem Autora, Kopenhaga 1993).
- CHWIN (Stefan). *Literatura a zdrada. Od Konrada Wallenroda do Malej Apokalipsy*. Str. 456 i 2 nlb. (Wyd. Oficyna Literacka, Kraków 1993).
- CHWIN (Stefan). *Krótką historią pewnego żartu. (Sceny z Europy Środkowo-wschodniej)*. Str. 264. (Wyd. Oficyna Literacka, Kraków 1991).
- Od Herberta do Herberta. Nagroda „Wiadomości” 1958-1990*. Opr. Stefania Kossowska. Postscriptum Tadeusz Nowakowski. Str. 424. (Wyd. PFK, Londyn 1993).
- LÖW (Ryszard). *Hebrajska obecność Juliana Tuwima. Szkice bibliograficzne*. Str. 48. (Wyd. Hasefer, Tel-Aviv 1993).
- Antyżydowskie wydarzenia kieleckie 4 lipca 1946 roku. Dokumenty i materiały. Akta procesów uczestników wydarzeń oraz funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej i Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Tom I*. Opracowali Stanisław Meducki i Zenon Wrona. Str. 398 i fotografie. (Wyd. Urząd m. Kielce i Kieleckie Towarzystwo Naukowe, Kielce 1992).
- Żywoty Pitagorasa* Przełożyła Janina Gajda-Krynicka. Str. 134. (Wyd. Epsilon, Wrocław 1993).
- SIKORA (Władysław). *Pisarze Zaolzia. Materiały pomocnicze dla szkół polskich w RC*. Str. 73 i 11 nlb. (Wyd. OLZA, Śl. Cieszyn 1992).
- PAWELEC (Dariusz). *Poezja Stanisława Barańczaka. Reguły i konteksty*. Str. 204. (Wyd. „Śląsk”, Katowice 1992).

- BLASZCZYK (Grzegorz). *Litwa współczesna*. Str. 400. (Wyd. PWN, Warszawa-Poznań 1992).
- DURACZYŃSKI (Eugeniusz). *Rząd polski na uchodźstwie 1939-1945. Organizacja. Personalia. Polityka*. Str. 487 i 9 nlb. (Wyd. Książka i Wiedza, Warszawa 1993).
- MOSTWIN (Danuta). *Odkrywanie Ameryki*. Str. 546. (Wyd. Norbertinum, Lublin 1992).
- SURWIŁO (Jerzy). *Rachunki nie zamknięte. Wileńskie ślady na drogach cierpień*. Str. 326 i fotografie. (Wyd. Biblioteka „Magazynu Wileńskiego”, Wilno 1992).
- ŁĄGIEWKA (Barbara). *Z „rymskich” wakacji*. *Fraszki*. Str. 116. (Wyd. przy pomocy Tow. Lit. im. A. Mickiewicza oddział w Częstochowie i Wydziału Kultury i Spraw Społ. Urzędu Wojewódzkiego w Częstochowie, 1992).
- W ramach *Zarysu historii wojennej pułków polskich w kampanii wrześniowej* otrzymaliśmy następujące pozycje: *8 Pułk Strzelców Konnych, 3 Pułk Strzelców Podhalańskich, 2 Batalion Pancerny, 1 Batalion Pancerny, 1 Pułk Artylerii Motorowej, 56 Pułk Piechoty, 16 Pułk Ułanów Wielkopolskich, 1 Pułk Ułanów Krechowieckich, 49 Huculski Pułk Strzelców, 2 Pułk Piechoty Legionów, 17 Pułk Piechoty, 37 Pułk Piechoty, 55 Poznański Pułk Piechoty*. Broszurki liczą 40-50 str. (Wyd. Redakcja Historyczno-Wojskowa „Egros”, P.W. Mikromax, Warszawa).
- LASKER-SCHULER (Else). *Poezje - Lyrik*. Wyd. dwujęzyczne. Tłum. Eugeniusz Wachowiak. Str. 204. (Wyd. Stow. Pisarzy Polskich, Poznań 1992).
- HERLING-GRUDZIŃSKI (Gustaw). *Dziennik pisany nocą. 1989-1992*. Str. 384. (Wyd. Czytelnik, Warszawa 1993).
- BARTOSZEWSKI (Władysław), EDELMAN (Marek). *Pierwszego autora: Żydzi Warszawy 1939-1943*. Str. 108. *Drugiego autora: Getto walczy*. Str. 116-177. Str. 178-202: *dokumenty*. (Wyd. Tow. Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, Lublin 1993).
- Polonica zagraniczne. Bibliografia 1983*. Str. 200. (Wyd. Biblioteka Narodowa, Warszawa 1993).
- Ethos* nr 18/19. Str. 372. (Wyd. Instytut Jana Pawła II KUL, Lublin, i Fundacja Jana Pawła II, Rzym, 1992).
- MATKOWSKI (Tomasz). *Paravie*. Powieść. Str. 198 i 6 nlb. (Wyd. Denoël, Paryż 1993).
- GRETKOWSKA (Manuela). *Tarot paryski*. Str. 114. (Wyd. Oficyna Literacka, Kraków 1993).
- BALDHEAD (Valdemar). *Konkwista*. Powieść. Str. 258 i 14 nlb. (Wyd. Polonia, Warszawa 1989).
- ŁYSIAK (Waldemar). *Dobry*. Powieść. Str. 304. (Wyd. Officina, Warszawa 1990).
- ŁYSIAK (Waldemar). *Najlepszy*. (Konkwista 2). Powieść. Str. 444. (Wyd. Officina, Warszawa 1992).
- TUWIM (Julian). *Pour tous les hommes de la terre*. Wyd. dwujęzyczne. Przel. Jacques Burko. Str. 128. (Wyd. Orphée/La Différence, Paryż 1993).
- HERLING (Gustaw). *L'Ille et autres récits*. Przel. Thérèse Douchy. Str. 210. (Wyd. Gallimard, Paryż 1993).
- Convergences européennes. Conscience nationale et conscience européenne dans les littératures slaves, baltes, balkaniques, hongroise au XXe siècle*. Sous la direction de Maria Dalaperriere. Str. 320. (W serii Colloques Langues'O, Wyd. INALCO, Paryż 1993).

ciwą deklarację w tym względzie, a przede wszystkim gdyby pozbyły się ludzie całkowicie skompromitowanych, to byłabym pierwsza za tym, by rzecz odłożyć do lamusa i więcej się przeszłością nie zajmować.

Nic takiego jednak nie nastąpiło. Przeciwnie, wspomniana Fundacja Kultury Polskiej jeszcze w połowie 1991 roku wypuściła następującą „falszywkę” po niemiecku i skierowaną do niemieckiej opinii publicznej, przytaczam w polskim przekładzie:

„Aż do roku 1989, do momentu politycznego przełomu w Polsce, wielu wybitnych polskich artystów żyło na emigracji. To właśnie był jeden z powodów, dla jakich powstała Fundacja Kultury Polskiej. Powstała jako organizacja NIEZALEŻNA OD RZĄDU (podkreślenie moje A.G.) w 1987 roku i założona została przez ponad 200 znakomitych polskich artystów i naukowców...”

Jak widać, Fundacja zalicza panów Frelka, Jabłońskiego czy Wojnę do grona „znakomitych polskich artystów i naukowców”, a samą siebie przedstawia nadal jako twór powołany spontanicznie, demokratycznie i głównie w celu pomocy emigracyjnym twórcom. *Nota bene*, nikt dokładnie nie wie, na czym owa „pomoc” dla emigracji miała polegać. Fundacja np. chwali się we wspomnianej ulotce w języku niemieckim, iż pan Otto Sagner z monachijskiej księgarni „Kubon und Sagner” był jednym z laureatów przyznawanej przez nią stałej nagrody dla wyróżniających się wydawców i księgarzy. Pan Otto Sagner powiedział mi, że pewnego dnia na adres jego księgarni przyszedł faktycznie pocztą... papierowy dyplom od Fundacji. To wszystko. Co do pomocy dla Biblioteki Polskiej w Paryżu, sam Giełżyński przyznaje, że „z przyczyn ideowych” Biblioteka odrzuciła ofertę Fundacji przeprowadzenia remontu. Jak emigracja niepodległościowa długa i szeroka nie znalazła zresztą ani jednej instytucji, która korzystałaby z owej fundacyjnej „pomocy”. Szczerze mówiąc, mimo iż Fundacja powstała podobno głównie z myślą o „wybitnych polskich twórcach żyjących na emigracji”, do momentu ukazania się w *Kulturze* mego artykułu „Nomenklatury mutant” żaden emigrant polityczny chyba nawet nie wiedział, że posiada w Warszawie tak potężną opiekunkę. Trudno mi zresztą sobie wyobrazić, by emigranci owi zechcieli kiedykolwiek przyjąć pomoc pochodzącą z rąk Henryka Jabłońskiego, Jana Dobraczyńskiego, Haliny Auderskiej, Ryszarda Wojny, Ryszarda Frelka, Aleksandra Krawczuka i innych Panów i Pań Fundatorów.

Co do piątejdzy Fundacja znalazła się od momentu narodzin w uprzywilejowanej roli gospodarczej. Stała się prawdziwym molochem. Pozwolono jej między innymi założyć Dom Aukcyjny (handel dziełami sztuki), spółkę poligraficzną, spółkę wy-

Polemiki

Jeszcze o Fundacji

Wojciech Giełżyński w *Kulturze* nr 1-2/1993 broni dobrego imienia Fundacji Kultury Polskiej, którą opisałam w numerze *Kultury* z września 1991 w artykule pod tytułem „Nomenklatury mutant”. Broni zaś na kilka sposobów.

Po pierwsze, że wprawdzie Fundację istotnie założono w 1987 roku w celach manipulacyjnych, a założycielami były osoby blisko związane z reżymem, ale od tego czasu był już Okrągły Stół i najwyższy czas zapomnieć Fundacji jej komunistyczną przeszłość.

Giełżyński miałby rację — pod jednym warunkiem. Fundację Kultury Polskiej zakładali między innymi Ryszard Frelek, Henryk Jabłoński, Józef Klasa („dyplomata” — czytamy w informatorze Fundacji), Tadeusz Myślik, Marian Orzechowski („politolog”), Wojciech Żukrowski, Ryszard Wojna („publicysta”) i inne osoby, które w dalszym ciągu, jak rozumiem, stanowią jej Radę. Nic przynajmniej nie wiadomo, by ją opuściły. Do początkowych 134 członków-założycieli (podkreśla Giełżyński) doszli z biegiem lat następni, w tym Magdalena Abakanowicz, Ewa Demarczyk, Beata Tyszkiewicz, Teresa Żyly-Gara i „mnóstwo innych ludzi kultury”. Otóż, jeżeli tym wybitnym artystom i intelektualistom nie robi żadnej różnicy, że tworzą „wspólne ciało” z Tadeuszem Myślikiem, Ryszardem Wojną czy Wojciechem Żukrowskim, to, muszę powiedzieć, świadczy to o wyjątkowej niefrasobliwości ducha! O nic przecież innego nie chodzi jak o to, by rozmaite Fundacje (związki, stowarzyszenia itp.) przyznały kiedyś uczciwie, że powstały na polecenie władz PRL i w celu rozbijania środowiska opozycyjnego. Teraz jednak, po zmianie systemu, chcą pracować na rzecz kraju i bardzo proszą o uwzględnienie ich dobrej woli. Gdyby coś takiego zostało wyrażone, choćby w bardzo delikatnej formie, gdyby owe funkcje i związki (np. ZLP czy SDRP) wydobły z siebie jakąś ucz-

dawniczą, spółkę turystyczną (*Trybuna Ludu* 4.2.1989), spółkę obsługi muzeów, spółkę do celów produkcji i sprzedaży pocztówek, folderów, przezroczy, pamiątek, przedsiębiorstwo turystyczne specjalizujące się w wyprawach do obiektów zabytkowych (*Trybuna Ludu* 20.12.1988). „Pagart” przekazywał na konto Fundacji prowizję od występów polskich artystów za granicą (*Polityka* z 2.1.1988) a Toto-lotek część zysków z zakładów (*Trybuna Ludu* 20.12.1988). Kierownictwo Fundacji podało w lutym 1989 r., że Fundacja pośredniczy w obrocie prawami autorskimi, przetwórstwie papieru, produkcji opakowań i wyrobów z papieru i tworzyw sztucznych, zagospodarowaniu surowców wtórnych, produkcji, naprawach i konserwacji sprzętu technicznego, prowadzeniu składów konsygnacyjnych, organizowaniu imprez wystawienniczych i promocyjnych (*Trybuna Ludu* 4.2.1989). O dotacjach Ministerstwa Kultury PRL nie wspominam. Otóż mój artykuł w *Kulturze* wskazywał, że podstawy finansowe Fundacji biorą się właśnie z wyjątkowego uprzywilejowania jej jeszcze w czasach Polski Ludowej. Za wyjątkowe uprzywilejowanie zaś jednej jedynej instytucji — płaciło całe społeczeństwo.

Wojciech Giełżyński zarzuca mi także, że źle potraktowałam prezesa FKP, pana Tadeusza Polaka, prezentując go jako „nomenklaturszczyka”, podczas gdy w rzeczywistości był on żołnierzem AK prześladowanym w czasach stalinowskich.

Otóż jedno nie przeszkadza drugiemu. Gdy Tadeusz Polak wystąpił niedawno do sądu III Rzeczypospolitej o odszkodowanie za skonfiskowane mu przez UB złote pióro i złoty zegarek, w pozwie sądowym znalazło się zdanie o „przeszkodach zawodowych”, na jakie napotykał on skutkiem prześladowań aż do 1989 r. Tygodnik *Przegląd Tygodniowy* napisał wówczas:

„Aż trudno uwierzyć, iż mowa w tym zdaniu o Tadeuszu Polaku, dyrektorze Pracowni Konserwacji Zabytków, człowieku, którego *curriculum vitae* przedstawia informator biograficzny «Interpressu». Można się z niego dowiedzieć, że dyrektor Polak od 1962 roku należał do PZPR, był członkiem Narodowej Rady Kultury, odznaczony (ciekawie, w ramach jakich prześladowań) Krzyżem Komandorskim i Kawalerskim...”

W marcowej *Kulturze* znalazł się apel w obronie Zbigniewa Demidowa, niestrudzonego demaskatora oszustw i rozbojów gospodarczych dokonywanych w PRL przez wielkie firmy budowlane i rzemieślnicze, cieszące się uprzywilejowanymi warunkami w warunkach państwa komunistycznego, pracujące głównie na eksport. Jednym z negatywnych bohaterów zbioru dokumentacji wydanej przez Demidowa pod tytułem „Prokuratura PRL w służbie mafii” jest dyrektor Zarządu Państwowego Przedsiębiorstwa Konserwacji Zabytków (i Dyrektor Fundacji Kultury Polskiej) Tadeusz Polak. W rozdziale pt. „Afera w Pań-

stwowym Przedsiębiorstwie Konserwacji Zabytków” Demidow opisuje po kolei: Przywłaszczenie eksponatów w Lipsku. Obniżanie poniżej kosztów własnych ceny na roboty eksportowe. Premie, uzyskane za... dewastację zabytkowego obiektu. Chałtury zagraniczne. Darmowe usługi dla prominentów. Niesłychane marnotrawstwo. Trwonienie społecznych pieniędzy np. na fundację ośrodków wypoczynkowych dla prominentów partyjnych. Korupcję, prywatę, zwykłe złodziejstwa. Demidow był dyrektorem Biura Eksportu PKZ, miał więc dostęp do rachunków i dokumentów (które częściowo zamieścił też w swojej publikacji). Książkę wydano zaś staraniem Komisji d.s. Interwencji i Praworządności NSZZ „Solidarność”.

Oczywiście, nie jestem w stanie stwierdzić, na ile zarzuty Demidowa odpowiadają stanowi faktycznemu. Natomiast nie mam wątpliwości, że na czele Fundacji Kultury Polskiej nie powinien stać człowiek, na którym takie posądenia ciążyą. Już dawno Tadeusz Polak mógł być wystąpić na drogę sądową domagając się oczyszczenia z postawionych mu zarzutów albo... albo powinien był ustąpić z funkcji. Książka Demidowa wyszła w 1989 roku.

Tyle, gdy chodzi o obronę dobrego imienia Fundacji Kultury Polskiej przeprowadzoną przez Wojciecha Giełżyńskiego.

Wreszcie, na zakończenie, zmuszona jestem nawiązać do następującego fragmentu artykułu Giełżyńskiego: otóż polemizując z moim tekstem o Fundacji pt. „Nomenklaturowy mutant” pisze o mnie, że w czasach stalinowskich jako osoba „młodociana” nie podlegałam żadnym represjom, po czym dodaje: „a ponoć nawet wręcz przeciwnie”.

Co to znaczy?

Intencja Wojciecha Giełżyńskiego kwalifikuje się tutaj jako podpadająca pod odpowiedni paragraf artykułu kodeksu karnego „o zniesławienie z zamiarem szkodzenia w opinii zawodowej”. A poza tym — są to najgorsze wzory dziennikarskie, owo atakowanie *ad personam* autorów artykułów, w których się polemizuje. Zamiast przed napisaniem tekstu zapoznać się dokładnie z materiałami dotyczącymi Fundacji, uciekł się Wojciech Giełżyński do mętnych pomówień pod moim adresem.

Nawet nie mam zamiaru odpowiadać.

Alina GRABOWSKA

Dyskusja o katechizmie

Katorikku Kyokai Wakamiya, 1993. 3. 27

Szanowny Panie Redaktorze,

Przeczytałem marcowy numer *Kultury* prawie od deski do deski. Przyjemnie się czytało takie działy jak „Sąsiedzi”, „Kronika”, natomiast mieszane reakcje budził Smecz swoim wykrzywionym widzeniem polskiej rzeczywistości w „Z ukosa”. Zaniepokoił mnie wyraźnie, zmusił wręcz do napisania tych słów artykuł A. Pospieszalskiego „Nowy katechizm — i co dalej?” (...)

Pospieszalski może mieć właśnie takie reakcje, jakie wyraża po przeczytaniu francuskiego wydania nowego „Katechizmu Kościoła Katolickiego”, bo to jest jego właśnie sposób przyjmowania. I podobnie jak G. Herling-Grudziński, może poczuwać się do roli pouczenia głowy Kościoła Katolickiego, papieża, co więcej, około 3000 biskupów świata, którzy byli konsultowani przy redakcji tegoż Katechizmu. Ale rodzi się pytanie, skąd Pospieszalski ma takie prawo pouczenia papieża i biskupów w sprawach wiary i moralności. (...)

Pan Pospieszalski wyznaje sam, że „jest to ocena wierzącego chrześcijanina, z wychowania katolika i katolika po dzień dzień”, choć woli się określać jako „chrześcijanina bez precyzowania swojej ściślejszej wyznaniowej przynależności”. Czyli katolik, ale z pewną rozmytą świadomością swej tożsamości. Kryterium bycia katolikiem czyli życia według prawdy Bożej objawionej najlepiej określa Konstytucja o Bożym Objawieniu: „zadanie autentycznej interpretacji słowa Bożego, spisane go czy przekazane go przez Tradycję, powierzone zostało samemu tylko żywemu (moje podkreślenie) Urzędowi Nauczycielskiemu Kościoła, który autorytatywnie działa w imieniu Jezusa Chrystusa. (...)

Poza tym kryterium wierności depozytowi wiary (Bożego Objawienia) jakie kryterium proponuje katolikom katolik-chrześcijanin Pospieszalski? W sprawie regulacji poczęć proponuje nieokreślone „poczucie moralne większości wiernych” (str. 108). Mam zapytanie, jak Pan potrafi sprawdzić naukowo „poczucie moralne” w skali całego Kościoła i wykazać że większość myśli inaczej, „wbrew” stanowisku, które reprezentuje nowy rzymski katechizm? Proszę również bardzo o przykład „poważnych błędów doktrynalnych” najwyższych władz Kościoła Katolickiego (str. 109). Błędów jakiej doktryny?

Przypatrzmy się im bliżej. „O religii bez namaszczenia” można rozprawić tak, jak na przykład opowiadają sobie kawały studenci teologii. Albo jak ośmieszają chrześcijańskie prawdy wiary ludzie niewierzący. Mimo werbalnej deklaracji „katolik-chrześcijan” cała tonacja artykułu robi wrażenie, że nie jest to ani poziom teologiczny (wiary), ani tym bardziej wiary katolickiej. W imię mglistego odczucia tajemnicy po przeczytaniu czterech Ewangelii, Autor ma żal, że nowy katechizm mu tę tajemniczość rozjaśnia „jasnością helleniską, europejską, łacińską, europejską zachodnią, rzymską”. Jestem 16 lat w Japonii i słyszę to samo: „nie głosić zbyt wyraźnie, że łaska zbawienia jest nam dana przez tajemnicę Boga-Człowieka, Chrystusa”. Zatem jako misjonarze pakujemy manatki i wracamy do swoich europejskich krajów, bo skoro Japończycy zbawią się bez Chrystusowego Kościoła, bez sakramentów św., to nie ma sensu zabierać im tak pracownie wykorzystywanego czasu.

Ale czy tego sobie życzymy, czy nie, Zbawiciel zbudował swój Kościół na Piotrze (Mt 16) i nakazał iść na cały świat i głosić Ewangelię wszelkiemu stworzeniu (Mt 28) a wikariuszem jedynej niewidzialnej Głowy-Chrystusa jest głowa widzialna, każdy następca Piotra, papież, „słodki Chrystus na ziemi” — jak mawiała św. Katarzyna ze Sieny i jakie jest odczucie wiary wszystkich prawdziwych katolików na całym świecie. (...) Jeśli Pan nie uznaje widzialnej Głowy Kościoła jako więzi jedności Chrystusowego Kościoła, ale wyraża się w terminach czysto socjologicznych („polityka centralistyczna”, „centralne kierownictwo”) to proponuję bliższe sprecyzowanie kryterium, pozycji, z której Pan tak „straszenie ponuro” ocenia nowy rzymski katechizm: jestem protestantem, wierzę w indywidualne natchnienie Ducha Świętego, nie uznaję działania Ducha Świętego przez Magisterium Ecclesiae („Duch Święty oczywiście nie ma obowiązku przestrzegania jednej drogi służbowej”), nie uznaję jednej absolutnej Prawdy, lecz to, co zadecyduje większość. Stanie się Pan Pospieszalski założycielem nowego Kościoła, jakich mamy setki po odrzuceniu autorytetu Urzędu Nauczycielskiego Kościoła. Życzę zdobycia jak największej liczby wiernych.

Z uszanowaniem

o. Julian RÓŻYCKI O.P.

W ODPOWIEDZI O. JULIANOWI RÓŻYCKIEMU O.P.

Rad jestem, że moje narzekania na nowy rzymski katechizm wywołały jakiś odzew — i to aż z dalekiej Japonii. Przykro mi, że ten odzew sprowadza się do próby wyrugowania

mnie z Kościoła katolickiego, nie po raz pierwszy zresztą. O. Różycki powołuje się mianowicie na art. 10 konstytucji soborowej o Objawieniu Bożym, który interpretuje w ten sposób, że katolik jest zobowiązany akceptować bez sprzeciwu *każde* orzeczenie doktrynalne urzędu nauczycielskiego Kościoła. Nie chcę tu wchodzić w szczegółową interpretację tego artykułu, ale interpretacja O. Różyckiego wydaje mi się zbyt łatwa i zbyt beztroška. Musimy bowiem uznać, że jeśli istotnie zadanie autentycznej interpretacji słowa Bożego zostało powierzone wyłącznie urzędowi nauczycielskiemu Kościoła, to urząd nauczycielski nieraz to zadanie wykonywał źle. W przeciwnym razie tenże urząd nauczycielski nie mógłby odwołać np. obłożenia klątwą w XI wieku patriarchy Konstantynopola czy potępienia w XVII wieku nauki Kopernika i Galileusza. O. Różycki udaje, że nie wie, co mam na myśli, gdy piszę o „poważnych błędach doktrynalnych najwyższych władz Kościoła; natomiast ja wiem, że O. Różycki tak samo jak ja i jak każdy uczciwy katolik potępią spalenie na stosie Jana Husa i tylu innych ofiar kościelnej tyranii. I proszę mi nie tłumaczyć, że to nie były błędy w zakresie nauki wiary i obyczajów.

W nowym rzymskim katechizmie o tym wszystkim nie ma ani słowa — w odróżnieniu od wielu innych katechizmów krajowych, jak wspomniany przeze mnie katechizm holenderski, które są pod tym względem znacznie bardziej otwarte i o tyle bardziej przekonujące. Oczywiście te katechizmy bynajmniej nie lekceważą urzędu nauczycielskiego, bo przecież ten urząd mimo wszystko odegrał kluczową rolę w przeniesieniu posłania Ewangelii od czasów apostołskich do naszych dni. Ale wynika z tego, że o wierności prawdzie Ewangelii i przynależności do Kościoła decyduje nie bezkrytyczne posłuszeństwo wobec urzędu, lecz raczej siła przekonująca ewangelicznej prawdy. Ta siła przekonująca działa niewątpliwie wśród szerokich rzesz wiernych Kościoła Katolickiego, ale działa również poza jego ramami. Jeśli myślimy w kategoriach siły przekonującej jakiejś prawdy, to jest to samo przez się zrozumiałe. Tym się tłumaczy, że zasadnicze prawdy chrześcijaństwa przetrwały w nieskażonej formie w kościołach od wieków już oderwanych od Rzymu. Mają i te kościoły swoje bardzo ludzkie historyczne obciążenia, niemniej niż rzymski katolicyzm, ale nie ulega dla mnie wątpliwości, że wszystkie one w sensie bardzo głębokim i bardzo zasadniczym stanowią jeden powszechny (czyli katolicki) Lud Boży. O. Różycki określa tę moją postawę mianem „rozmytej” tożsamości katolickiej. Określenie jest w intencji pejoratywne, ale akceptuję je w sensie tożsamości szerokiej, ekumenicznej. W tym kontekście propozycja O. Różyckiego, bym sobie założył nową sektę, traci sens; moja postawa jest przeciwieństwem sekciarstwa. Bardzo się boję sekciar-

stwa, także katolickiego, na przykład w jego odmianie irlandzkiej czy chorwackiej (bez usprawiedliwiania sekciarstwa serbskiego czy bośniacko-muzułmańskiego). Obawiam się, że istnieje również sekciarstwo polsko-katolickie.

Antoni POSPIESZALSKI

Mecenas kultury polskiej i „Kultury” paryskiej

Prasę polonijną wysłaną drogą morską otrzymujemy z dużym opóźnieniem i dlatego dopiero teraz dotarł do nas numer kanadyjskiego *Związkowca* z 3-go marca br. W tym numerze opublikowano list p. Barbary Piaseckiej-Johnson z żalami, że jej ogromne zasługi położone dla kultury polskiej nie zostały należycie docenione w artykule p. Aliny Zerańskiej pt. „Dzieci Drugiej Rzeczypospolitej”. P. Piasecka-Johnson szczegółowo wylicza swoje dobroczynne akcje. Ten rzeczywiście imponujący wykaz cytujemy za *Związkowcem*:

...Śmiem również zapisać na listę pomocy kulturze moją pomoc osobistą oraz pomoc moich fundacji udzieloną Bibliotece Polskiej w Paryżu polegającą na ratowaniu jej w najcięższym okresie, co — muszę przyznać ze smutkiem — jest uważane przez wiele osób z Polonii francuskiej i amerykańskiej za temat tabu. Pomoc otrzymały także Instytut Sikorskiego w Londynie, Fundacja Kościuszkowska, Polsko-Amerykański Instytut Naukowy, Instytut Piłsudskiego w Nowym Jorku, Fundacja Dziennikarstwa w Nowym Jorku, Kultura, Zeszyty Literackie, itd. Zarówno osobiście jak i za pośrednictwem moich organizacji przyznawałam najpoważniejsze nagrody laureatom Międzynarodowego Konkursu im. Fryderyka Chopina, opłacałam tłumaczenia polskiej literatury pięknej, przyznawałam fundusze na ratowanie zabytków w Polsce, przez ostatnie trzy lata udzielałam pełnego finansowego poparcia Poznańskiemu Chórowi Dziecięcemu prof. Stuligroza (Poznańskie Słowniki), koncertom Vratlavia Cantans, itd., itp., nie wspominając dziesiątek stypendiów dla artystów i naukowców w Polsce i poza nią oraz kosztownej wystawy „Opus Sacrum” w Zamku Królewskim w Warszawie w 1990 roku (załączam

listę darów na rzecz Polski i Polaków, idących w miliony dolarów). Ostatnio, tylko i wyłącznie dzięki moim staraniom, przyjechał do Polski Placido Domingo ze wspaniałym koncertem, podczas którego mieli możliwość wystąpić również młodzi utalentowani polscy śpiewacy. Sam koncert oraz nagrania dokonane podczas jego trwania przyniosą wiele milionów dolarów korzyści Fundacji Rozwoju Kardiologii prof. Zbigniewa Religi. Występy w Zabrzu innych sławnych śpiewaków na rzecz tejże Fundacji w tym roku i w latach następnych załatwione zostały również dzięki mnie.

Moje fundacje wcale nie są gorsze w udzielaniu pomocy niż Fundacje Jurzykowskiego czy Sędzimira. Podkreślam, że może jestem młodsza od Dzieci II Rzeczypospolitej, ale robię to samo, jako dziedziczka tych samych wartości, którym hołdował mój Ojciec...

Nie interesowałibyśmy się tą sprawą, gdyby nie fakt, że p. Johnson w wykazie finansowanych przez nią instytucji wymienia również naszą *Kulturę*. A fakty wyglądają zupełnie inaczej.

P. Johnson poznaliśmy w czerwcu 1978 r., co odnotował Zygmunt Hertz w liście do Czesława Miłosza („Listy”, str. 458, cytat w odnośniku*).

P. Johnson była u nas po raz pierwszy. Słyszała, że wydajemy *Zeszyty Historyczne* i chciała nabyć ich komplet. Odpowiedzieliśmy, że kompletu nie możemy jej wysłać, ponieważ szereg numerów jest wyczerpanych. P. Johnson prosiła, by jej wysłać do Ameryki to, co posiadamy wraz z rachunkiem, co zrobiliśmy. Następnych *Zeszytów Historycznych*, które wychodziły po roku 78, już nie kupowała. Natomiast zaprenumerowała *Kulturę* (pocztą zwykłą), którą to prenumeratę zlikwidowała w końcu 1991 r.

Prenumerata jest niewątpliwie formą popierania pisma. Nikt

* Poznaliśmy dobrodziejkę Biblioteki Polskiej w Paryżu — była u Józia, który ją (razem z Zofią Zdziechowską, wdową po Pawełku) przyprowadził do nas. Podobno dzika forsa — własny Boeing z obsługą, którym podróżuje, jakieś domy wszędzie, kolekcja obrazów, etc. Facetka niezgrabna, około 40-ki, blondynka, trzech groszy bym nie dał za nią, że taka forsa. I wielka frajda: gadasz do takiej (nawet rozumie słowo „dupa”, które niepostrzeżenie padło w związku z jakimś wspomnieniem o kawałkach z Pawełkiem Zdziech[owskim] i nie nasuwają Ci się żadne myśli (przynajmniej mnie), jak by można podszczypanąć tę fortunę, bo i na co? Na wychodzenie *Kultury* mamy dosyć, dom jest. Więc co? — dla przyjemności obskubywania? Bardzo miłe uczucie niezależności. Wyobrażam sobie, jak inni Polaczkowie się ślinią przy takim kontakcie i jak im chciwie oko błyszczą.

Eto wsio szutki!

jednak z tysięcy prenumeratorów *Kultury* na Zachodzie nie pretendował do tej pory do stanowiska naszego dobroczyńcy.

Nie zamierzamy analizować działalności kulturalnej (i innej) p. Piaseckiej-Johnson pozostawiając to zainteresowanym osobom. Dodamy tylko, że ostatnio p. Piasecka-Johnson zaczyna rozszerzać swą działalność charytatywną na Rosję, udzielając publicznie wskazówek p. Elenie Bonner komu przyznać nagrodę im. Andrieja Sacharowa. Proponuje Lecha Wałęsę. Ponieważ nagroda jest poważna — 100.000 dol. — zapewne chce mu w ten sposób zrekompensować zawód, jaki mu sprawiła nie zakupując stoczni gdańskiej...

Redakcja KULTURY

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 472 — WACŁAW A. ZBYSZEWSKI

ZAGUBIENI ROMANTYCY I INNI

Wybór esejów jednego z najwybitniejszych publicystów polskich, zamieszczanych w *Kulturze* i londyńskich *Wiadomościach*. Oto ich tytuły: CZ. I. SPRAWY I TROSKI: Zmartwienia pesymisty; Dwa okresy powojenne; Polska a świat katolicki; Bilans emigracji w Anglii; Francja i Polska; Kto był prorokiem: Malthus czy Marx. CZ. II. ZAGUBIENI ROMANTYCY: Polscy pisarze są bez szans; O pisarzach i redaktorach; Zagubieni romantycy. CZ. III. LUDZIE KTÓRYCH ZNAŁEM: Wspomnienie o Ksawerym Pruszyńskim; Stroński; Stanisław Mackiewicz; Sceptyk i arystokrata; 100-lecie urodzin Adama Krzyżanowskiego; Sikorski; Melchior Wańkowicz; Profesorowie U.J. w latach dwudziestych; Prof. Kot i ludowcy; Juliusz Mieroszewski; O Józefie Czapskim.

Wybór poprzedza wstęp Stefanii Kossowskiej.

Str. 335

Cena F. 100,00

KRAJ — BLOK WSCHODNI

25. 3. 93

W Bratysławie odbyło się spotkanie przedstawicieli PEN-Clubów Czech, Polski, Słowacji i Węgier, poświęcone zagrożeniom wewnętrznym i zewnętrznym w państwach postkomunistycznych — zwłaszcza tendencjom szowinistycznym.

30. 3. 93

Fundacja „Muzyka Kresów” — Ośrodek Badań Muzykologicznych i Kulturowych Europy Środkowo-Wschodniej, zorganizowała drugą międzynarodową sesję „Duchowość Narodów Europy Środkowo-Wschodniej”. Sesja odbyła się w lokalu Lubelskiego Towarzystwa Naukowego.

2. 4. 93

Zmarł w Warszawie w wieku 83 lat Stefan Arski, dziennikarz. W latach 1951-69 redaktor tygodnika *Świat*. Autor wielu pamfletów propagandowych.

10. 4. 93

Zmarł w Warszawie prof. Tadeusz Jędruszczak, wybitny historyk, wieloletni redaktor *Kwartalnika Historycznego*, członek Rady Naukowej Instytutu Historii PAN. ■ Zmarła w Warszawie w wieku 86 lat Alina Centkiewicz, współautorka wraz z mężem, Czesławem, popularnych książek podróżniczych.

15. 4. 93

Dziennik *Nowy Świat* został zlikwidowany na skutek trudności finansowych. Ukazywał się przez 14 miesięcy.

20. 4. 93

W Księgarni Fundacji Pomocy Bibliotekom Polskim w Warszawie odbył się wieczór promocyjny książki Agaty Tuszyńskiej pt. „Kilka portretów z Polską w tle. Reportaże izraelskie”, wydanej przez Wyd. Marabut w Gdańsku. Zebranie prowadził Andrzej Drawicz.

ZACHÓD — EMIGRACJA

18. 1. 93

Zmarł w Kanadzie w wieku 86 lat Stanisław Pleszczyński. W czasie ostatniej wojny porucznik artylerii w Brygadzie Karpackiej i kierownik referatu kultury w 3 DSK. Współautor z Tadeuszem Sowickim sztuki teatralnej „Garden party”, która w swoim czasie cieszyła się dużym powodzeniem.

22. 1. 93

Zmarł w Londynie w wieku 73 lat Leopold Łabędź, wybitny publicysta, sowietolog, wieloletni redaktor naczelny kwartalnika *Survey*.

25. 1. 93

Rada Miejska Nowego Jorku nagrodziła około 30 przedstawicieli Polonii nowojorskiej specjalnymi dyplomami za zasługi położone dla miasta. Wśród odznaczonych jest redaktor *Nowego Dziennika*, Bolesław Wierzbiański, pisarz i dramaturg Janusz Głowacki oraz finansista Witold Sulimirski.

13. 3. 93

Zmarła w Chicago Jadwiga Marquart z domu Żółdziowska, znana w organizacjach polonijnych i kombatanckich, porucznik Armii Krajowej. Brała czynny udział w Powstaniu Warszawskim pod dowództwem swego stryja, Karola Ziemskiego.

18. 3. 93

Zmarła w Waszyngtonie w wieku lat 88 Ewa Mieroszewska znana polska dziennikarka. W czasie wojny pracowała w Centrum Informacyjnym Rządu Polskiego w Jerozolimie. Po wojnie i przeniesieniu się do Londynu współpracowała z BBC i znanym tygodnikiem *The Economist*. Potem, po przeniesieniu się do St. Zjednoczonych, była stałym komentatorem Polskiej Sekcji Radia Wolna Europa.

23. 3. 93

Zmarł w Sztokholmie w wieku 81 lat Adam Bromberg, wydawca, twórca Państwowego Wydawnictwa Naukowego, inicjator wydania „Wielkiej Encyklopedii Powszechnej”. Zmuszony do emigracji do Szwecji w 1968 r., zorganizował w Sztokholmie wydawnictwo „Brombergs”. ■ Komitet Nagrody im. Jerzego Łojka przy Instytucie Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku zawiadamia, że w roku bieżącym przyznane będą nagrody pieniężne i wyróżnienia za prace z dziedziny historii i jej popularyzacji, w których autorzy podejmą tematykę wysiłków narodu polskiego w celu zachowania swej tożsamości. Prace w dwóch egzemplarzach należy przesyłać do dnia 30 czerwca 1993 roku na adres: Mrs. Danuta Cisek, 1653 Morningview Dr, Yorktown Heights, NY 10598, USA. Wyniki konkursu zostaną podane do wiadomości publicznej dnia 7 października 1993, w rocznicę śmierci Jerzego Łojka. Wręczenie nagród i wyróżnień będzie miało miejsce 11 listopada w Nowym Jorku i Warszawie.

25. 3. 93

Zmarła w Genewie w wieku 88 lat Maria Wasung, nasza wielka przyjaciółka i przedstawicielka *Kultury* w Szwajcarii od 1949 roku.

29. 3. 93

Staraniem Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie w Londynie miał miejsce wieczór autorski Alicji Iwańskiej. W najbliższym czasie ukaze się w wydawnictwie „Gebethner i S-ka” w Warszawie jej książka pt. „Potyczki i przymierza. Pamiętnik 1918-1985”.

31. 3. 93

W Stacji Polskiej Akademii Nauk w Rzymie odbyło się spotkanie poświęcone promocji pracy zbiorowej pt. „Włochy a odrodzenie Polski” w opracowaniu Marty Herling z Włoskiego Instytutu Historycznego w Neapolu.

1. 4. 93

Tegoroczna nagroda PULS-u została przyznana redakcji miesięcznika *Ex-Libris*.

2. 4. 93

W Centre du Dialogue w Paryżu miał miejsce odczyt Jana Nowaka „W poszukiwaniu nadziei — polskie perspektywy”.

4. 4. 93

Zmarła w Paryżu w wieku 84 lat Maria Winowska, filozof, doktor teologii, autorka wielu prac wydanych we Francji pod pseudonimem André Martin.

19. 4. 93

W Stacji Akademii Nauk w Paryżu miał miejsce odczyt prof. Franciszka Ryszka, członka korespondenta PAN, na temat „Rozważania o holocaustie”.

3. 5. 93

W Bibliotece Polskiej w Paryżu, staraniem Towarzystwa Historyczno-Literackiego, odbył się odczyt profesora UJ, Józefa Gierowskiego, pt. „Blaski i cienie parlamentaryzmu Rzeczypospolitej Szlacheckiej w pięćsetną rocznicę pierwszego Walnego Sejmu”.

Kronika kanadyjska

Uniwersytet w Toronto ogłosił konkurs na stanowisko profesora historii Polski. Zgłoszenia rozpatrywać będzie specjalna komisja. Prawdopodobnie jeszcze w bieżącym roku akademickim rozpoczną się wykłady historii Polski prowadzone przez nowego profesora. Dzięki kilkuletniej, uporczywej zbiórce, zainicjowanej i prowadzonej pod protektoratem Kongresu Polonii Kanadyjskiej, zebrano odpowiednią kwotę na finansowanie profesury. ■ Komitet technologicznej współpracy z Polską, działający pod egidą Stowarzyszenia Techników Polskich w Kanadzie, w ostatnim półroczu wysłał do Polski dla Politechniki w Białymstoku duży komputer z 16 urządzeniami pamięciowymi, mikrokomputery i książki naukowe. Wartość wysyłki jest trudna do oceny, ale w granicach pół miliona dolarów. Ponadto Komitet wysłał do Polski szereg książek naukowych, encyklopedie, słowniki, elektryczne maszyny do pisania oraz kilku wykładowców, specjalistów z zakresu handlowości i zarządzania i rachunkowości. ■ Komisja Charytatywna Kongresu współorganizuje i patronuje utworzeniu w Polsce „Banków Żywności” na wzór działających w Kanadzie „Food Bank”. Placówki takie istnieją tutaj w wielkich miastach. Obsługiwane są przez ochotników, a żywność dostarczają bezpłatnie producenci, sklepy i osoby prywatne. Kongres apeluje o wpłaty do Komisji Charytatywnej z wyszczegół-

nieniem „Food Bank”. ■ Urząd Statystyczny opublikował wreszcie dwa tomy (każdy około 300-stronicowy z tabelami) powszechnego spisu ludności z 1931 r.: pierwszy tom — język ojczysty, drugi — pochodzenie etniczne. Z każdym nowym spisem mozaika ludnościowa jest bogatsza i bardziej precyzyjna zarówno w układzie językowym jak i narodowościowym. Grupa brytyjska dzieli się na: angielską, irlandzką, szkocką i walijską, a wschodnio-europejska na polską, rosyjską, ukraińską, białoruską, rumuńską, litewską, łotewską, estońską, węgierską, czeską, słowacką i czechosłowacką. Język ojczysty — wyłącznie polski — podało 171.975 osób, a jako drugi język 24.920, w tym stany: Ontario — 107.720 i 14.675; Quebec: 17.630 i 2.600; Manitoba — 10.865 i 2.190; Saskatchewan — 3.670 i 865; Alberta — 18.255 i 2.680, British Columbia — 12.305 i 1.725. Spis z 1981 r. zarejestrował 127.960 osób z polskim językiem ojczystym, w tym Ontario — 73.760, Quebec — 15.050, Manitoba — 11.860, Saskatchewan — 5.215, Alberta — 13.065, British Columbia — 8.105. Według spisu z 1991 r. polski jako język ojczysty podało w Toronto i okolicach — 58.640 osób, w Montrealu — 15.910, w Winnipegu — 8.935, w Edmonton — 9.160 i w Hamiltonie — 9.815. Spis z 1991 r. podaje, że czysto polskie pochodzenie zarejestrowano u 272.805 osób, a mieszane (ojciec lub matka Polka) u 467.905, w tym: czysto polskie Ontario — 154.155, Quebec — 23.700, Manitoba — 21.600, Saskatchewan — 11.770, Alberta — 32.840, Br. Columbia — 25.225, a mieszane w Ontario — 174.980, Quebec — 19.635, Manitoba — 55.055, Saskatchewan — 43.805, Alberta — 91.405, Br. Columbia — 72.715. W spisie powszechnym z 1981 r. czysto polskie pochodzenie podało 254.485 osób, a mieszane — 404.480 osób, ogółem więc pochodzenia polskiego było 658.965 osób, a w 1991 r. — 740.710. Wzrost czysto polskiej grupy jest nieznaczny, podczas gdy mieszanej duży. Jest to o tyle znaczne, iż opierając się na danych oficjalnych w okresie między dwoma spisami przybyło z Polski ponad 60.000 imigrantów, a na pobyt czasowy ponad 20.000, z których pewna liczba pozostała i zalegalizowała pobyt.

Toronto, 31.03.93

B.H.

Listy do Redakcji

Lublin, dnia 22 marca 1992 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

W nr 1/2 *Kultury* z br., w publikacji pt. „Z ukosa” sygnowanej pseudonimem Smecz, przeczytałem na stronie 94 wypowiedź mnie dotyczącą, mijającą się ze stanem faktycznym, z rzeczywistością. Smecz pisze: „Senator Bender, obecnie ZChN a wczoraj PAX, czyli «katolickie» ramię PZPR, dzisiaj jakże odmieniony, oświadcza: «Rzecznik praw obywatelskich, prof. Tadeusz Zieliński, stał się orędownikiem laicyzacji młodzieży polskiej, co bezskutecznie starali się osiągnąć komuniści z PPR i PZPR»”. W odpowiedzi na to kłamstwo pragnę stwierdzić, że nigdy, ani wczoraj ani przedwczoraj, nie dostąpiłem wątpliwego zaszczytu bycia w PAX-ie. Co więcej, po wydarzeniach październikowych 1956 r., w których wzięłem czynny udział, w szczególności w Lublinie, zostałem zaliczony przez „katolickie” ramię PZPR do jego najzacieklejszych wrogów, gdyż przyczyniłem się m.in. do usunięcia z murów KUL jego ekspozytury, tzw. Koła Społeczno-Postępowego. O szkodliwości ówczesnego PAX-u dla Polski i Kościoła rozmawiałem z Panem Redaktorem w czasie mojego pierwszego wyjazdu na zachód, w Paryżu, w 1965 r., a także przy późniejszych spotkaniach. Swój krytycyzm wobec serwilizmu politycznego PAX-u wyrażałem również w wypowiedziach, które, początkowo jako jedyny poseł z kraju, przekazywałem p. Maciejowi Morawskiemu do radia „Wolna Europa”. Pan Smecz powinien być w przyszłości bardziej precyzyjny i prawdziwszy.

Z wyrazami głębokiego szacunku

Ryszard BENDER

Largs North, South Australia, 18.3.1993

Szanowny Panie Redaktorze,

W popularnej książce „Polacy w Australii” Lecha Paszkowskiego jedną z opisanych postaci jest dr Maksymilian Łukowicz, przedstawiony jako Polak, przebywający w latach 1891 do 1921 w Adelajdzie. Pisze o

nim Paszkowski także w artykułach historycznych w prasie australijskiej. Według posiadanych przeze mnie wiadomości, dr Łukowicz, wywodzący się z pomorsko-polskiej rodziny, w Południowej Australii nie przejawiał żadnej aktywności jako Polak, natomiast jako dr Max Karl von Lukowitz zaangażowany był w ówczesnej społeczności niemieckiej w Południowej Australii przed pierwszą wojną światową.

W mojej recenzji z książki Paszkowskiego (*Kultura* nr 11/518, listopad 1990) zwróciłem na to uwagę, jak też na inne niedokładności historyczne zawarte w książce. Spotkałem się z orkiestrowym gwałtownym atakiem autora i innych pisarzy. (*Kultura* styczeń-luty 1991). Także nie oszczędzono mnie w złośliwych artykułach w prasie polskiej w Australii. W odpowiedzi na stawiane mi zarzuty napisałem obszernie, poparte dokumentacją wyjaśnienie, którego jednak nie opublikowano. Także moją pracę pt. „Z kart przeszłości” spotkał ten sam los. Jakakolwiek dyskusja publiczna z p. Paszkowskim jest niemożliwa, gdyż aczkolwiek artykuły jego przeciwko mnie są drukowane w odcinkach, moje odpowiedzi „idą do kosza”.

Uważam się za polskiego patriotę, jednak jestem zdecydowanie przeciwny niepotrzebnej polskiej megalomanii i co więcej, szkodliwemu polskiemu szowinizmowi. Uważam, że nie potrzebujemy uprawiać „kłusownictwa” i włączać do naszej historii postaci, które do nas nie należą. W związku z publikowanymi w prasie polskiej w Australii nieprawdziwymi i obrażającymi mnie personalnie artykułami (L. Paszkowski, B. Schenkel, A. Gawroński i Grot-Kwaśniewski) zwróciłem się do australijskiej instytucji „Australian Press Council” z prośbą o arbitraż. Sprawę moją przyjęto i sąd honorowy w składzie: przewodniczący prof. David Flint, profesor fakultetu prawnego uniwersytetu Sydney, oraz siedmiu zawodowych dziennikarzy miał miejsce w Adelajdzie w maju 1991. Jednogłośnie stwierdzono, że zostałem przez prasę polską nieuczciwie (*unfair*) i obcesowo (*brusk*) potraktowany.

Tygodnik Polski z Melbourne przyjął decyzję „Australian Press Council” i ogłosił przeproszenie (kopię załączam). Redaktor sydejskich *Wiadomości Polskich* odmówił przystosowania się do wyroku sądu honorowego.

Zostałem o tym poinformowany pisemnie przez A.P.C., wraz z poradą, bym zwrócił się na drogę sądową przeciwko *Wiadomościom Polskim*. Do rady się zastosowałem i obecnie sprawa jest przed Sądem Okręgowym w Adelajdzie.

Gwoli wyjaśnienia prawdy historycznej, proszę Pana Redaktora o wydrukowanie przesłanego artykułu pt. „Z kart przeszłości”, napisanego według źródeł archiwalnych.

Z wysokim poważaniem

Leon J. GRABOWSKI

Londyn, 22 kwietnia 1993

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Byłabym niezmiernie zobowiązana, gdyby zechciał Pan łaskawie wydrukować w najbliższym numerze *Kultury* następujące oświadczenie:

Decyduję się na sprzedawanie w Polsce publikowanych przez londyńskie wydawnictwo KONTRA dzieł Józefa Mackiewicza wbrew woli zmarłego Pisarza i wbrew własnym przekonaniom.

Józef Mackiewicz wierzył, że nigdy nie zrobię niczego, co byłoby niezgodne z Jego wolą — dlatego zostałam jedyną spadkobierczynią praw autorskich. Dziś podejmuję taką decyzję, bo nie mam innych możliwości chronienia tych praw, a zachowanie ich uważam za swój najważniejszy obowiązek.

Proszę przyjąć wyrazy prawdziwego szacunku

Nina KARSOV

Warszawa, 15 marca 1993 r.

Wielce Czcigodny Panie Redaktorze,

Z zainteresowaniem przeczytałem w numerze styczeniowo-lutowym artykuł p. Krzysztofa Gawlikowskiego i chociaż nie wierzę w naprawianie świata przez pisanie „do gazet” sprostowań, tym razem czynię wyjątek.

Wolno dziś p. Gawlikowskiemu uważać Chiny za wzorowy kraj tolerancji. Ostatecznie jako były członek PZPR uważał kiedyś zapewne, że Związek Sowiecki jest ostoją demokracji i wolności.

Wolno Redakcji *Kultury* nie orientować się w sprawach chińskich, sądzę jednak, że czytelnikom należy się parę podstawowych informacji.

Sinocentryzm jest stałym elementem cywilizacji chińskiej udokumentowanym już ok. XIV w. przed Chr. Prawdziwym człowiekiem jest tylko Chińczyk. Cudzoziemiec jest zwierzęciem, toteż wojna z obcymi jest z chińskiego punktu widzenia polowaniem. Składanie jeńców w ofierze nie różni się od zabijania innych zwierząt ofiarnych takich jak jelenie, woły czy świnię. Etnocentryzm i związana z nim duma oraz ksenofobia nakazują i dziś jeszcze traktować obcych jako istoty niższe, a wszelkie z nimi związki ograniczać do formalnych kontaktów. Wstrząsającym dokumentem czasów najnowszych — i to spoza obszaru kontrolowanego przez komunistów — jest powieść Li Young-p'inga, chińskiego pisarza z Borneo, przedstawiająca życie tubylczej żony Chińczyka. Tyle o obcych.

Prześladowania tych, którzy myślą inaczej, mają też w Chinach długą tradycję. W 213 r. przed Chr. wydano edykt o spaleniu ksiąg. W walce z konfucjanizmem 460 uczonych zakopano żywcem. Stosowano zasadę odpowiedzialności zbiorowej wobec tych, którzy przechowywali zakazane księgi i tych, którzy tylko o ich przechowywaniu wiedzieli, lecz nie donieśli o tym władzom.

Zwycięski konfucjanizm nie inaczej sobie poczynął. Pierwszy traktat antybuddyjski wydano w pocz. III w. po Chr. Pierwsze nakazane przez cesarza prześladowania buddyzmu miały miejsce w 446 r., następne w 574, a trzecie z tych, które sami Chińczycy nazywają „trzema wielkimi prześladowaniami”, były w 842 i latach następnych. Wówczas to dokonano sekularyzacji 260 tysięcy mnichów i mniszek zmuszonych do zawarcia związków małżeńskich, zniszczono 4.000 klasztorów, zrównano z ziemią 40 tysięcy świątyń. Dodajmy do tego, że w 879 r. dokonano pogromu muzułmańskiej ludności Kantonu. Wyrżnięto wówczas ok. 120 tysięcy kobiet, dzieci i mężczyzn.

Na tym tle widać jasno, że Rewolucja Kulturalna nie była w tradycji tego kraju wyjątkiem. „Tolerancję” dnia dzisiejszego przedstawiają — jakże niekompletne — raporty Amnesty International (aresztowanie 16 tysięcy muzułmanów w Turkiestanie Chińskim w 92 r. czy aresztowanie dwóch tysięcy baptystów), a także wydawane przez księży werbistów w St. Augustin *China Heute*.

Od końca III w. przed Chr. Chiny niemal bez przerwy były krajem totalitarnym i są nimi do dzisiaj. Nie trzeba przekonywać, jak to wpływa na tolerancję.

Łączę wyrazy szacunku

Prof. dr hab. M. J. KUNSTLER

Londyn, 15. 3. 93

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

W rozmowie z Romanem Lewandowskim (*Kultura* 3, 1993) Krzysztof Talczewski w popularny i, jak mi się wydaje, nieco uproszczony sposób przedstawia problemy związane z rozpadem Jugosławii w historycznym zarysie. Mam nadzieję, że jego dokumentalny film „Geneza wojny”, którego nie widziałem, jest dokładniejszy.

Muszę jednak sprostować jeden błąd rzeczowy, który może się wydawać mało ważny. Jednak historia jest tak otwarta na dowolności interpretacyjne, że dbajmy przynajmniej o poprawność faktograficzną. Pan Talczewski mówi: „Hitler nakłonił króla Pawła, by podpisał Pakt Osi. Anglicy, którzy byli na Bałkanach wyjątkowo aktywni, doprowadzili do obalenia monarchy” (s. 61). Książę Paweł Karadziorziewicz (ur. 1901), bo o niego chodzi, nie był „królem”, „monarchą” itp., ale jedynym regentem Jugosławii w okresie małoletności Piotra II, w latach 1934-41.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku

Bolesław TABORSKI

GRUBA KRESKA I NOMENKLATURA

Artykuł p. A. Micewskiego „Gruba kreska” (*Tygodnik Powszechny* 10/93, z 7.03.93.) wydaje się głęboko słuszny. Może w nawiązaniu do niego warto poświęcić nieco miejsca problemowi nomenklatury, nadal budzącemu wiele emocji.

Wydaje się, że w tym zagadnieniu trzeba rozróżnić dwa wymiary: pierwszy, to „przepoczwarczenie się” b. nomenklatury w warstwę biznesmenów, tzn. stan trzeci; drugi, to kontynuowanie kariery polityczno-administracyjnej. Wymagają one odmiennego spojrzenia, zakładając oczywiście, iż nie ciąży na tych ludziach zarzuty natury kryminalnej bądź kryminalno-politycznej, za które powinni odpowiadać indywidualnie przed sądem.

Otóż pierwszy wymiar nie powinien budzić zastrzeżeń; przeciwnie, spotykać się raczej z naszym cichym poparciem czy uznaniem, jeśli b. nomenklatura wykazuje energię, sprawność i twórczą inwencję gospodarczą. Ich powodzenie, choć może budzić niekiedy gorzkie refleksje czy zawiść, jest pośrednim gwarantem (może najlepszym) nieodwracalności procesu odejścia od komunizmu (a prawdę mówiąc, wśród członków partii można było znaleźć jedynie „śladowe ilości” wierzących komunistów).

Inaczej przedstawia się sprawa z drugim wymiarem karier dawnej nomenklatury. Na pewno wszystkie funkcje państwowe, zwłaszcza wyższe, wymagają szczególnej pieczy i kontroli: osoby je pełniące muszą mieć bardzo „czystą” przeszłość, zarówno w sensie politycznym jak moralnym. Co więcej, nawet niejasna tylko „karta życia”, z lukami czy brakiem dokładniejszych informacji o przeszłości kandydata na bardziej odpowiedzialne stanowisko, powinna go dyskwalifikować.

Lecz nie może nikogo dyskwalifikować sama przynależność do byłej nomenklatury w pełnieniu licznych nieekspozowanych stanowisk (jak np. wójtów, burmistrzów, sędziów, prokuratorów, kierowników różnych wydziałów w administracji, dyrektorów mniej ważnych banków), jeśli piastujący je wykazują fachowość, zmysł organizacyjny, doświadczenie i, oczywiście, lojalność. Obserwacja licznych przypadków potwierdza tezę, iż są oni często bardziej lojalni, sprawniejsi w działaniu, a nieraz i uczciwi niż osoby z byłej opozycji.

Przypomina się tu głośna swego czasu polemika między Leninem i Kautskym: gdy pierwszy domagał się „zdrzutotania maszyny burżuazyjnego państwa”, co w praktyce oznaczało „czystkę ideologiczną”, oskarżając starszego wiekiem socjaldemokratę Kautskiego o renegetwo i zdradę, to drugi wyśmiewał dążenia geniusza rosyjskiego bałaganu...

Wszelkie stereotypy i uogólnienia są ryzykowne, a „lustracja” czy „dekommunizacja” nie mogą prowadzić do paraliżu państwa, co w niektórych dziedzinach już wystąpiło, niestety.

Zbigniew T. WIERZBICKI

(prac. nauk. nie będący nigdy członkiem nomenklatury)

St. Rémy, 9 kwietnia 1993 r.

Drogi Panie Redaktorze!

W ostatnim numerze *Kultury* w rubryce „Wydarzenia miesiąca”, na str. 157, pisząc o „Tygodniu naukowym Wrocławia”, jaki miał miejsce w paryskiej stacji PAN, podane jest, zgodnie z rzeczywistością, że „Tydzień” ten był inagurowany przez rektora Uniwersytetu Wrocławskiego, ale zostało zniekształcone nazwisko rektora, którym jest prof. dr hab. Wojciech Wrzesiński, a nie Grzesiński. Będę wdzięczny za sprostowanie.

Łączę serdeczne pozdrowienia

Tadeusz WYRWA

KOMUNIKAT

W marcu br. otrzymaliśmy list od naszego Czytelnika p. Pawła Stadnickiego z prośbą o zamieszczenie go w *Kulturze*, celem przestrzeżenia ewentualnych nabywców, żeby nie kupowali wydawnictwa „Armorial Généalogique de la Noblesse Polonaise”, „opracowanego” przez nikomu nie znane „Centre Polonais des Recherches Généalogiques” a wydanego przez Editions du Dialogue. P. Stadnicki pisze, że wspomniany „Armorial” jest zwykłym oszustwem, sfalszowanym i po prostu „spiratowanym”, za to z wszelkimi możliwymi błędami, także w uzupełnionych danych o najmłodszej generacji, wprowadzonych bez zgody i wiedzy żyjących rodzin.

Jesteśmy w przyjaźni z Centre du Dialogue OO. Pallotynów od samego założenia go w Paryżu. Wiemy, że nigdy nie wydawali żadnych herbarzy, więc zwróciliśmy się do nich z prośbą o wyjaśnienie.

Okazało się, że wspomniany „Armorial” został przyjęty do druku przez drukarnię OO. Pallotynów w Osny, w której od zawsze drukowane były tysiące książek wydawanych przez Editions du Dialogue. Drukarnia ta przyjmuje także prace z zewnątrz od firm francuskich i osób prywatnych, naturalnie nie zaznajamiając się z ich treścią, tym bardziej gdy otrzymuje — jak w tym wypadku — już gotowe planse czy filmy do druku. Często na prośbę zamawiających pracę autorów drukarnia umieszczała jako wydawcę „Editions du Dialogue” nie widząc w tym nic złego, ponieważ zarówno wydawnictwo jak i drukarnia są prowadzone przez księży z tego samego zgromadzenia. Było to na pewno lekkomyślne i obecnie cierpi z tego powodu Editions du Dialogue, które z opracowaniem i wydaniem wspomnianego „Armorialu” nie miało nic wspólnego i nie zna żadnego „Centre Polonais des Recherches Généalogiques”.

REDAKCJA

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

M.A., Polska — Czy warto? Czy warto zneść się nad tandetą?

Poświęca Pan aż dwa teksty podręcznikom literatury i antologiom poezji, „zalecanym do użytku szkolnego przez MEN”. Nie trzeba długo przekonywać, że *Znak po znaku* (antologia wierszy polskich i obcych 1939-1991, w opracowaniu aż pięciorga autorów), *Literatura polska 1939-1991* Matuszewskiego i *Nasz wiek XX* Maciąga nie spełniają (delikatnie mówiąc) zadań, jakie im postawiono; i że ogarnia smutek na myśl o nauczycielach i uczniach, którzy muszą się takimi podręcznikami posługiwać. Ale niewiele poradzimy, najsurowiej nawet (i słusznie) krytykując. Dopóki poloniści z prawdziwego zdarzenia nie poświęcą się z większą niż dotąd intensywnością wypełnieniu tej luki, dopóty będziemy skazani na liche produkty zastępcze, o których nie ma sensu w ogóle pisać. Pana trzeci tekst, o tomie Smecza *Z ukosa*, sprawia nam przyjemność jako wydawcom, ogranicza się jednak do powtarzania z aplauzem rzeczy, które sam czytelnik znajdzie w książce.

J.S., Polska — Pana nabazgrane nieczytelne „próbki” literackie nie nadają się do oceny. Jeżeli Panu na niej zależy, proszę przysyłać czytelne rękopisy.

H.J., USA — Nie udało się Pani próba naśladowania bajek filozoficznych Kołakowskiego.

R.M., Polska — Pana szkic *Eseistyka Czapskiego o sztuce* nie wnosi nic nowego do tego tematu, jest po prostu wiązaną dobrze wybranych cytatów do esejów Czapskiego.

J.W., Polska — Pana recenzja z tomu *Rovigo* Herberta jest niestety banalna i napisana dość nieudolnie.

A.W., Polska — Pana opowiadania wydają nam się słabe. Ma Pan przesadne wyobrażenie o naszych możliwościach wydawniczych, proponując nam przedruk książki wydanej już w Polsce.

C.W., Polska; Grupa poetycka Krak, USA; A.J.W., Kanada; X.P., USA; M.N. Francja — Z wierszy nie skorzystamy.

OŚWIADCZENIE

W dniu 13 kwietnia około godziny 10.50 wybuchł pożar w Instytucie Polskim w Paryżu. Błyskawicznie rozprzestrzenił się (poprzez klatkę schodową) na trzy piętra, odcinając drogę ucieczki niektórym pracownikom. Zostali oni ewakuowani przez strażaków. Nikomu nic się nie stało. Ogień, który ugaszono po godzinie, zniszczył hall wejściowy, klatkę schodową do wysokości III piętra oraz korytarze na I i II p. Zniszczeniu uległo również mieszkanie służbowe dyrektora. Uratowana została większość eksponatów z wystawy „Misterium Wielkanocne”, zorganizowanej przez Muzeum Etnograficzne w Krakowie.

Przyczyna pożaru nie jest jeszcze wyjaśniona, obecnie trwają badania laboratoryjne prowadzone przez ekspertów francuskiej policji. Budynek Instytutu był ubezpieczony w firmie ALLIANZ. Po zakończeniu szacunku strat i wyborze firm odbudowujących Instytut, prace remontowe potrwać kilka miesięcy.

Jeszcze przed pożarem ukonstytuowało się Stowarzyszenie Przyjaciół Polski przy Instytucie Polskim. Jego celem jest wspieranie działalności tej placówki i skupienie wokół niej osób, którym zależy na zwiększeniu obecności polskiej kultury we Francji. Prezesem Stowarzyszenia został p. Maciej Morawski, wieloletni paryski korespondent Radia Wolna Europa.

Wszelkie dary mogą być kierowane na następujący adres:

„Les Amis de la Pologne” auprès de l’Institut Polonais
31, rue Jean Goujon
75008 PARIS
FRANCE

Dyrektor Instytutu Polskiego
BOGUSŁAW SONIK

—	<i>Wydarzenia miesiąca i Kronika kanadyjska</i>	148
R. Bender, L.J. Grabowski, N. Karsov, M.J. Künstler, B. Taborski, Z.T. Wierzbicki, T. Wyrwa:	<i>Listy do Redakcji</i>	152
Redakcja:	<i>Komunikat</i>	157
—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i>	158
Bogusław Sonik:	<i>Oświadczenie</i>	159

Polnische Buchhandlung
KSIĘGARNIA POLSKA
Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria
Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater
Tel. i fax: (1) 52 63 114
Konta pocztowe
Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556
Książki w języku polskim, polonica w językach obcych.
Bezpłatne katalogi na żądanie

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 2^e trimestre 1993.

Photocomposition: AKTIS S.A.R.L.
42, av. de Wagram, 75008 Paris
Imprimé en France
N° d'imprimeur : 1493-1993

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
Ceny na rok 1993			
AFRYKA POŁUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32, York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248	\$A. 15,00	\$A. 90,00	\$A. 160,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
HOLANDIA: Barbara Malak-Minkiewicz, Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Flh 20,00	Flh 110,00	Flh 210,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., P.O.B. 29443, 61239 Tel-Aviv, tel. i FAX: (3) 5606311	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5, Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Very rev. D.M. Malinowski, 3817 Laurel Dr., Royston, B.C., VOR 2VO. Tel.: (604) 338-80-40; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches, 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 230 82 60, FAX (613) 235 01 63	\$ can. 13,00	\$ can. 75,00	\$ can. 140,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessesstrasse 39/41, Postfach 340108, D 8000 München 34. Tel.: (089) 52-20-27; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln, I. Tel.: 0221/24-61-60	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
NORWEGIA: Zb. Tyszkó, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51-20-55	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 4, Avenue Cardinal Mermilod, 1227 Carouge/GE, tel.: 343 05 84	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
SZWECJA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury» lub na konto pocztowe jak poniżej	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
U.S.A.: Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski, 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109. Tel.: (216) 351-8219; Halina Kościuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; Jan Wójcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 21, West 38th Street, New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492	\$ US 11,00	\$ US 60,00	\$ US 116,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: 75-67-241	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 600; półroczna — F. 320.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 W (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 476 — SMECZ

Z UKOSA

Wybór felietonów o Polsce od maja 1990 do sierpnia 1992.

Str. 224

Cena F. 95

TOM 477 — ROMAN ZIMAND (Leopolda)

MATERIAŁ DOWODOWY

Szkice drugie

Pośmiertnie wydany tom esejów znanego pisarza. Zawiera działy: O NARODACH, PODRÓŻ I O PODRÓŻY, MATERIAŁ DOWODOWY.

Str. 312

Cena F. 120

TOM 479 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT STO TRZECI

zawiera opracowania: Mirosław Czech: *Kwestia ukraińska w III Rzeczypospolitej*; Andrzej Friszke: *Memoriał polityczny Adama Bienia (kwiecień 1944)*; Z.S. Siemaszko: *Ujawnione dokumenty katyńskie*; Jerzy Timoszewicz: *Z dziejów Teatru Wileńskiego. Parę uwag o latach 1832-1864*; Maria Turlejska: *Uwagi o tzw. „Wspomnieniach W. Gomułki”*; Krzysztof Tarka: *Epigoni Wielkiego Księstwa Litewskiego — Krajowcy wileńscy 1937-1939*; *Dezercje Żydów z Armii Polskiej na Wschodzie*; Dora Kacnelson: *Kustosz Władysław Abramowicz*; Nika Kłosowska: *Fragmenty wspomnień*; Walentyna Najdus-Smolarowa: *Lwów obecnie*; Bogusław Bakuła: *W oczach historyków*; Piotr Wandycz: *O dyplomacji II Rzeczypospolitej*; Wojciech Krzyżanowski: *Źródłowa praca o żołnierzach polskich w Rumunii*; Adam W. Kulik: *„Obrządek słowiński w dawnej Polsce” czyli krzyżowanie historii*; Andrzej Suchcitz: *W cieniu Kapitolu*; Tadeusz Wyrwa: *Słownik biograficzny kobiet poległych w walce w okresie okupacji niemieckiej*; Andrzej Chwałba: *Wykłady historyczne Józefa Piłsudskiego*; Hanna Świdarska: *Przyczynki do „rozrachunków z sanacją”*; Andrzej Friszke: *Listy Macieja Rataja do A. i S. Urbanowiczów*; Józef Dużyk: *Historycy; Polskie służby specjalne a organizacje emigracyjne na Zachodzie oraz bogaty dział LISTÓW.*

Str. 240.

Cena F. 90,00.